

**Witold Gombrowicz**

**Kosmos**

I

Opowiem inną przygodę dziwniejszą...

Pot, idzie Fuks, ja za nim, nogawki, obcasy, piach, wlecemy się, wlecemy, ziemia, koleiny, gruda, błyski ze szklistych kamyczków, blask, upał brzęczy, gorąco drgające, czarno od słońca, domki, płoty, pola, lasy, ta droga, ten marsz, skąd, jak, dużo by gadać, prawdę mówiąc byłem zmęczony ojcem i matką, w ogóle rodziną, zresztą chciałem odwalić przynajmniej jeden egzamin, a też zaczerpnąć zmiany, wyrwać się, pobyc gdzieś daleko. Wyjechałem do Zakopanego, idę Krupówkami, zastanawiam się jaki by pensjonacik niedrogi wytrzasnąć i spotykam Fuksa, ryża morda wyblakła blond, wylupiasta, spojrzenie wysmarowane apatią, ale ucieszył się, i ja się ucieszyłem, jak się masz, co tu robisz, szukam pokoju, ja także, mam adres — powiedział — dworku, gdzie i taniej, bo daleko, prawie już na gołej wsi. Idziemy więc, nogawki, obcasy w piachu, droga i gorąc, patrzę w dół, ziemia i piasek, iskrzą się kamyczki, raz, dwa, raz, dwa, nogawki, obcasy, pot, śpik w oczach niewyspanych z pociągu i nic prócz kroczenia tego oddolnego. Stanął.

— Wypoczniemy? Daleko jeszcze?

— Niedaleko.

Rozejrzałem się i zobaczyłem to, co było do zobaczenia i czego nie chciało mi się widzieć, bo tyle razy widziałem: sosny i płoty, świerki i domki, zielska i trawa, rów, ścieżki i grządki, pola i komin... powietrze... i błyszczalo od słońca, ale czarne, czerń drzew, szarość ziemi, przyziemna zieleń roślin, wszystko dość czarne. Pies zaszczekał, Fuks skręcił w krzaki.

— Chłodniej.

— Chodźmy.

— Zaraz. Można by sobie przysiąść chwileczkę. Zapuścił się trochę głębiej w krzaki, gdzie otwierały się wnęki, wgłębienia, zaciemnione splecioną u góry leszczyną i konarami świerków, zapuściłem wzrok w rozgardiasz liści, gałązek, plam świetlnych, zagęszczeń, rozziwów, parć, skosów, uchyleń, zaokrągłeń, diabli wiedzą, w przestrzeń plamistą, która nacierała i umykała, ucichała, narastała, bo ja wiem co, utracąca, rozwierała... zgubiony i zlany potem czułem ziemię czarną i gołą, od dołu. Tam między gałązkami coś tkwiło — coś sterczało odrębnego i obcego, choć niewyraźnego... i temu przyglądał się też mój kompan.

— Wróbel.

— Acha.

Był to wróbel. Wróbel wisiał na drucie. Powieszony. Z przechylonym łebkiem i rozwartym dzióbkiem. Wisiał na kawałku cienkiego drutu, zahaczonego o gałąź.

Szczególne. Powieszony ptak. Powieszony wróbel. Ta ekscentryczność krzyczała tutaj wielkim głosem i wskazywała na rękę ludzką, która wdarła się w gąszcz — ale kto? Kto powiesił, po co, jaki mógł być powód?... myślałem w gmatwaninie, w tym rozrośnięciu obfitującym w milion kombinacji, a trzęsąca jazda koleją, noc hucząca pociągami, niewyspanie, powietrze, słońce, marsz tutaj z tym Fuksem i Jasia, matka, chryja z listem, moje „zamrażanie” starego, Roman, zresztą i kłopoty Fuksa z szefem w biurze (o których opowiadał), koleiny, grudy, obcasy, nogawki, kamyczki, liście, wszystko w ogóle przypadło naraz do tego wróbla, jak tłum na kolanach, a on zakrólował, ekscentryk... i królował w tym zakątku.

— Kto by go mógł powiesić?

— Jakiś dzieciak.

— Nie. Za wysoko.

— Chodźmy.

Ale nie ruszał się. Wróbel wisiał. Ziemia była goła, ale miejscami nachodziła ją trawa krótka, rzadka, wałało się tu sporo rzeczy, kawałek zgiętej blachy, patyk, drugi patyk, tektura podarta, patyczek, był też żuk, mrówka, druga mrówka, robak nieznany, szczapa i tak dalej i dalej, aż ku zaroślom u korzeni krzaków — on przyglądał się temu, podobnie jak ja. — Chodźmy. Ale jeszcze stał, patrzył, wróbel wisiał, ja stałem, patrzyłem. — Chodźmy. — Chodźmy. Nie ruszaliśmy się jednak, może dlatego, że już za długo tu staliśmy i upłynął moment stosowny do odejścia... a teraz to stawało się już cięższe, bardziej nieporęczne... my z tym wróblem, powieszonym w krzakach... i zamajaczyło mi się coś w rodzaju naruszenia proporcji, czy nietaktu, niestosowności z naszej strony... byłem śpiący.

— No, w drogę! — powiedziałem i odeszliśmy... pozostawiając w krzakach wróbla, samego.

A dalszy pochód po drodze, pod słońcem, sparzył nas, znudził, po kilkunastu krokach ustaliliśmy, niezadowoleni, i znowu pytałem „daleko”, Fuks zaś odrzekł wskazując palcem tabliczkę, wywieszoną na płocie: — Tu także mają pokoje do wynajęcia. Spojrzałem. Ogródek. Dom w ogródku, za parkanem, bez ozdób, balkonów, nudne i mizerne, oszczędnościowe, z gankiem skąpym, sterczące, z drzewa, zakopiańskie, z dwoma rzędami okien, parter i piętro po pięć, co zaś do ogródka, to kilka karłowatych drzewek, trochę bratków mdlejących na grządkach, parę zwirowanych ścieżek. Ale on był zdania, że trzeba by zobaczyć, co szkodzi, czasem w takiej budzie zdarza się wyżerka palce lizać, a może być tanio. Ja też byłem gotów zajść, zobaczyć, choć poprzednio minęliśmy

kilka takich tabliczek nie zwracając na nie uwagi — ale lało się ze mnie. Skwar. Otworzył furtkę i podeszliśmy po zwirowanej ścieżce ku połyskującym szybom. Nacisnął dzwonek, postaliśmy chwilę na ganku i otworzyły się drzwi, pojawiła się kobieta niemłoda już, około czterdziestki, coś jak gospodyni, z biustem i pulchnawa.

— Chcielibyśmy zobaczyć pokoje.

— Chwileczkę, zaraz poproszę panią.

Czekaliśmy na ganku, ja miałem w głowie huk pociągu, podróż, wypadki dnia poprzedniego, rój, opar, szum. Kaskada, szum oszalamiający. Co mnie zastanowiło w tej kobiecie, to dziwne zeszpecenie ust na tej twarzy poczciwej gosposi o jasnych oczkach — usta miała z jednej strony jak gdyby nadcięte i to ich przedłużenie, o odrobinę, o milimetr, powodowało wywinięcie wargi górnej, uskakujące, czy wyslizgujące się, prawie jak płaz, ta zaś oślizgłość uboczna, umykająca, odstręczała zimnem płazowatym, żabim, a jednak mnie z miejsca rozgrzała i rozpalila będąc ciemnym przejściem, wiodącym do grzechu z nią płciowego, śliskiego i śluzowatego. I zdziwił mnie jej głos — bo spodziewałem się nie wiedzieć jakiego głosu w takich ustach, a tu odezwała się, jak zwykła gospodyni, starszawa, zażywna. Teraz słyszałem ją z wnętrza domu: — Ciocia! Panowie przyszli o pokój!

Ta ciotka, która po chwili wytoczyła się na krótkich nóżkach, jak na wałku, była okrągła — kilka zdań wymieniliśmy, tak, owszem, jest pokój dwuosobowy z utrzymaniem, panowie pozwolą! Zaleciało mieloną kawą, mały korytarzyk, sionka, schody drewniane, panowie na długo, a, studia, u nas spokój, cisza... na górze znów korytarz i kilka drzwi, dom był ciasny. Otworzyła ostatni pokój z korytarza, który obejrzałem od jednego rzutu oka, gdyż był, jak wszystkie pokoje do wynajęcia, ciemnawy, z zapuszczoną roletą, z dwoma łózkami i z szafą, z wieszakiem, z karafką na spodku, z dwiema lampkami przy łózkach, bez żarówek, z lustrem w zabrudzonej ramie, brzydkiej. Trochę słońca, zza rolety osiadło na podłodze w jednym miejscu i dolatywał zapach bluszczu wraz z brzęczeniem bąka. Tylko że... a jednak zdarzyła się niespodzianka, gdyż jedno z łóżek było zajęte i leżał na nim ktoś, kobieta, i nawet mogłoby się zdawać, że nie leżała zupełnie tak, jak by należało, choć nie wiedziałem na czym polegała ta, powiedzmy, odrębność — czy, że łóżko było bez pościeli, z materacem jedynie — czy, że jej noga, leżąca częściowo na żelaznej siatce łóżka (gdyż materac trochę się przesunął), że połączenie nogi i metalu zaskoczyło mnie w tym dniu gorącym, brzęczącym, męczącym. Spała? Ujrawszy nas, siadła na łóżku i poprawiła włosy.

— Lena, co ty robisz, złotko? Także coś! Panowie pozwolą, moja córka.

Kiwnęła głową odpowiadając na nasze ukłony, wstała i wyszła cicho — cisza ta uspiła we mnie myśl o czymś niezwykłym.

Pokazano nam jeszcze sąsiedni pokój, taki sam, ale nieco tańszy, gdyż nie łączył się bezpośrednio z łazienką. Fuks usiadł na łóżku, pani dyrektorowa Wojtysowa na krzeselku

i w rezultacie ten tańszy pokój został przez nas wynajęty, z utrzymaniem, o którym dyrektorowa mówiła „panowie sami zobaczą”.

Śniadanie i obiad mieliśmy spożywać u siebie, a kolację na dole, z rodziną. — Wracajcie panowie po rzeczy, a ja tu z Kasią przygotuję wszystko.

Pojechaliśmy po rzeczy.

Wróciliśmy z rzeczami.

Rozpakowaliśmy się, a Fuks tłumaczył, że się udało, pokój niedrogi, tamten, co mu polecono, na pewno droższy... a do tego dalej... Wyżerka będzie dobra, zobaczysz! Mnie coraz bardziej nużyła jego twarz rybia i... spać... spać... podszedłem do okna, wyjrzałem, prażył się tam ten mizerny ogródek, dalej płot i droga, a za nią dwa świerki, które wyznaczały miejsce w zaroślach, gdzie wisiał wróbel. Rzuciłem się na łóżko, zawirowałem, zasnąłem, usta wysliznięte z ust, wargi będące bardziej wargami dlatego, że mniej były wargami... ale już nie spałem. Byłem obudzony. Nade mną stała ta gospodyni. Był ranek, ale ciemny, nocny. Tylko, że nie był to ranek. Ona budziła mnie: — Państwo proszą na kolację. Wstałem. Fuks już buty nakładał. Kolacja. W stołowym, ciasnej klitce z kredensem lustrzanym, kwaśne mleko, rzodkiewki, i wymowa pana Wojtysa, ex dyrektora banku, z sygnetem, ze złotymi spinkami:

— Ja, uważa pan kochanieńki, przydzieliłem się teraz własnej połowicy mojej do dyspozycji i używany jestem do posług szczególnych, jak kran nawali, albo radio... Więcej maselka do rzodkiewek radziłbym, maselko prima...

— Dziękuję.

— Gorąc, burzą skończyć się musi, przysięgam na najświętszą świętość, na jaką mnie stać, mnie i grenadierów moich!

— Słyszałeś papa grzmoty, za lasem, daleko? (To Lena, jeszcze nie dość przeze mnie zobaczona, w ogóle mało co widziałem, w każdym razie ex dyrektor, czy też ex szef wyrażał się malowniczo). — Sugerowałbym jeszcze odrobinusię mleka kwaskowatego, moja żona spec specyficzny od kwaśnego mlimli, a cały cymes, proszę ja panoczka mojego, w czym? W garnku! Dobroć skwaszenia się mlecznego zależy bezpośrednio od właściwości mlekowatych garnka. — Co ty tam wiesz, Leon! (To pani szefowa wtrąciła). — Jam bridżysta, panoczkowie moi, ex bankowiec, obecnie bridżysta, za specjalnym zezwoleniem żonowatym w godzinach popołudniowych, a w niedzielę, nocnych! A, panowie z myślą o studiach? W sam raz, jak ułał, akuratnie spokój i cisza, intelekt może się pławić jak w kompocie... Ale niezbyt słuchałem, pan Leon miał głowę baniowatą, krasnoludkowatą, łysina najeżdżała stół, wzmocniona błyskiem binokli sarkastycznym, obok Lena, jezioro, grzeczna pani Leonowa siedząca na okrągłości swojej i wynurzająca się z niej aby zawiadywać kolacją z rodzajem poświęcenia, którego jeszcze nie uchwyciłem, Fuks coś mówił blade, białe, z flegmą, jadłem pieróg, czułem się nadal

sennie, mówiono, że kurz, że sezon jeszcze się nie zaczął, pytałem, czy noce chłodniejsze, skończyliśmy pieróg, pojawił się kompot i, po kompocie, Kataria podsunęła Lenie popielniczkę, która pokryta była siatką z drucików, ni to echo, słabowite echo, tamtej siatki (łóżka), na której noga, gdym wszedł do pokoju, kiedy to stopa, trochę łydki, na siatce łóżka etc. etc. Wyślizgująca się warga Katarina znalazła się w pobliżu ustek Leny.

Zawisłem nad tym, ja, po opuszczeniu tamtego tam, w Warszawie, wsadzony w to tutaj, rozpoczynający... zawisłem na chwilę jedną, ale odeszła Kataria, Lena przesunęła popielniczkę na środek stołu — i zapalałem papierosa — nastawiono radio — pan Wojtys zabębnił palcami po stole i zanucił melodyjkę, coś jak ti-ri-ri, ale urwał — znowu pobębnił, znowu zanucił i urwał. Było ciasno. Pokój był za mały. Usta Leny stulone i rozchylone, ich nieśmiałość... i już nic więcej, dobranoc, idziemy na górę.

Rozbieraliśmy się i Fuks powrócił do swoich skarg na Drozdowskiego, na szefa, z koszulą w rękach żalił się białe i blade, ryzo, że Drozdowski, że z początku byli ze sobą idealnie, że jakoś to się zepsuło, siak, owak, zacząłem mu działać na nerwy, wyobraź sobie, bracie, działał mu na nerwy i niech palcem ruszę działał mu na nerwy, czy ty rozumiesz, działać na nerwy szefowi, siedem godzin, znieść mnie nie może, widać, że stara się na mnie nie patrzeć, siedem godzin, jak przypadkiem spojrzy odskakuje oczami, jakby się sparzył, siedem godzin! Sam nie wiem — mówił zapatrzony w swoje buty — mnie czasem chce się na kolana paść i zawołać, panie Drozdowski, przepraszam, przepraszam! Ale za co? A przecie i on nie ze złej woli, ja jego naprawdę denerwuję, mnie koledzy radzą, żebym cicho sza, jak najmniej mu w oczy włożył, ale — wybałuszył się na mnie rybio, z melancholią — ale co ja mogę włożyć, albo nie włożyć, jak w tym samym pokoju siedem godzin jesteśmy razem, chrząknę, ręką ruszę, a on już wysypki dostaje. A może ja śmierdzę? I te biadolonia Fuksa odepchniętego łączyły mi się z moim wyjazdem z Warszawy, niechętnym, gardzącym, obaj, on i ja, wyczuci z... niechęć... i w tym pokoju podnjętym, nieznanym, w domu przygodnym, przypadkowym, rozbieraliśmy się jak odepchnięci, odtrąceni. Jeszcze mówiliśmy o Wojtysach, że rodzinny nastrój, zasnąłem. Obudziłem się. Noc. Ciemno. I upłynęło z parę minut zanim, zaszyty pod prześcieradłem, odnalazłem siebie w pokoju z szafą, ze stolikiem, z karafką i pojąłem moje położenie względem okien i drzwi — co mi się udało dzięki wytrwałemu a cichemu wysiłkowi mózgowemu. Długo wahałem się, co robić, spać, czy nie spać... nie chciało mi się spać, nie chciało mi się i wstawać, więc głowiłem się, wstawać, spać, leżeć, wreszcie wysunąłem nogę i siadłem na łóżku, a kiedy siadłem, zamajaczyła mi się biaława plama okna zasłoniętego i, zbliżywszy się bosy, uchylłem rolety: tam, za ogródkiem, za płotem, za drogą, tam było miejsce gdzie wisiał wróbel powieszony wśród gałęzi pogmatwanych, z ziemią czarną u dołu, na której były tekturka, blaszka, szczapa, tam gdzie czuby świerków pławiły się w nocy rozgwieźdzonej. Zasłoniłem okno, ale nie odszedłem, gdyż przyszło mi na myśl, że Fuks może mi się przypatrywać.

Rzeczywiście, nie słyhać było jego oddechu... a jeśli nie spał, to widział, że ja przez okno wyglądałem... co nie byłoby niczym zdrożnym, gdyby nie noc i ptak, ptak w nocy, ptak z nocą. Gdyż moje wyglądanie przez okno musiało dotyczyć ptaka... i to mnie

zawstydziło... ale cisza przedłużająca się zanadto i zbyt zupełna przemieniła mi się szybko w pewność, że jego nie ma, tak, nie było go, na jego łóżku nikt nie leżał. Odstłoniłem okno i w poświacie gwiazdzistych rojów ukazała mi się pustka tam, gdzie miał być Fuks. Dokąd poszedł?

Do łazienki? Nie, szmer wody, dochodzący stamtąd, był samotny. Ależ w takim razie... a jeśli on poszedł do wróbla? Nie wiadomo skąd przyszło mi to do głowy, ale od razu wydało się nie niemożliwe, mógł pójść, jego wróbel zainteresował, on w krzakach rozglądał się szukając jakiegoś wytłumaczenia i ta ryza, flegmatyczna gęba nadawała się do takich badań, to było podobne do niego... zastanawiać się, kombinować, kto powiesił, dlaczego powiesił... ba, a jeśli ten dom wybrał, to może, między innymi, i ze względu na wróbla (ta myśl była już trochę naciągnięta, ale utrzymywała się, jako dodatkowa, na drugim planie), dość, że obudził się, albo może w ogóle nie spał, ciekawość go wzięła, wstał, poszedł, może żeby sprawdzić jakiś szczegół i żeby rozejrzeć się po nocy?... bawił się w detektywa?... Byłem skłonny w to uwierzyć. Coraz bardziej byłem skłonny w to uwierzyć. Nic mi to nie szkodziło, ostatecznie, ale wolałbym żeby pobyt u Wojtysów nie zaczynał się od takich buszowań nocnych, a druga rzecz, irytowało mnie trochę, że wróbel znowu się nasuwa, wchodzi nam w paradę, i jakby się puszył, nadymał, udawał ważniejszego, niż jest — i gdyby rzeczywiście ten głupiec poszedł do niego, to wróbel stanie się już personatem, odbierającym wizyty! Uśmiechnąłem się. Ale co teraz? Nie wiedziałem, co robić, ale nie chciało mi się wracać do łóżka, nałożyłem spodnie, otworzyłem drzwi na korytarz, wychyliłem głowę. Pusto i chłodniej, na lewo ciemność blade w miejscu, gdzie zaczynały się schody, było tam małe okienko, nasłuchiwałem, ale nic... Wyszedłem na korytarz i jakoś mi się nie spodobało, że on niedawno po cichu wychodził, a teraz ja po cichu wychodzę... w sumie te dwa wyjścia były czymś nie tak niewinnym... I, gdy opuściłem pokój, odtworzyłem sobie w myśli rozkład domu, rozgałęzienia pokoiów, kombinacje ścian, sionek, przejść, sprzętów i nawet osób... czego nie znałem, z czym ledwie się zapoznawałem.

Ale znajdowałem się na korytarzu obcego domu w nocy, w spodniach tylko i w koszuli — to zerkano ku zmysłowości i było może wyślizgujące się ku niej wyśliznięciem tym samym, co na katasinej wardze... gdzie ona spała? Spała? Gdy zapytałem siebie o to, od razu stałem się na tym korytarzu idącym do niej w nocy, boso, w koszuli i spodniach, jej wywichnięcie wargowo-śliskie, płazowate, ciut, ciut, ledwie, ledwie, w połączeniu z moim odepchnięciem, odstręceniem się od nich tam, w Warszawie, zimnym, nieprzyjemnym, popchnęło mnie zimno ku jej świństwu, które tu gdzieś, w śpiącym domu... Gdzie ona spała? Posunąłem się kilka kroków, doszedłem do schodów i wyjrzałem przez małe okienko, jedyne na korytarzu, które wychodziło na drugą stronę domu, przeciwległą drodze i wróbla — wi, na sporą przestrzeń, okoloną murem i oświetlaną przez chmary i roje gwiazd, gdzie widać było taki sam ogródek ze zwirowanymi ścieżkami i wątlymi drzewkami, przechodzący w dalszej części w teren pusty, z kupą cegieł, z budką... Na lewo, tuż przy domu, był rodzaj przybudówki, pewnie kuchnia, pralnia, może i Katarina tam kołysała do snu figiel swych usteczek...

Gwiazdzistość nieba bezksiężycowego — niesłychana — w tych wyrojeniach wybijały się konstelacje, niektóre znałem, Wielki Wóz, Niedźwiedzica, odnajdywałem je, ale inne, mnie nie wiadome, też czaiły się jakby wpisane w rozmieszczenie główniejszych gwiazd, próbowałem ustalać linie, wiążące w figury... i to rozróżnianie, narzucanie tej mapy, zmęczyło mnie nagle, przerzuciłem się na ogródek, ale i tutaj zmęczyła mnie zaraz wielość przedmiotów, takich jak komin, rura, załamanie rynny, gzyms muru, drzewko, albo i trudniejszych, będących kombinacją, jak na przykład skręt i niknięcie ścieżki, rytm cieniów... i niechętnie zaczynałem też tutaj szukać figur, układów, nie chciało mi się, byłem i znudzony i niecierpliwy i kapryśny aż uprzytomniłem sobie, że to, co w tych przedmiotach mnie przykuwa, bo ja wiem, przyciąga, to „za” „poza”, to to, że jeden przedmiot był „za” drugim, rura za kominem, mur za rogiem kuchni, jak... jak... jak... katasine wargi za usteczkami Leny, gdy Katarasia podsuwała popielniczkę z siatką drucianą przy kolacji nachylając się nad Leną, zniżając wargi wyślizgnięte i zbliżając je... Zdumiałem się bardziej, niżby należało, w ogóle jakiś skłonny byłem do przesady, poza tym konstelacje, ten tam Wielki Wóz etc, przydawały mi czegoś mózgowego, męczącego, pomyślałem „co, usta, razem i co mnie w szczególności zadziwiło, to iż te usta, jednej i drugiej, teraz, w wyobraźni, we wspomnieniu, były bardziej ze sobą związane, niż wtedy, przy stole, nawet potrząsnąłem głową, jakbym się otrząsał, ale od tego związek warg Leny z wargami Katasi stał się wyraźniejszy, więc uśmiechnąłem się, bo przecież wywichnięta rozwiążność katasina, ten jej umyk w świnstwo, nie miał nic, ale to nic wspólnego ze świeżym rozchyleniem dziewiczego stulenia wargowego Leny, tyle tylko, że jedno było „względem drugiego” — jak na mapie — jak na mapie jedno miasto względem drugiego miasta — w ogóle mapa wmieszała mi się do głowy, mapa nieba, czy mapa zwykła z miastami etc. Ten cały „związek” nie był właściwie związkiem, były to po prostu jedno usta rozpatrywane w odniesieniu do drugich ust, w sensie odległości na przykład, kierunku, położenia... nic więcej... ale było faktem, że ja kalkulując teraz iż usta Katasi znajdują się zapewne gdzieś w pobliżu kuchni (tam spała) zastanawiałem się gdzie, w jakiej stronie, w jakiej odległości od nich mogą znajdować się usteczka Leny. I moje zimno-lubieżne dążenie do Katasi na tym korytarzu uległo zwichnięciu wskutek tego domieszania się ubocznego Leny.

A temu towarzyszyło wzrastające roztargnienie. Cóż dziwnego, nadmierne skupienie uwagi na jednym przedmiocie prowadzi do roztargnienia, ten jeden przedmiot przesłania całą resztę, wpatrując się w jeden punkt na mapie wiemy jednak, że wymykają się nam wszystkie inne punkty. Ja, zapatrzony w ogródek, w niebo, w dwoistość ust „poza” wiedziałem, wiedziałem, że coś mi się wymyka... coś ważnego... Fuks! Gdzie się podziewa? Czy „bawił się w detektywa”? Oby nie skończyło się jakąś chryją! Niezadowolony, że zamieszkałem z tym Fuksem rybim, mało mi znanym... ale przede mną ogródek, drzewka, ścieżki, przechodzące w plac z kupą cegieł aż po mur, niepomiarnie biały, tylko że tym razem wszystko to ukazało mi się jako znak widomy tego, czego nie widziałem, tamtej strony domu, gdzie też było trochę ogródka, potem płot, droga, za nią gąszcz... i natężenie światła gwiazdzistego zbiegło mi się z natężeniem ptaka powieszzonego. Czy Fuks tam był, przy wróblu?



Wróbel! Wróbel! Właściwie ani Fuks, ani wróbel, nie wzbudzały mego zainteresowania, usta, rzecz prosta, były bardziej zaciekawiające... tak mi się myślało w roztargnieniu... więc porzucam wróbla żeby na ustach się skupić i wytworzyła się jakaś męcząca gra w tennis, bo wróbel odsyłał mnie do ust, usta do wróbla, znalazłem się pomiędzy wróblem i ustami, jedno drugim się zasłania, gdy tylko dopadałem ust, skwapliwie, jak gdybym je zgubił, już wiedziałem, że poza tą stroną domu jest tamta strona, poza ustami wróbel samotnie wiszący... A najprzykrzejsze, iż wróbel nie dawał się umieścić z ustami na wspólnej mapie, był on zupełnie poza, z innej dziedziny, i zresztą przypadkowy, niedorzeczny nawet, więc po co mi się napataczał, nie miał prawa!... Och, och, nie miał prawa! Nie miał prawa? Im mniej uzasadnione, tym silniej się narzucało i bardziej było natrętne i trudniej było się odczepić — jeśli nie miał prawa, to tym bardziej znaczące, że się mnie czepia!

Jeszcze chwilę stałem na korytarzu, pomiędzy wróblem a ustami. Wróciłem do pokoju, położyłem się i, prędzej, niżby można było oczekiwać, zasnąłem.

Nazajutrz, wydobywszy książki i papiery, zabraliśmy się do roboty — nie pytałem go, co robił w nocy — niechętnie też wspominałem własne przygody na korytarzu, byłem jak ktoś, — kto popadł w przesadę, i teraz czuje się nieswojo, tak, byłem nieswój, ale Fuks również miał minę niewyraźną, milkliwie zabrał się do swoich obliczeń, które były pracowite, na wielu papierkach, z logarytmami nawet, a miały na celu opracowanie systemu gry w ruletę, systemu, co do którego on nie miał najmniejszej wątpliwości, że jest bujda, zawracaniem głowy, któremu jednak oddawał wszystkie swoje energie, gdyż właściwie nie miał co robić, nic lepszego nie miał do roboty, sytuacja była beznadziejna, za dwa tygodnie kończył mu się urlop, czekał go powrót do biura i Drozdowski, który będzie robił nadludzkie wysiłki żeby na niego nie patrzeć, a na to nie było rady, bo choćby najpilniej spełniał swoje obowiązki, to i to byłoby nie do zniesienia dla Drozdowskiego... Ział ziewaniem, z oczu zrobiły mu się szparki i już nawet nie skarżył się, tylko był, jaki był, obojętnie, i co najwyżej dogadywał mi na temat moich utrapień z rodziną, że ano właśnie, widzisz, każdy ma swoje, do ciebie też się przyczepili, cholera, mówię ci, rozpacz, wszystko do pucu!

Po południu pojechaliśmy na Krupówki autobusem, załatwiliśmy kilka sprawunków. Nadeszła kolacja, niecierpliwie przeze mnie oczekiwana, gdyż chciałem Lenę zobaczyć i Kasię, Kasię z Leną po wczorajszej nocy. Póki co, wstrzymywałem w sobie wszystkie o nich myśli, naprzód jeszcze raz zobaczyć, potem myśleć.

Ale cóż za niespodziewane pomieszenie szyków!

Była mężatką! Mąż zjawił się, gdyśmy już byli w trakcie jedzenia i teraz schylał nad talerzem nos podługowaty, a ja przyglądałem się z niesmaczną ciekawością temu jej erotycznemu współnikowi. Zamęt — nie żeby mnie zazdrość brała, a tylko że ona stała mi się inna, zupełnie odmieniona tym mężczyzną, tak mi obcym a tak wprowadzonym w najtajniejsze stulenia tych ustek — było widoczne, że pobrali się bardzo niedawno, ręką nakrywał jej rękę i w oczy zaglądał. Jaki był? Spory, niezłe zbudowany, trochę ociężały,

dość inteligentny, architekt, zatrudniony przy budowie hotelu. Mówił niewiele, sięgał po rzodkiewkę — ale jaki był? Jaki był? I jak oni byli ze sobą, sami, co on z nią, co ona z nim, co oni we dwoje?... tfy, tak natknąć się na mężczyznę u boku kobiety, która nas interesuje, to już żadna przyjemność... ale gorzej jeszcze, że taki mężczyzna, obcy zupełnie, staje się naraz przedmiotem naszej — przymusowej — ciekawości i musimy odgadywać jego najskrytsze gusta i upodobania... choć to nas mierzi... musimy czuć go poprzez tę kobietę. Nie wiem, co bym wołał: czy, żeby ona, będąc ponętna sobą, okazała się nim odpychająca, czy też żeby stała się też pociągająca poprzez mężczyznę, którego sobie wybrała — obie możliwości były fatalne!

Kochali się? Miłość namiętna? Rozsądna? Romantyczna? Łatwa? Trudna? Nie kochali się? Tu, przy stole, w obecności rodziny, była to zdawkowa czułość młodego małżeństwa i przecież trudno się przyglądać, można tylko prześlizgiwać się spojrzeniem, trzeba zastosować ten cały system manewrów „na pograniczu”, nie naruszających linii demarkacyjnej... W oczy nie bardzo mogłem mu zaglądać, moje dociekania, namiętne a wstrętne, musiały ograniczyć się do ręki, która leżała przede mną na stole, w pobliżu jej dłoni, widziałem tę rękę, dużą, schludną, z palcami nie nieprzyjemnymi, o krótkich paznokciach... przyglądałem się i coraz bardziej mnie rozwścieczało, że muszę wnikać w erotyczne możliwości tej ręki (jakbym był nią, Leną). Niczego się nie dowiedziałem. Tak, ręka wyglądała dosyć przyzwoicie, ale cóż znaczy sam wygląd, wszystko zależy od dotyku (myślałem) od tego, jak dotyka, i mogłem doskonale wyobrazić sobie dotyk między nimi przyzwoity, lub nieprzyzwoity, lub rozwiązły, dziki, wściekły, albo zwyczajnie małżeński — i nic, nic nie było wiadomo, nic, bo dłaczegóż by ręce kształtne nie mogły dotykać siebie w sposób pokraczny, nawet rozkraczony, gdzież była gwarancja? Trudno przypuścić, żeby ręka zdrowa, przyzwoita, dopuszczała się takich wyskoków? Pewnie, ale wystarczy wyobrazić sobie, że „jednak” się dopuszcza, a to „jednak” stanie się wtedy jedną rozwiązłością więcej. A jeśli nie mogłem mieć żadnej pewności co do rąk, cóż dopiero mówić o osobach, które przebywały na dalszym planie, tam, gdzie ja prawie bałem się sięgnąć wzrokiem? I wiedziałem, że wystarczyłoby jednego kryjomego i ledwie widocznego zahaczenia jego palca o jej palec aby ich osoby stały się nieskończenie wyuzdane, choć on, Ludwik, akurat mówił, że przywiózł fotografie i że bardzo, się udały, po kolacji pokaże...

— Komiczny fenomen — kończył Fuks opowiadanie, jak to idąc tutaj znaleźliśmy w krzakach wróbla. — Wróbel powieszony! Wróbla wieszać! To jakby dwa grzyby w barszcz!

— Dwa grzyby, rzeczywiście dwa grzyby! — przytaknął uprzejmie pan Leon i, że to był zgodny, z przyjemnością. — Dwa grzyby, proszę sobie wyobraziuchny, terefere, ale co za sadyzm!

— Łobuzeria — zawyrokowała krótko i węzłowato pani Kulka zdejmując mu nitkę z rękawa i potwierdził zaraz z przyjemnością: — Łobuzeria. Na co Kulka: — Ty zawsze musisz przeczyć! — Ależ tak, Mańciu, właśnie mówię, że łobuzeria!

— A ja mówię, że łobuzeria! — wykrzyknęła, jakby on coś innego powiedział.

— Otóż to, łobuzeria, mówię, łobuzeria...

— Sam nie wiesz, co mówisz!

Poprawiła mu rąbek chusteczki, wystającej z kieszonki. Katasia wynurzyła się z kredensu żeby posprzątać talerze, a jej warga wywichnięta, śliska, umykowa, pojawiła się w pobliżu ust, naprzeciwko mnie będących — tego momentu oczekiwałem z napięciem, ale tłumilem je, odwracałem się od tego w inną stronę, byle nie wpływać na nic, nie mieszać się... żeby eksperyment wypadł obiektywnie. Usta natychmiast zaczęły „odnosić się” do ust... i widziałem, jak jednocześnie mąż do niej coś mówił, i pan Leon się wtrącał, i Katasia chodziła zakrzętnięta, a usta odnosiły się do ust, jak gwiazda do gwiazdy, i owa konstelacja ustna potwierdzała nocne moje awantury, które ja już chciałem precz wyrzucić... ale usta z ustami, owa wyslizgująca się obrzydliwość wywichnięcia umykającego ze stuleniem — — rozchyleniem miękkim, czystym... jakby naprawdę miały coś wspólnego! Popadłem w rodzaj drżącego zdziwienia, że usta nie mające nic wspólnego, mają jednak coś wspólnego, ten fakt mnie oszałamiał i zwłaszcza pogrążał w niewiarygodnym jakimś roztargnieniu — i to było przesycone nocą, jakby skąpane we wczorajszym, mroczne.

Ludwik obtarł usta serwetką i odłożywszy ją metodycznie (wyglądał na bardzo porządnego i czystego, tylko że ta czystość mogła być, jednak, brudna...) powiedział swoim basem–barytonem, że i on przed tygodniem mniej więcej zauważył na jednym z przydrożnych świerków powieszona kurczę — ale nie zwrócił na to szczególnej uwagi, zresztą po paru dniach kurczę zniknęło. — Cudeńka — dziwił się Fuks — wróble powieszona, kurczęta wiszące, a może to koniec świata zwiastuje? Na jakiej wysokości wisiało to kurczę? Daleko od drogi?

Pytał, bo Drozdowski go nie znosił, bo on nienawidził Drozdowskiego, bo nie wiedział co robić... Zjadł rzodkiewkę.

— Łobuzeria — powtórzyła pani Kulka. Poprawiła chleb w koszyku gestem dobrej gospodyni i rozdawczyni posiłków. Zdmuchnęła okruszynki. — Łobuzy! Dzieciaków pełno, robią co chcą!

— Proszę! — zgodził się Leon.

— W tym witz — zauważył Fuks blado — że i wróbel i kurczę powieszona zostały na wysokości ręki dorosłego.

— Co? Jeśli nie łobuzy, to kto? Panoczek myśli, że jakiś maniaczyna? Nie słyszałem o żadnym maniaczynie w tej okolicy.

Zanucił Ti–ri–ri i z wielką uwagą oddał się robieniu gałek z chleba — układał je rzędem na obrusie, przyglądał się.

Katasia podsunęła Lenie popielniczkę z siatką z drucików. Lena strząsnęła popiół, we mnie noga jej odezwała się na siatce łóżka, ale roztargnienie, usta nad ustami, ptasi drut, kurczę i wróbel, mąż i ona, komin za rynną, wargi za wargami, usta i usta, drzewka i ścieżki, drzewa i droga, za dużo, za dużo, bez składu ni ładu, fala za falą, bezmiar w roztargnieniu, rozproszeniu. Roztargnienie. Męczące zagubienie, tam w kącie stała butelka na półce i widać było kawałek czegoś, może korka, przyklejonego do szyjki...

...wlepiłem się w ten korek i tak z nim wypoczywałem póki nie poszliśmy spać, sen, spanie, przez kilka następnych dni nic, nic, muł czynności, słów, jedzeń, schodzeń po schodach i wchodzeń, tyle tylko, że dowiedziałem się tego i owego primo że Lena była nauczycielką języków, zaledwie dwa miesiące temu wzięła ślub z Ludwikiem, na Hel pojechali, teraz tu mieszkają póki on domku swojego nie wykończy — to wszystko opowiedziała Katasia, ze ściereczką, od mebla, do mebla, poczciwie, chętnie, secundo (to Kulka mówiła) „trzeba by jeszcze raz rozciąć, zaszyć, chirurg mi mówił, dawny przyjaciel Leona, ile razy jej mówiłam, że koszta pokryję, bo wie pan, ona jest moja siostrzenica, choć chłopka ze wsi, spod Grójca, ale ja się biednych krewnych nie wypieram a do tego przecież nieestetyczne, obraża zmysł estetyki, pewnie, aż rażące, ile razy jej mówiłam przez te lata, bo to już z pięć lat temu, wie pan, wypadek, omnibus na drzewo wjechał, dobrze że nic gorszego, ile razy jej mówię Kata, nie leń się, nie bój się, idź do chirurga, zoperuj, jak ty wyglądasz, ureguluj sobie ten wygląd, ale gdzie tam, ot, leni się, boi się, dzień za dniem schodzi, coraz mówi już, ciocia, już pójdę, i nie idzie, my też jużesmy się przyzwyczaili i dopiero, jak nam kto inny przypomni, znowu się na oczy nasuwa, ale choć ja na punkcie estetycznym dość jestem drażliwa, może pan sobie wyobrazić, harowanie, sprzątanie, pranie, a to Leonowi to, a to tamto, a to Lena, a to Ludwikowi, od rana do wieczora, za jedno, za drugie, a tamto czeka, gdzie czas na to, jak Ludwik z Leną do domku się przeprowadzą, może wtedy, ale póki co dobrze chociaż że Lena człowieka znalazła uczciwego, no, niechby ją unieszczęśliwił, przysięgam, zabiłabym, wzięłabym noża i zabiła, ale Bogu dziękować póki co nic złego, tylko że nic sami nie robią, ani on, ani ona, zupełnie jak Leon, po ojcu to wzięła, ja muszę o wszystko zadbać, spamiętać, a to woda gorąca, a to kawa, bielizna do prania, skarpetki, obszyć, prasowanie, guziki, chusteczki, sznytki, papier, zawoskować, skleić, sami nic, sznycelki, sałatki, od rana do późnej nocy i do tego jeszcze lokatorzy, sam pan wie, ja nic nie mówię, racja, płacą, wynajmują, ale też trzeba spamiętać, to temu, to tamtemu, żeby wszystko na czas, jedno drugie...” ...mnóstwo innych zdarzeń, wypełniających, pochłaniających, i co wieczór nieunikniona, jak księżyc, kolacja, siedzenie naprzeciwko Leny z ustami Katsi krążącymi. Leon fabrykował galeczki z chleba i ustawiał je rzędem, bardzo starannie — przyglądał się z wielką uwagą — po chwili namysłu nadziewał na wykałaczkę jedną z galek. Po dłuższej medytacji, bywało, nabrał nożem odrobinę soli i posypał nią gałkę, przyglądając się przez binokle z powątpiewaniem.

— Ti-ri-ri!

— Grażyno moja! Czemużbyś papusiu swojmsusiu nie podpapciła papupapu rzodkiewskagowego? Rzuć!

To jest, że prosi Lenę o rzodkiewki. Trudno było ten bełkot zrozumieć. „Grażynaś ty moja, kwiecie ojci moja graża!” „Kulaszka, co ty tam ciumciawisz, nie widzisz, że cucu?” Nie zawsze „dziwolażył się ze słowostworem”, czasem zaczynał po wariacku, a kończył normalnie, lub na odwrót — błyszcząca okrągłość jego łysej bani z doczepioną u dołu twarzą, z doczepionymi pince-nez, unosiła się nad stołem jak balon — często wpadał w dobry humor i sypał anegdotami, matusieńku, pomaleńku, znasz ten bicykl o trycyklu, co jak lcykl wsiadł na bicykl, to był trycykl, hejże ha!... Kulka zaś poprawiała mu coś w okolicy ucha, albo na kołnierzu. Zapadał w zamyślenie i zaplatał w warkocz frędzle serwetki, albo wpychał wykałaczkę w obrus — nie we wszystkie miejsca, w pewne tylko, do których powracał, po dłuższym namyśle, z brwią zmarszczoną.

— Ti-ri-ri.

Mnie to denerwowało ze względu na Fuksa, bo wiedziałem, że to woda na jego młyn drozdowski, młyn, który go mełł od rana do wieczora, jego, mającego za trzy tygodnie nieuchronnie powrócić do biura aby znów Drozdowski w piec się wpatrywał z miną męczennika, gdyż, mówił Fuks, on nawet od mojej marynarki dostaje wysypki, zraził się, trudno, zraził się... i manie Leona były jakoś na rękę Fuksowi, który przypatrywał się im żółto, blade, ryzo... i to bardziej jeszcze wpychało mnie w moją niechęć do rodziców, w moje odepchnięcie tego tam wszystkiego, warszawskiego, i siedziałem niechętnie, wrogo, przypatrując się od niechcienia ręce Ludwika, która nic mnie nie obchodziła, która mnie odpychała, która mnie przykuwała, w której erotyczne możliwości dotykowe musiałem wnikać... a znów Kulka, wiedziałem, pełna jest czynności, pranie, zamiatanie, cerowanie, obrządzanie, prasowanie etc. etc. itd. itd. Roztargnienie. Szum i wir. Odnajdywałem mój kawałek korka na butelce, przyglądałem się szyjce i korkowi po to chyba, zęby się wszystkiemu nie przyglądać, korek ten stał się poniekąd łódką moją na oceanie, choć z oceanu dochodził mnie tylko szum, daleki, szum zbyt powszechny, zbyt ogólny, aby naprawdę dawał się słyszeć. I nic. Kilka dni wypełnionych po trosze wszystkim.

Upały w dalszym ciągu silne. Męczące lato! Tak to się wlokło, z mężem, z rękami, z ustami, z Fuksem, z Leonem, wlokło się jak w upał, kiedy człowiek idzie drogą... Na czwarty czy piąty dzień wzrok mi zabłądził, nie pierwszy raz zresztą, w głąb pokoju, popijałem herbatę, paliłem, porzuciwszy korek zahaczyłem oczami o gwóźdź na ścianie, obok półki, i od gwoździa posunąłem się do szafy, policzyłem listwy, zmęczony i senny zapuściłem się w miejsca nad szafą mniej dostępne, tam gdzie wystrzępiona tapeta, i zabrnąłem aż na sufit, białą pustynię; ale nudna białość przemieniała się nieco dalej, w pobliżu okna, w obszar chropowaty, ciemniejszy, zakażony wilgocią, o zawilej geografii kontynentów, zatok, wysp, półwyspów i dziwnych koncentrycznych kręgów, przypominających kraterzy księżycy, i innych linii skośnych, umykających — było to miejscami, chore, niby liszaj, gdzie indziej znów dzikie i nieokiełznane, to znów rozkapryszony zawijasami, zakrętami, oddychało grozą ostateczności, gubiło się w zawrotnej dali. I kropki, nie wiem z czego, chyba nie z much, w ogóle genezy te były nieodgadnione... Wpatrzone, zatopione w tym, i we własnych zawilgościach, wpatrywałem się i wpatrywałem bez specjalnego wysiłku a jednak uparcie, aż w końcu było to jakbym

jakiś próg przekraczał — i już po trosze byłem „po tamtej stronie” — wypilem łyk herbaty — Fuks zapytał:

— Co się tak wgapiasz?

Nie chciało mi się mówić, duszno, herbata. Odpowiedziałem:

— Ta kresa, tam, w rogu, za wyspą, i ten jakby trójkąt... Obok przesmyku.

— Co?

— Nic.

— No to co?

— Tak...

Po dłuższej chwili zapytałem:

— Co ci przypomina?

— Ta smużka i kreska? — podjął chętnie, i wiedziałem, dlaczego chętnie, wiedziałem, że to go odrywa od Drozdowskiego. — To? Zaraz ci powiem. Grabie.

— Może i grabie.

Lena wmieszała się do rozmowy, a to dlatego, że bawiliśmy się w odgadywanie, gra towarzyska, rodzaj nietrudny, w sam raz dla jej nieśmiałości.

— Jakie tam grabie! Strzałka.

Fuks zaprotestował: — Jaka tam strzałka!

Parę minut wypełnionych czymś innym, Ludwik zapytał Leona „chce ojciec w szachy?”, ja miałem paznokcieć pęknięty, który mi przeszkadzał, gazeta spadła, psy zaszczekały za oknem (dwa pieski małe, młode, zabawne, spuszczano je na noc, był też kot), Leon powiedział „jedna”, Fuks powiedział:

— Może i strzałka.

— Strzałka, albo i nie strzałka — zauważyłem, podniosłem gazetę, Ludwik wstał, przejechał omnibus po drodze, Kulka zapytała „telefonowałeś?”

Nie potrafię tego opowiedzieć... tej historii... ponieważ opowiadam ex post. Strzałka, na przykład... Ta strzałka, na przykład... Ta strzałka, wtedy, przy kolacji, nie była wcale ważniejsza od szachów Leona, gazety, lub herbaty, wszystko — równorzędne, wszystko — składające się na daną chwilę, rodzaj współbrzmienia, brzęczenie roju. Ale dzisiaj, ex post, wiem, że strzałka była najważniejsza, więc opowiadając wysuwam ją na czoło, z masy niezróżnicowanej faktów wydobywam konfigurację przyszłości. A jak opowiadać nie ex post? Czy więc nic nigdy nie może zostać naprawdę wyrażone, oddane w swoim stawaniu się anonimowym, nikt nigdy nie zdoła oddać bełkotu rodzącej się chwili, jak to jest, że, urodzeni z chaosu, nie możemy nigdy z nim się zetknąć, zaledwie spojrzymy, a już pod naszym spojrzeniem rodzi się porządek... i kształt... Wszystko jedno. Niech i tak będzie. Kataria budziła mnie co rano ze śniadaniem, oczami prosto ze snu wychwytywałem nad sobą jej niewłaściwość ustną, ten śliski umyk nałożony na jej wiejskie policzki o niebieskim, pocziwym wejrzeniu. Czy nie mogłaby o ćwierć sekundy wcześniej cofnąć się znad mojego łóżka? Czy nie przedłużała swego pochylenia nade mną o ułamek sekundy?... Może tak... może nie... niepewność... możliwość, która wwiercała mi się na wspomnienie moich z nią nocnych kombinacji. Z drugiej strony... a jeśli stała nade mną z czystej pocziwości? Mnie trudno było coś zobaczyć, przyglądanie się osobom natrafia na znaczne przeszkody, to nie jak z martwymi przedmiotami, tylko na przedmioty można naprawdę patrzeć. Lecz w każdym razie leżenie pod jej ustami wbijało się we mnie co rano i pozostawało mi przez cały dzień utrzymując kombinację ustną, w której się zaplątałem tak uporczywie. Gorąco nie sprzyjało mojej i Fuksa robocie, byliśmy zmęczeni, on się nudził, kiśł, stał się nędzarzem i był jak pies wyjący, choć nie wył, a tylko się nudził. Sufit. Któregoś popołudnia leżeliśmy na wznak na łóżkach, okna były przysłonięte, popołudnie brzęczało muchami — i usłyszałem jego głos.

— Majziewicz by mi co może dał u siebie, ale rzucić tego, co mam, nie mogę, zalicza mi się jako praktyka, straciłbym półtora roku, szkoda gadać, nie mogę... Popatrz no tam, na sufit...

— Co?

— Na suficie. Tam, koło pieca.

— Co?

— Co widzisz?

— Nic.

— Żeby ja mógł jemu pluć w mordę. Ale nie mogę. I za co? On nie ze złej woli, ja jemu naprawdę gram na nerwach, wyłazi mu szczęka, jak mnie widzi... Przypatrzyć się lepiej temu na suficie. Nic nie widzisz?

— Co?

— Coś jak ta strzałka, cośmy ją w stołowym na suficie wypatrzyli. Nawet wyraźniejsza.

Nie odpowiedziałem, minuta, dwie, znowu się odezwał: — W tym cymes, że tego wczoraj nie było. Milczenie, gorąco, głowa ciąży na poduszce, osłabienie, ale odezwał się znowu jakby czepiając się własnych słów, które pływały w sosie popołudnia. — Tego wczoraj nie było, wczoraj z tego miejsca pająk się spuszczał i ja mu się przypatrywałem, byłbym zauważył tego wczoraj nie było. Widzisz kresę główną, sam trzon, tego nie było, reszta, dziób, rozgałęzienie u podstawy to, zgadzam się, stare popryszczenia, ale trzon, sam trzon... tego nie było... Odetchnął, podniósł się nieco, oparł na łokciu, kurz wirował w pęku promieni z dziury w roletce: — Tego trzona nie było. Usłyszałem, że się gramoli z łóżka i zobaczyłem go w majtkach, z zadartą głową, badającego sufit — zdziwiłem się — ta pracowitość! Wyłupiastość! Wyłupiastą twarz wlepił w sufit i zawyrokował: — Fifty, fifty. Tak, lub nie. Diabli wiedzą. I wrócił na łóżko, ale stamtąd, wiedziałem, wciąż przypatrywał się, co mnie nudziło.

Po chwili usłyszałem, że znowu wstaje i idzie oglądać sufit, niechby przestał się czepiać... ale się czepiał.

— Ta rysa, co środkiem idzie, sam trzon, uważasz... Coś mi zalatuje, jakby świeżo zrobiona była szpikulcem. Troszkę się wybija. Wczoraj jej nie było... byłbym zauważył... I ona jest akurat w tym samym kierunku, co tamta, w stołowym.

Leżałem.

— Jeśli strzałka, to na coś wskazuje.

Odpowiedziałem: — A jeśli nie strzałka, to nie wskazuje.

Wczoraj, przy kolacji, rozpatrując z moją wstrętną ciekawością rękę Ludwika — znowu! — przerzuciłem się wzrokiem na rękę Leny, też na stole, i wtedy rączka bodaj drgnęła, czy stuliła się odrobineczkę, wcale nie byłem pewny, ale fifty, fifty... A co do Fuksa, to nie podobało mi się, może doprowadzało do pasji, że co robił, co mówił, wywodziło się z Drozdowskiego, z tej niechęci, tego nie znoszenia, nie tolerowania... tego nie... ba, gdybym sam nie miał tej sprawy z rodzicami w Warszawie, ale jedno z drugim, jedno żerowało na drugim. Znów mówił.

Stał w majtkach, na środku pokoju, i mówił. Zaproponował żebyśmy zbadali, czy strzałka na coś wskazuje — że, niby, co szkodzi sprawdzić, jak się przekonamy, że nie, to przynajmniej święty spokój, wiadomo, nie żadna strzałka przez kogoś umyślnie zrobiona, a tylko iluzja — nie ma innego sposobu na uzyskanie pewności, strzałka, czy nie strzałka.



Słuchałem cicho, zastanawiałem się, jak mu odmówić, nalegał dość słabo, ale ja też byłem słaby i w ogóle słabość przenikała wszystko. Poradziłem, żeby sam sprawdził, jeśli mu na tym zależy — zaczął nalegać, że będę mu koniecznie potrzebny dla dokładnego ustalenia kierunku, bo trzeba wyjść, wyznaczyć kierunek w korytarzu, w ogrodzie — w końcu powiedział „co dwóch, to nie jeden”. I nagle zgodziłem się i nawet od razu wstałem z łóżka, gdyż myśl o ruchu po ustalonej linii, przeszywającym, stanowczym, wydała mi się rozkoszniejsza od szklanki zimnej wody!

Nakładaliśmy spodnie.

Pokój wypełnił się teraz czynnościami zdecydowanymi i określonymi, które jednak będąc poczęte z nudów, z nieróbstwa, z kaprysu, kryły w sobie jakieś kretyństwo.

Zadanie nie było łatwe.

Strzałka nie wskazywała na nic w naszym pokoju, to od razu rzucało się w oczy, należało więc przedłużyć jej kierunek poprzez ścianę, zbadać czy nie odnosi się do czegoś na korytarzu i potem z korytarza przenieść jak najściślej tę linię w ogród — to wymagało dosyć skomplikowanych zabiegów, którym rzeczywiście nie podołałby bez mego współdziałania. Zeszedłem do ogrodu i wyciągnąłem z sionki grabie aby ich . drażkiem wyznaczyć na trawniku linię, odpowiadającą tej, którą Fuks sygnalizował z okienka klatki schodowej drażkiem szczotki. Dochodziła już piąta — rozpalenie żwiru, wysychanie traw wokół drzewek młodych, nie dających cienia — to było na dole — a w górze białe skłębienia obłoków dużych, okrągławych, w niemiłosiernej niebieskości. Dom spoglądał dwoma rzędami okien, parteru i pierwszego piętra — szyby się szklily...

Czy któraś z szyb spoglądała na mnie ludzkim wzrokiem? Oddawali się jeszcze popołudniowej drzemce — wnosząc z ciszy — ale było też niewykluczone, że za szybą ktoś się nam przygląda — Leon? Kulka? Kataria? — i było do pomyślenia, że ten ktoś patrzący był tym kimś, kto zakradł się do naszego pokoju, najpewniej w godzinach porannych, i wyłobit ową linię stwarzającą strzałkę — po co? Aby zakpić? Dla hecy? Aby coś dać do zrozumienia? Nie, to nie było dorzeczne! No tak, owszem, tylko że nedorzeczność, to taki kij, co ma dwa końce, i my z Fuksem od drugiego końca tej nedorzeczności ruszaliśmy się i działali zupełnie dorzecznie — i ja, oddany pracowitym zabiegom, musiałem jednak (jeśli nie chciałem sprzeniewierzyć się memu działaniu) liczyć się z możliwością spojrzenia, czyhającego spoza tych szyb męcząco błyszczących i oślepiających.

Brałem więc to pod uwagę. I wzrok Fuksa, spoglądający na mnie z góry, był mi w tym pomocny. Poruszałem się ostrożnie, żeby nie wzbudzić podejrzeń, pograbiłem nieco trawnik, niby zmęczony upałem rzuciłem grabie i nogą nadałem im nieznacznie właściwy kierunek. A te ostrożności przysparzały mojej współpracy z Fuksem większej intensywności, niż leżało w moich zamierzeniach, poruszałem się tutaj prawie jak jego niewolnik. W końcu ustaliliśmy kierunek strzałki — linia ta prowadziła aż za budkę z narzędziami przy murze, tam gdzie kończył się teren, gruzem i ceglami częściowo

zarzucony, będący przedłużeniem ogródka. Posuwaliśmy się w tamtą stronę powoli, zbaczając, niby to zajęci rozpatrywaniem kwiatów, ziół, rozmawiając, czasem gestykulując, i pilnie bacząc, czy coś nie nasunie się nam znaczącego. Od grządki do grządki, od patyczka do kamyczka, ze wzrokiem opuszczonym, pochłonięci ziemią, która ukazywała się nam popielata, żółtawa, ciemno rdzawa, nudna, zawila, ospała, monotonna, pustynna ale i twarda. Twarz z potu otarłem. To wszystko było stratą czasu!

Dotarliśmy w pobliże muru... ale tu zatrzymaliśmy się, bezradni... pokonanie tych dziesięciu brakujących kroków wydawało się trudne, zanadto rażące! Dotychczasowy nasz pochód przez ogródek pod spojrzeniem szyb był względnie łatwy — kilkadziesiąt metrów po równinie — ale i trudny jakąś utajoną trudnością, która czyniła zeń wspinaczkę prawie — a oto teraz trudność, wywołana wspinaczką coraz bardziej pionową i zawrotną, wzmogła się dotkliwie, było to jakbyśmy dochodzili do szczytu. Co za wysokość! Kucnął udając, że się przygląda robaczce, i tak, w kucki, niby za robakiem, dobił do muru; ja zboczyłem i pokręciłem się na boku aby połączyć się z nim okólną drogą. Byliśmy przy murze, na samym końcu, w kącie wytworzonym przez budkę.

Gorąco. Trawy niektóre bardziej wybujałe, kołyszące się na powiewie, po ziemi kroczy żuk, pod murem ptasie łajno — gorąco, ale inne, i zapach inny, jakby szczyń, przyśniła mi się odległość, było to odległe, jakbyśmy miesiące całe wędrowali, miejsce o sto tysięcy mil, na krańcach — zaleciało ciepłą zgnilizną, nie opodal była kupa śmieci, deszcze pod murem wytworzyły ściek — badyle, łodygi, gruz — grudki, kamyczki, — żółcizny jakieś... Znów gorąco, odmienne, nieznanne... tak, tak... dotarcie do tego kąta, żyjącego osobno, nawiązywało do tamtego gąszczu ciemno — chłodnego z tekturką i blaszką — z wróblem — mocą jak gdyby odległości tamto w tym się odezwało — i szukanie nasze tutaj jak gdyby ożyło.

Ciężkie zadanie... bo, jeśli nawet coś tutaj mogło kryć się, wskazanego przez strzałkę tam, na suficie, w naszym pokoju, jakże to odnaleźć w gmatwaninie, pośród zielsk, drobin, śmieci, przewyższających ilością wszystko co się mogło dziać na ścianach, czy sufitach. Przytłaczająca obfitość powiązań, skojarzeń... Ileż zdań można utworzyć z dwudziestu czterech liter alfabetu? Ileż znaczeń można wyprowadzić z setek chwastów, grudek i innych drobiazgów? Z desek budki, z muru, też tryskał bezlik i nawał. Znudziło mi się. Wyprostowałem się i spojrzałem na dom i ogródek — te wielkie kształty syntetyczne, olbrzymie mastodonty świata rzeczy, przywracały ład — wypoczywałem. Wracać. Miałem to powiedzieć Fuksovi, ale twarz jego, wlepiona w jeden punkt, mnie zahamowała.

Troszkę powyżej naszych głów mur rozharatany tworzył wnękę, składającą się jak gdyby z trzech jaskiń, coraz mniejszych — w jednej z nich coś wisiało. Patyk. Patyczek, ze dwa centymetry długości. Wisiał na nitce białej, niewiele dłuższej. Zahaczony o wyszczerbienie cegły.

Nic więcej. Przeszukaliśmy jeszcze raz wszystko naokoło. Nic. Ja się odwróciłem i popatrzyłem na dom, lśniący szybami. Już owiewała świeżość, zwiastująca wieczór,

oddech wyprowadzający liście i trawy z zastygnięcia w spiekocie. Drgnęły listki drzewek, stojących rzędem, podpartych palikami, pomalowanych wapnem.

Wróciliśmy do pokoju.

Rzucił się na łóżko. — Jak by nie było, strzałka do czegoś doprowadziła — wyrzekł ostrożnie, a ja z nie mniejszą ostrożnością odmruknąłem: — Niby do czego?

A jednak trudno było udawać, że się nie wie: powieszony wróbel — powieszony patyk — to powieszenie patyka na murze powtarzające tamto powieszenie w gąszczu — rezultat dziwny, wskutek którego intensywność wróbla wzmogła się naraz (ujawniając jak bardzo tkwił on w nas mimo pozorów niepamiętania). Patyk i wróbel, wróbel wzmocniony patykiem! Trudno było nie myśleć, że ktoś tą strzałką doprowadził nas do patyka by nawiązać do wróbla... po co? na co? Żart? Kawał? Ktoś nam wypłatał psikusa, zadrwił, zabawił się... czułem się niepewnie, a on również, i to nas skłaniało do ostrożności.

— Nie dałbym trzech groszy, czy ktoś się z nas nie nabija.

— Kto?

— Ktoś z nich... Z tych, co byli obecni jak opowiadałem o wróble i jakeśmy rozpoznali strzałkę na suficie w stołowym. Ten ktoś wyłobił strzałkę w naszym pokoju, która doprowadza do czego? Do patyka na nitce. Kawał. Nabieranie gości.

To jednak nie trzymało się kupy. Komuż by się chciało uprawiać tak skomplikowane żarty? Po co? Któż mógł wiedzieć, że odkryjemy strzałkę i zainteresujemy się nią aż tak bardzo? Nie, to był czysty przypadek — ta pewna, niewielka zresztą, zbieżność między patykiem na nitce a wróblem na drucie. Zgoda, patyk na nitce, tego nie widuje się co dzień... ale przecie ten patyk mógł wisieć z tysiąca przyczyn, nie mających nic wspólnego z wróblem, wyolbrzymiliśmy jego znaczenie, ponieważ ukazał się nam u samego kresu naszych poszukiwań, jako ich rezultat — naprawdę nie był żadnym rezultatem, był tylko patykiem na nitce... Przypadek zatem? Owszem... ale jakaś skłonność do składowości, coś jak gdyby mgliście zahaczającego, dawała się wyczuwać w szeregu tych zdarzeń — powieszony wróbel — powieszony kurczę — strzałka w stołowym — strzałka w naszym pokoju — patyk wiszący na nitce — przebijało się w nich jakieś parcie ku sensowi, jak w szaradach, gdy litery zaczynają zmierzać do ułożenia się w słowo. Jakie słowo? Tak, wydawało się jednak, że wszystko chciałoby sprawować się w myśl jakiejś myśli... Jakiej?

Jaka myśl? Czyja myśl? Jeśli była to myśl, to ktoś musiał być za nią — ale kto? Komuż by się chciało? A gdyby... a jeśli Fuks mi wypłatał psikusa, bo ja wiem, z nudów... ale nie, gdzieżby tam Fuks... tyle wysiłku wkładać w głupi figiel... nie, to też nie trzymało się kupy. Przypadek zatem? Byłbym się zgodził może w końcu, że czysty przypadek gdyby nie inna anormalność, która poniekąd miała skłonność do zahaczenia o tę

anormalność... gdyby ta dziwność z patykiem nie była poparta inną dziwnością, o której wolałem nie mówić Fuksowi.

— Katarisia.

Widać i jemu nasunęło się przynajmniej jedno oblicze Sfinksa — siedział na łóżku z głową pochyloną kołysząc z wolna zwisającymi nogami.

— Co? — zapytałem.

— Jak się ma taki dzióbek zmanierowany... — zamyślił się i dodał chytrze. — Swój do swego po swoje!... To mu się podobało, powtórzył z przekonaniem. — Mówię ci, możesz mi wierzyć, swój do swego po swoje.

Rzeczywiście... wargę i patyk wydawały się na oko spowinowacone, a także wargę i wróbel, chociażby dlatego, że wargę była taka niesamowita... ale co? Ale przyjąć, że Katarisia bawiła się w tak wyrafinowane intrygi? Nonsens. A jednak istniało jakieś pokrewieństwo... i te pokrewieństwa, te skojarzenia, otwierały się przede mną, jak ciemna jama, ciemna, ale wciągająca, wsysająca, gdyż za wargę Katarisia majaczyło się rozchylenie — stulenie Leny i nawet doznałem gorącego wstrząsu, bo jednak ten patyk, odnoszący się do wróbla w krzakach, był niejako pierwszym (och, bladym, niejasnym) znakiem w świecie obiektywnym, który poniekąd potwierdzał moje majaki odnośnie do ust Leny „odnoszących się” do ust Katarisia — analogia nikła, fantastyczna, ale przecież wchodziło w grę to samo „odnoszenie się”, ustalające jakby układ jakiś. Czy wiedział coś o tym związaniu, czy skojarzeniu, ustnym pomiędzy Leną i Katarisia — czy coś takiego mu się uwidziało — czy też to było tylko i wyłącznie moje?... Za nic bym się nie zapytał... tylko ze wstydu. Za nic bym nie oddał tej sprawy jego głosowi i wylupiastym oczom, które Drozdowskiego wyprowadzały z równowagi, mnie osłabiało, tłumilo, dręczyło, że on z Drozdowskim, ja z rodzicami, nie chciałem go ani na powiernika, ani na kolegę! Nie chciałem — i w ogóle „nie” było kluczowym słowem naszego stosunku. Nie i nie. A jednak podnieciło mnie, gdy powiedział „Katarisia” — ucieszyłem się prawie, że ktoś inny, nie ja, dojrzał jakąś możliwość wspólności między jej wargą a patykiem i ptakiem.

— Katarisia — mówił z wolna, z namysłem — Katarisia... Ale już widać było, że po niedługiej euforii wraca mu bladeść biaława spojrzenia, Drozdowski jawił się na horyzoncie, i już tylko dla zabicia czasu snuł niezdarne wywody: — Mnie od razu to jej... to co ona ma z ustami, wydało się... ale... i tak siak... wewtę i wewtę... Jak uważasz?

Nikłość, nieuchwytność, zmusiły nas do odwrotu, zabraliśmy się, ja do moich skryptów, on do notatek, ale roztargnienie mnie nie opuszczało i rosło w miarę zapadania wieczoru, jasność naszej lampy przewiercał wrastający mrok tamtych miejsc, za drogą, na skraju ogrodu. Inna jeszcze nawiedzała możliwość. Któż mógłby zaręczyć, że oprócz strzałki odkrytej przez nas, jakieś inne znaki nie kryją się na ścianach, lub gdzie indziej, na przykład, w kombinacji plamy nad umywalnią z kołkiem, leżącym na szafie, w poharataniach podłogi... Na jeden znak, przypadkiem odcyfrowany, ileż mogło być niezauważonych, zaszytych w naturalnym porządku rzeczy? Co pewien czas wzrok odrywał mi się od papierów i zapuszczał w głębie pokoju (w sekrecie przed Fuksem, któremu pewnie też wybiegały oczy). Ale ja się tym nie przejmowałem zanadto, zwiewność fantastyczna tej historii z patykiem, rozpraszającej się nieustannie, nie zezwalała na nic, co by nie było takie, jak ona, znikome.

W każdym razie rzeczywistość otaczająca była już jak zakażona możliwością znaczeń i to mnie odrywało, ciągle od wszystkiego mnie odrywało, przy czym wydawało się komiczne, że takie coś, jak patyk, zdołało w tym stopniu mnie poruszyć. Kolacja, nieunikniona jak księżyc — znów miałem Lenę przed sobą. Przed zejściem na kolację Fuks zauważył, że „nie warto o tym wszystkim opowiadać”, i słusznie, dyskrecja była wskazana, jeśli nie chcieliśmy by nas wzięto za parę dudków i lunatyków. Kolacja tedy. Pan Leon zając jadając rzodkiewki opowiadał, jak to przed laty dyrektor Krysiński, jego zwierzchnik w banku, uczył go sztuki zwanej przez niego „smykałką”, albo „kontrastem”, którą — jak twierdził — powinien mieć w pięciu palcach każdy szanujący się kandydat na wyższego urzędnika.

Naśladował gardłowy, ściszony, głos dyrektora Krysińskiego, nieboszczyka: — Leon, weź do serca, co mówię, zauważ, to kwestia takiej smykałki, rozumiesz? Jeśli, weźmy taki przypadek, musisz skarcić urzędnika, co ci wypada zrobić jednocześnie? No, naturalnie, chłopie, wyciągasz papierośnicę i częstujesz go papierosem. Dla kontrastu, uważasz, dla smykałki. Jeśli z klientem wypadnie ci być szorstkim, nieprzyjemnym, trzeba abyś się uśmiechnął jeśli nie do niego, to do sekretarki. Bez takiej smykałki on ci się zanadto zamknie, stwardnieje. A jak z klientem, na odwrót, jesteś słodki, podpuść od czasu do czasu słówko grubsze, żeby go wysmyczyć z ewentualnego zastygnięcia, bo jak ci stwardnieje i zastygnie, to co? No, proszę ja panów — opowiadał z serwetą uwiązaną pod brodą i z wyciągniętym palcem — i kiedyś przypyla się na inspekcję prezes banku, ja już wtedy byłem dyrektorem filii, podejmuję go Szczytnie, z honorami, ale podczas obiadu pośliznęła mi się noga i wylałem na niego pół karafki wina czerwonego. A on na to: — Widzę, że pan ze szkoły dyrektora Krysińskiego!

Uśmieł się przycinając sobie rzodkiewkę, smarując masłem, posypując solą... zanim wsadził w usta przyglądał się jej przez chwilę z uwagą. — Hej! Oj! Oj, żebym ja o banku, na rok byłoby gadania, trudno wyrazić, wysupłać, sam jak myślą się zapuszczę, nie wiem

za co się złapać, tyle, tyle tego, dni, godzin. Boże, Bożuniu mój, Bożuniu święty, miesiący, lat, sekund, żarłem się i gryzłem z sekretarką prezesa, głupia, żal się Boże mój miłościwy i donosicielka, raz poleciała do dyrektora, że ja do kosza naplułem, ja mówię, czyś pani zgłupiała?... ale co tu gadać, dużo do gadania, skąd, dlaczego o te plwociny poszło, a jak, a co, jak narastało z miesiący, z lat...

Kto by spamiętał? Co tam gaduchnum powielachnum mmme!... Zastygł w zamyśleniu i wyszeptał dodatkowo: — A jaką ona miała wtedy bluzkę? Ani rusz nie mogę sobie... jaką... Tę z wyszywkami?... Przerwał sobie zamyślenie i wykrzyknął rześko do Kulki: — Kukuchny, co tam, było nie było, kukuku Kulaszka! — Kołnierz masz zawinięty — powiedziała Kulka, odstawiła słoik i zabrała się do kołnierza. — Trzydzieści siedem lat pożycia małżeńskiego, proszę paniusiów moich, było nie było w każdym razie, słodusium, pamiętuchy Kuluchy, my nad Wisłą, modrą Wiselką, raz w deszcz, ba, ba, co tam, ile to lat, landrynki landrykusie, kupiłem landrynków, z dozorcą, dozorca, a z dachu ciekło, hej, hej, hejuchna, matuchna, ile to lat, w kafejce, ale jaka to kafejka, gdzie, wywietrzało, poszłoooo, fiut, fiut... Już nie skleję... Trzydzieści siedem! Co tam... Hej, ha! — ucieszył się i zamilkł, zamknął się w sobie, wyciągnął rękę, sięgnął po chleb i z wolna robił gałeczkę, przyglądał się, ucichł, zanucił Ti-ri-ri.

Odkroił kawałek chleba, obciął z boku, żeby był kwadratowy, nasmarował masłem, zrównał masło, poklepał nożem, obejrzał, posypał solą i wsunął do ust — zjadł. I jakby stwierdzał, że zjadł. Patrzyłem na strzałkę, która na suficie rozlała się, rozplynęła, co za strzałka, jak mogliśmy dopatrzeć się w tym strzałki?! Patrzyłem też na stół, na obrus, trzeba przyznać, że możliwości widzenia są ograniczone — otóż na obrusie ręka Leny spoczywająca, rozluźniona, niewielka, kawowa, ciepło chłodna, wyrastająca przegubem z dalszych białości ramienia (których raczej domyślałem się, bo już tam wzrokiem się nie zaganiałem) otóż ta dłoń była cicha i beczynna, ale przy bliższym wejrzeniu dostrzegano się w niej drżenia, było to, na przykład, drżenie skóry u nasady czwartego palca, albo dotykanie się dwóch palców, trzeciego i czwartego — raczej embryony ruchu, ale czasem przechodzące w ruch rzeczywisty, w dotykanie wskazującym obrusa, w ocieranie się paznokcia o fałdę... było to tak dalekie od samej Leny, że wyczuwałem ją, jak wielkie państwo, pełne ruchów wewnętrznych, nie — skontrolowanych, poddanych zapewne prawom statystyki... w liczbie tych ruchów był jeden, mianowicie powolne stulanie dłoni, ściąganie leniwe palców w garść, ruch wtulający, wstydlivy... już poprzednio wpadł mi w oko... ależ, czy on był tak zupełnie bez związku ze mną?... Któż mógł wiedzieć, ciekawe, że to na ogół zdarzało się wraz z opuszczeniem oczu (tych prawie nie widziałem), ani razu nie podniosła ich przy tej okazji. Ręka mężowska, ta obrzydliwość eroto-nieeroto-erotycznie-nieerotyczna, cudactwo obarczone erotyzmem przymusowym „poprzez nią” i w związku z jej rączką, ta ręka zresztą przyzwoicie się prezentująca... też tutaj, na obrusie, w pobliżu... I, naturalnie, owe stulenia jej dłoni mogły odnosić się do jego ręki, ale też mogły pozostawać w lekkim—leciutkim związku z moim przypatrywaniem się spod powiek zmrużonych, choć, przyznać trzeba, prawdopodobieństwo było prawie żadne, jeden na milion, ale hipoteza, przy całej nikłości swojej, była wybuchowa, jak iskra zapalająca i jak tchnienie wywołujące powietrzną trąbę!... Bo i, kto wie, ona mogła nawet nienawidzieć tego mężczyzny, któremu nie chciałem się dobrze przyjrzeć, bo się bałem,

któremu błąkałem się zawsze gdzieś na peryferiach i który był nie wiedzieć jaki, podobnie zresztą jak i ona... bo, gdyby na przykład okazało się, że ona u mężowskiego boku oddaje się stuleniom pod moim spojrzeniem, no to cóż, mogła być taka, ten grzeszek mógł być doczepiony do jej niewinności i trusiowatości, które (niewinność i trusiowatość) stałyby się w tym wypadku wyższym szczeblem perwersji. Dzika potęgo myśli wątlej! Tchnienie wybuchające!; Kolacja była w pełnym toku, Ludwikowi coś się przypomniało, wyjął notes, Fuks głądził, mówił do Leona „to ona była taka jędza” albo „tyle lat w banku, no, no!” a Leon z brwią zmarszczoną, z twarzą łyska w binoklach rozpowiadał, co i jak, dlaczego „a bo niech pan sobie wyobrazium”... „nie, bo ona tej bibułki nie używała”... „tam był taki blat”... i Fuks przysłuchiwał się byle nie myśleć o Drozdowskim. Ja myślałem „a jeśli z mojego powodu się tuli” i wiedziałem, że ta myśl jest do niczego, ale co to, skręt, wstrząs, kataklizm, Kulka nagłym zrywem swej tłustości daje nura pod stół, jest pod stołem, przez jeden moment stół szaleje z Kulką... co to? To był kot. Wyciągnęła go spod stołu z myszą w paszczy.

Po rozmaitych bąblach, wytryskach, wypryskach słownych, które zapieniły się w gwałtownym kotle katarakty, wody naszego przebywania przy stole, ta rzeka szumiąca, płynąca, wróciły do swojego koryta, kota wyrzucono, znowu stół, obrus, lampa, szklanki, Kulka wygląda jakies tam schropowacenia serwety, Leon wyciągniętym palcem zapowiada nadchodzący dowcip, Fuks poruszył się, otwierają się drzwi, Katarasia, Kulka do Leny „daj no salaterkę”, nicosć, wiecznosć, żadnosć, spokój, ja znowu kocha go nienawidzi rozczarowana oczarowana szczęśliwa nieszczęśliwa, ale mogła być tym wszystkim naraz, ale najpewniej nie była niczym z tego wszystkiego, a to z tej po prostu przyczyny, że rączka była za mała, to nie ręka, tylko rączka, więc czym tam ona mogła — być z taką rączką, nie mogła być niczym, ona była... była... potężna w swoim efekcie, ale w sobie żadna... odmęt... odmęt... odmęt... zapalki, okulary, zatrzask, koszyk, cebula, pierniki... pierniki... żebym ja musiał tak tylko bokiem, na boku, spode łba, tam gdzie ręce, rękawy, ramiona, szyja, zawsze na peryferiach, a twarzą w twarz tylko od czasu do czasu, przy święcie, gdy nadarzy się pretekst żeby spojrzeć, w tych warunkach cóż można wiedzieć, ale, gdybym mógł się patrzeć do woli, także nie... ha, ha, ha, śmiech, i ja się śmieję, anegdota, anegdota Leona, Kulka piszczy, Fuks w drgawkach... Leon z palcem wyciągniętym krzyczy „słowo honoru”... ona też się śmieje, ale to tak tylko, żeby śmiechem ozdobić ogólny śmiech, ona to wszystko tak tylko... żeby ozdobić... ale, gdybym mógł patrzeć do woli, także nie wiedziałbym, nie, nie wiedziałbym, bo między nimi mogło być wszystko...

— Potrzebna mi nitka i patyczek.

Cóż to znowu? Fuks do mnie. Odpowiedziałem:

— Do czego?

Cyrkła zapomniałem przywieźć... psiakość... a muszę narysować kółko, potrzebne mi do wykresu. Jakbym miał nitkę i patyczek, to by wystarczyło... Mały patyczek i odrobinę nitki.

Ludwik grzecznie „mam zdaje się cyrkiel na górze, będę mógł panu służyć”, Fuks dziękował (butelka i korek, ten kawałek korka) tak, ach, rozumiem, spryciarz, ach...

To było, żeby powiadomić sekretnie ewentualnego kawalarza, że zauważyliśmy strzałkę na naszym suficie i odkryliśmy patyk na nitce. To było na wszelki wypadek — jeśli rzeczywiście ktoś zabawiał się w intrygowanie nas znakami, niechaj wie, że do nas doszły... i że oczekujemy dalszego ciągu. Szansa była minimalna, ale cóż go kosztowało wypowiedzieć tych kilka słówek? Ujrzałem ich naraz w dziwnym świetle tej możliwości — że sprawca jest między nimi — a jednocześnie patyk i ptak się nasunęły, ptak w gąszczu, patyk na samym końcu ogrodu, w tej swojej grocie małej. Poczulem się między ptakiem i patykiem, jak pomiędzy dwoma biegunami i całe nasze zgromadzenie, przy stole, pod lampą, ukazało mi się jako szczególna funkcja tamtego układu, będąca „względem” ptaka i patyka — czemu nie byłem niechętny, gdyż ta niesamowitość torowała drogę innej niesamowitości, która mnie męczyła, ale i fascynowała. Boże! Jeżeli ptak, jeżeli patyk, to może i dowiem się w końcu, co z ustami. (Skąd? Jak? Nedorzeczność!)

Natężenie uwagi wiodło w roztargnienie... czemu też byłem powolny, gdyż to pozwalało mi być tutaj i gdzie indziej jednocześnie, dostarczało rozluźnienia... Wzejście Katasinej perwersji i jej krążenie, to tu, to tam, bliżej, dalej, nad Leną, za Leną, powitałem rodzajem głuchego wewnętrznego „aaach”, jak ktoś zachłyśnięty. Znowu i jeszcze bardziej, ledwie uchwytnie zepsucie uboczne owych warg nadpsutych związało mi się — nachalnie! — ze stuleniem zwyczajnym i uwodzającym ustek mojego vis-à-vis i ta kombinacja, słabnąca lub nasilająca się zależnie od konfiguracji, wprowadzała w sprzeczności takie, jak dziewiczość wyuzdana, nieśmiałość brutalna, stulenie wybałuszone, bezwstydnym wstyd, zimny żar, trzeźwe pijaństwo...

— Ojciec tego nie rozumie.

— Czego nie rozumiem? Czego?!

— Organizacji.

— Jaka tam organizacja! Co za organizacja!

— Racjonalna organizacja społeczeństwa i świata.

Leon atakował Ludwika przez stół łysiną: — Co ty chcesz organizować? Jak organizować?

— Naukowo.

— Naukowo! — oczami, binoklami, zmarszczkami, czaszką, przesłał mu ładunek politowania, zniżył głos do szeptu. — Człowieczuniu — pytał konfidencjonalnie — czyś z główką poszedł po rozumek do makówki? Organizować! To ty sobie wymarzasz, wysmażasz, że tak tum tak pak złapie się wszystko w garść, co? I palcami drapieźnie zagiętymi tańczył przed nim, a potem je rozłożył i dmuchnął w nie: — Fiuuuu! Pyf! Uciekło.



Fyyyy, pum, pum, pum, papapa, eeeee... rozumiesz... pua, pua, i co ty tam, czego ty tam, jak ty, co ty... Uciekło. Przeciekło. Nie ma.

Zapatrzył się w salaterkę.

— Nie mogę o tym z ojcem dyskutować.

— Nie? Proszę! Dlaczego?

— Bo ojcu brak przygotowania.

— Jakiego?

— Naukowego.

— Naukowczuniu — mówił z wolna — zwierzę mi, proszę, zwierzę memu śnieżno dziewiczemu łonu jak ty z tym naukowym przygotowaniem będziesz or-ga-ni-zo-wał, w jaki deseń, pytam, jak, jak ty to tam z tym do czego, pytam, jak z czym i po co i ku czemu i gdzie, jak ty, pytam, to z tym, tamto z tamtym, owo z owym, gwoli czemu, jak... — ugrzązł i spoglądał niemo, a Ludwik nabrał na talerz trochę kartofli i to Leona wyrwało z niemoty. — Co ty wiesz?! — wybuchnął gorzko. — Studia! Studia! Ja ta nie studiował, ale lata myślał... myślę i myślę... odkąd z banku wyszedłem nic tylko myślę, mnie głowa pęka od myślenia, co ty tam, czego ty tam, co tam tobie do... daj spokój, daj spokój!... Ale Ludwik zjadał listek sałaty i Leon opadł, uspokoiło się, Kataria zamykała kredens,. Fuks zapytał ile stopni, oj, upał, pani Mańcia podsuwała Katarie naczynia, król szwedzki, półwysep skandynawski, a zaraz potem gruźlica, zastrzyki. Stół był teraz o wiele przestronniejszy, tylko filiżanki z kawą, lub herbatą, koszyk z chlebem i kilka serwetek, zwiniętych już — jedna, Leona, była rozłożona. Piłem herbatę, senność, nikt się nie ruszał, siedziano swobodniej na krzesłach nieco odsuniętych, Ludwik sięgnął po gazetę, Kropka zastygła. Od czasu do czasu zdarzały jej się także zastygnięcia, zupełnie puste, bez wyrazu, kończące się ocknięciem nagłym, jak plusk, gdy do wody wrzucić kamień. Leon miał na ręce brodawkę z kilkoma włoskami, przyglądał się jej, wziął wykałaczkę i zaczepiał nią o te włoski — znów się przyjrzał — wpuścił pomiędzy włoski odrobinę soli z obrusa i patrzył. Uśmiechnął się. Ti-ri-ri.

Dłoń Leny pojawiła się na obrusie, obok filiżanki. Wielki rozhowor zdarzeń, nieustających fakcików, jak rehot żabi w stawie, rój komarów, rój gwiazd, chmura mnie zawierająca, mnie zacierająca, ze mną płynąca, sufit z archipelagiem i półwyspami, z punkcikami i zaciekami, aż po nudną białość nad roletą... bogactwo drobiazgów, które może i było pokrewne moim i Fuksa grudkom, patyczkom etc... a może i z drobiazgami Leona jakoś to się łączyło... bo ja wiem, może dlatego tylko tak myślałem że byłem nastawiony na drobiazgi... rozdrobniony... och, ja byłem taki rozdrobniony!...

Kataria podsunęła Lenie popielniczkę.

Mnie uderzyło wyslizgującym się zimnym nieforemnym usta buch w usta precz won siatka z nogą skręcone wykręcone i cisza głucha cisza jama nic... a z zamętu, z rozbełtania (gdy Katarasia już odstała) jawi się konstelacja ustna błyszcząca nieodparcie, jaśniejąca. I ponad wszelką wątpliwość: usta odnoszą się do ust!

Spuściłem oczy, znów tylko rączkę widziałem na obrusie, podwójnoustą dwościewargową i tak i siak dwoistą niewinnie zepsutą czystą oślizgłą wlepiłem się oczami w rączkę oczekując, wtem stół zaroił się rękami, co to, rączka Leona, rączka Fuksa, ręce Kulki, ręce Ludwika, tyle rąk w powietrzu... a to osa! Osa wleciała do pokoju. Wyleciała. Ręce się uspokoiły. Znowu — opadająca fala, spokój wraca, ja myślę jak to z tymi rękami, co to takiego, Leon odezwał się do Leny: — Rozliczna przygodo.

„Rozliczna przygodo, daj no tatce zapalający się fosfor” (zapałki). „Rozliczna przygodo” mawiał do niej, albo „tusiołku osiołku” albo „zachwyteńku pomaleńku”, lub jeszcze inaczej. Kulka zaparza ziółka, Ludwik czyta, Fuks dopija herbatę! Ludwik odkłada gazetę, Leon spogląda, ja myślałem, jak to, niby, czy ręce zaroily się, zawrzały, dlatego, że osa, czy dlatego, że ręka na stole... bo, formalnie biorąc było niewątpliwe, że ręce zaroily się z powodu osy... ale któż mógł zaręczyć, czy osa nie była tylko pretekstem dla wezbrania rąk w związku z jej rączką... Podwójny sens... a to rozdwojenie łączyło się może (któż mógł wiedzieć) z rozdwojeniem ust Katarasia — Lena... z rozdwojeniem wróbel — patyk... Błądziłem. Spacerowałem sobie na peryferiach. W świetle lampy była ciemność krzaków za drogą. Spać. Korek na flaszcze. Kawałek korka, przyklepiony do szyjki tej butelki, wylania się i nasuwa...

#### IV

Następny dzionek pojawił się roztargniony, suchy i błyszczący, w lśnieniu, niepodobna było skupić uwagi, z niebieskości niebios wytaczały się kuliste obłoczki, pulchne i niepokalane. Zanurzyłem się w skryptach, gdyż po wczorajszych nadużyciach zapanowała we mnie surowość, odraza do dziwactw, asceza. Pójść do patyka? Zobaczyć, czy coś nowego nie zaszło, zwłaszcza po dyskretnym powiadomieniu wczoraj, przy kolacji, przez Fuksa, że patyk i nitka zostały przez nas wykryte?... Wstrzymywał mnie niesmak do tej historii, potworkowatej jak płód niedonoszony. Wsadziwszy głowę w ręce, wkuwałem, a zresztą wiedziałem, że w pójściu do patyka Fuks mnie wyręczy, choć nie próbował ze mną mówić o tym — bo temat już się nam wyczerpał — ale wiedziałem, że z wewnętrznej próżni pójdzie tam, do muru. Skupiłem się na skryptach, a on kręcił się po pokoju, w końcu poszedł. I wrócił, zjedliśmy, jak zawsze, drugie śniadanie w naszym pokoju (przyniosła Kataria), ale nic nie mówił... aż dopiero około czwartej, po drzemce, odezwał się z łóżka: — Chodź no, coś ci pokażę.

Nie odpowiedziałem — miałem ochotę upokorzyć go — brak odpowiedzi był najdotkliwszą odpowiedzią. Upokorzony, milczał, nie ośmielił się nalegać, ale mijały minuty, zacząłem się golić, w końcu zapytałem: — Jest coś nowego? Odpowiedział: — I tak, i nie. Kiedy skończyłem z goleniem, rzekł: — No, chodź, pokażę ci. Wyszliśmy z zachowaniem zwykłych ostrożności wobec domu, który spoglądał szybami, dotarliśmy do patyka. Powiało rozpaleniem muru i wonią szczyń, czy jabłek, tuż obok był ściek i żółte źdźbła... dalekość, kraniec, życie osobne w ciszy gorącej, brzęczenie. Patyk był, jakeśmy go zostawili, wisiał na nitce.

— Przyjrzyj się temu — wskazał kupę rupieci w otwartych drzwiczkach budki. — Widzisz coś?

— Nic.

— Nic?

— Nic.

— Zupełnie nic?

— Nic.

Stał przede mną i nudził — mnie, siebie.

— Popatrz na ten dyszel.

— Co?

— Zauważyłeś go wczoraj?

— Możliwe.

— Czy leżał akurat tak samo? Czy od wczoraj nie zmienił położenia?

Nudził — i nie miał co do tego złudzeń — ział fatalizmem człowieka, który musi nudzić, stał pod murem i to wszystko było jałowe do ostateczności, czcze. Naciskał: — Przypomnij sobie... ale wiedziałem, że naciska z nudów, i to mnie nudziło. Mrówka żółta maszerowała po dyszlu złamanym. Na szczycie muru łodyżki jakiegoś ziela rysowały się czysto w przestworzu, nie pamiętałem, skąd miałem pamiętać, może dyszel zmienił położenie, może nie zmienił położenia... Kwiatek żółty.

Nie dawał za wygraną. Stał nade mną. Co było przykre, to iż w tym miejscu oddalonym pustka naszego znużenia spotykała się z pustką tych tam rzekomych znaków, poszlak, nie będących poszlakami, z całą tą bzdurą — dwie pustki, a my między nimi. Ziewnąłem. Powiedział. Przypatrz się, w co ten dyszel celuje.

— W co?

— W pokoik Katasi.

— Tak. Dyszel był wycelowany wprost w jej pokoik przy kuchni, w tej przybudówce, obok domu.

— Aa...

— Właśnie. Jeśli dyszel nie został ruszony, no to nic, rzecz jest bez znaczenia. Ale jeśli został ruszony, to po to żeby nas na Katasię naprowadzić... Ktoś, uważasz, kto skapował z tego, co ja o patyku i nitce napomknąłem wczoraj przy kolacji, że my już jesteśmy na tropie, przychodzi tutaj w nocy i dyszel nastawia na pokoik Katasi. To jakby nowa strzałka. Wiedział, że jeszcze raz przyjdziemy popatrzeć, czy nie ma nowego znaku.

— Ale skądże ty wiesz, że dyszel został ruszony?

— Pewności nie mam. Ale coś mi tak wygląda. Na trocinach jest ślad, jakby przedtem inaczej leżał... A też popatrz na te trzy kamyki... i te trzy kołki... i te trzy trawki wyrwane... i te trzy guziki, od siodła chyba... Nic nie widzisz?

— Co?

— Formują jakby trójkąty, wskazujące na dyszel, jakby ktoś chciał zwrócić naszą uwagę na dyszel... taki, uważasz, rym ku dyszłowi wytwarzają. To jest... chyba... jak uważasz?

Oderwałem się od mrówki żółtej, która raz po raz pojawiała się między rzemieniami pędząc w lewo, w prawo, w tył, naprzód, prawie go nie słuchałem, słuchałem piąte przez

dziesiąte, jakież idiotyczne, nędza, bieda z nędzą, upokorzenie, cała ta zgaga nasza, niesmak, bzdura, unoszące się nad kupą gruzu i rupieci, pod tym murem, i gęba jego ryża, wylupiasta, wzgardzona. Zacząłem znów wywodzić, że komu by się chciało, kto by tam fabrykował znaki tak nieznaczne, że prawie niewidoczne, któż mógłby kalkulować, że my się połąpimy w zmianie kierunku dyszla... przecie nikt z klepkami w porządku... Ale mi przerwał: — A kto ci powiedział, że ten ktoś ma klepki w porządku? A druga rzecz: skąd wiesz, ile on znaków fabrykuje? Może myśmy tylko jeden z wielu odkryli... Objął ruchem ręki ogród i dom: — Tu może roi się od znaków...

Staliśmy — gruda, pajęczyna — i już było wiadomo, że tego tak nie zostawimy. Cóż innego mieliśmy do roboty?

Wzięłem do ręki kawałek cegły, obejrzałem, odłożyłem i powiedziałem: — No co? Będziemy śledzić po linii dyszla? Roześmiał się wstydliwie.

— Nie ma rady. Sam rozumiesz. Dla świętego spokoju. Jutro niedziela. Ona ma wychodne. Trzeba będzie zrobić rewizję w jej pokoiku, zobaczy się, czy tam czego się nie zobaczy... A jak nie, przynajmniej skończy się zawracanie głowy! Wpatrywałem się w gruz, on także — jakbym chciał odczytać z niego nieznaczny a świński umyk boczący się wargi i, rzeczywiście, zdawało się, że gruz, orczyki, rzemienie, śmiecie jęły pulsować atmosferą wyślizgnięcia krążącego, zarysem tego wypaczenia... wraz z popielniczką, siatką łóżka, stuleniem i rozchyleniem... i wszystko to już wibrowało, wrzało, dosięgając Leny, co mnie przerażało, bo, pomyślałem, jakżeż to, znowu będziemy działać i działając urzeczywistniać... wprowadzimy w akcję cały ten dyszel, ja będę dobierał się do ust od strony, teraz, tego gruzu — co mnie zachwycało — gdyż, myślałem, och, zaczniemy działać, wdrzemy się działaniem w zagadkę, ba, ba, przedostać się do pokoiku Katasi, rewidować, zobaczyć, sprawdzić! Sprawdzić! Och, działanie wyjaśniające! I, och, działanie zaciemniające, w noc, w chimere wprowadzające!

Nie, mimo wszystko, poczułem się lepiej — powrót nasz żwirowaną ścieżką był jak powrót dwóch detektywów — opracowywanie naszych planów we wszystkich szczegółach pozwoliło mi przetrwać z honorem do dnia następnego. Kolacja przeszła spokojnie, moje pole widzenia ograniczało się coraz bardziej do obrusa, coraz trudniej przychodziło mi podnosić wzrok na nich, patrzyłem na obrus, gdzie rączka Leny... dziś spokojniejsza, bez drgnień wyraźniejszych (ale to mogło być właśnie dowodem, że to ona dyszel nastawiła!)... i inne ręce, na przykład ręka Leona, ospała, lub dłoń Ludwika eroto- nieeroto i rączyna Kulki, jak kartofel na buraku, piąsteczka wystająca z babsztylowatego ramienia, rozłożystego, co wywoływało nieprzyjemność cicho wzrastającą... która stawała się jeszcze nieprzyjemniejsza w okolicach łokcia, gdzie czerwoność spierzchnięta przechodziła w sine i fioletowe zatoczki, będące wprowadzeniem w inne zakamarki. Kombinacje, zawile, męczące, rąk, podobne do kombinacji na suficie, na ścianach... wszędzie... Ręka Leona przestała bębnić, ujął on dwoma palcami ręki prawej palec ręki lewej i tak go trzymał przypatrując się z uwagą, zastygła w uśmiechu marzącym. Oczywiście rozmowa tam, w górze, nad rękami, nie ustawała, ale ledwie to i owo mnie dochodziło, zahaczano o rozmaite tematy, a w pewnej chwili Ludwik

powiedział, że jak ojciec myśli, niech ojciec wyobrazi sobie dziesięciu żołnierzy, idących gęsiego jeden za drugim, jak ojciec myśli, ile czasu potrzeba by na zużycie wszystkich możliwych kombinacji w uszeregowaniu tych żołnierzy, przedstawiając na przykład trzeciego na miejsce pierwszego i tak dalej... gdybyśmy przyjęli, że co dzień dokonujemy jednej zmiany? Leon zastanowił się: — za trzy miesiącusium? Ludwik powiedział:

— Dziesięć tysięcy lat. To zostało obliczone.

— Człowieku — powiedział Leon. — Człowieku... Człowieku... Zamilkł, siedział nastrozony. Mogłoby się zdawać, że użyte przez Ludwika słowo „kombinacja” pozostaje w pewnym związku z „kombinacjami”, które mnie się nasuwały, mogłoby wydać się pewnym dość szczególnym zbiegiem okoliczności, że on napomknął o kombinacjach żołnierzy akurat, gdy ja tonąłem w tylu kombinacjach — czyż to prawie nie wyglądało na głośne sformułowanie moich niepokojów? — och „prawie”, ileż razy już to „prawie” dało mi się we znaki — ale trzeba też wziąć pod uwagę, że mnie uderzyła ta powiastka o żołnierzach ponieważ łączyła się z moimi niepokojami i wydobyłem ją z tego powodu z wielu innych rzeczy, które też mówiono. Tak to ów zbieg okoliczności był w części (och, w części!) przeze mnie spowodowany — i to właśnie było trudne, okropne, mylące, to że ja nie mogłem nigdy wiedzieć w jakim stopniu jestem sam sprawcą kombinujących się wokół mnie kombinacji, och, na złodzieju czapka gore! Gdy się zważy, jak olbrzymia ilość dźwięków, kształtów, dochodzi nas w każdym momencie istnienia... rój, szum, rzeka... cóż łatwiejszego, jak kombinować! Kombinować! To słowo zaskoczyło mnie przez sekundę, jak dzikie zwierzę w ciemnym lesie, ale zaraz utonęło w rozgardiaszu siedmiu osób siedzących, mówiących, jedzących, kolacja odbywała się nadal, Kataria podała Lenie popielniczkę...

„Trzeba będzie to wszystko wyświetlić, wyjaśnić, dojść do sedna”... ale nie wierzyłem aby inspekcja pokoiku cokolwiek wyświetliła, tyle tylko, że ten nasz projekt na jutro pozwalał jakoś lepiej wytrzymać tę dziwną zależność ust od ust, miasta od miasta, gwiazdy od gwiazdy... i ostatecznie cóż takiego dziwnego, że usta odsyłają do ust, gdy ciągle, bez przerwy, jedno odsyłało mnie do drugiego, za jednym drugie się czaiło, za ręką Ludwika ręka Leny, za filiżanką szklanką za smugą na suficie wyspa, świat był doprawdy rodzajem parawanu i nie udzielał się inaczej jak tylko przekazując mnie wciąż dalej — rzeczy bawiły się mną w piłkę! Nagle coś stuknęło.

Odgłos jakby ktoś kijem stuknął w kij — krótko, sucho, nie mocno, — choć był to odgłos osobny, tak bardzo osobny, że wybił się z całości głosów. Kto stuknął? Co stuknęło? Ścierpłem. Coś w rodzaju „zaczyna się” zaświtało mi w głowie, zamarłem, nuże, zjawo, wylaż!... ale dźwięk zaprzepaścił się w czasie, nic nie nastąpiło, może był to trzask któregoś z krzesel... nic ważnego...

Nic ważnego. Nazajutrz niedziela, która wprowadzała zakłócenia w nasz tryb życia, wprawdzie, jak co dzień, obudziła mnie Kataria i troszkę postąpiła nade mną z czystej życzliwości, ale sprzątaniami pokoju zajęła się sama pani Mańcia, która tocząc się na wsze strony ze ściereczką opowiadała, jak to w Drohobyczu mieli „ładny parter willi z

wygodami” i wynajmowała pokoje z utrzymaniem, lub bez, potem sześć lat w Pułtusku „w wygodnym apartamencie na trzecim piętrze” ale oprócz stałych lokatorów miała na karku nieraz i sześciu stołowników „z miasta”, ludzi przeważnie starszych, z chorobami, a to temu papkę, temu zupkę, a to nic kwaśnego, aż powiadam sobie, nie, tak dalej nie, dość, nie mogę, i mówię to moim dziadom, trzeba było widzieć tę rozpacz, paniusiu nasza, kto o nas zadba, ja im na to, a widzicie, za dużo serca wkładam, zdzieram się, co to, mam się zabijać i tym bardziej, że Leona całe życie musiałam doglądać, pan nie ma pojęcia, a to, a tamto, wiecznie coś, ja wprost nie wiem jak by ten człowiek beze mnie, kawę mu do łóżka całe życie, całe życie, na szczęście ja już taka, nieróbstwa nie znoszę, od rana do wieczora, od wieczora do rana, zresztą jak i co, to i zabawić się, z wizytą, albo gości przyjąć, wie pan, Leona siostra cioteczna jest za hrabią Koziębrodzkim, a jakże, i kiedy ja za Leona wychodziłam to jego familia nosem kręciła, a i sam Leon tak się bał ciotki, pani hrabiny, że dwa lata mnie nie prezentował, ja mówię Leon, ty się nie bój, ja ci tę ciotkę zakasuję i raz w gazecie przeczytałam że bal na cel dobroczynny, a w komisji organizacyjnej pani hrabina Koziębrodzka, nic Leonowi nie mówię, tylko mówię Leon pójdziemy na bal, to, mówię panu, że dwa tygodnie w sekrecie się przygotowywałam, dwie krawczynie, fryzjerka, masaże, pedikurę nawet zrobiłam dla kurażu, biżuterie od Teli pożyczyłam, Leon jak mnie zobaczy zdębiał, ja nic, wchodzimy na salę, muzyka, ja Leona pod pachę wprost na panią hrabinę, to ona, wie pan, odwróciła się tyłem! Afront mnie zrobiła! Ja do Leona, Leon, twoja ciotka jest arogantka i splunęłam, on, wie pan, ani słowa, on już taki, gada, gada, a jak co do czego, to nic, albo zacnie kręcić, wykręcać, ale potem, jakeśmy w Kielcach mieszkali, a ja konfitury smażyłam, niejeden obywatel okoliczny u nas bywał, te konfitury na miesiące z góry zamawiali, zamilkła, ścierała kurze, milczała, jakby w ogóle się nie odzywała, aż Fuks zapytał: — No i co?

Wtedy powiedziała, że jeden z lokatorów, co go miała w Pułtusku, był suchotnik i trzeba mu było dawać śmietanę trzy razy dziennie „aż do odbrzydliwości”... i wyszła. Co to wszystko znaczyło? Jaki był sens? Co się kryło za tym? A szklanka? Dlaczego wczoraj zwróciłem uwagę na szklankę w saloniku, pod oknem, na stole, wraz z dwiema szpulkami leżącymi obok — dlaczego spojrzałem na to przechodząc — czy to było coś godnego uwagi — czy nie zejść na dół, jeszcze raz przyjrzeć się, sprawdzić? Fuks także musiał w sekrecie sprawdzać, badać, przyglądać się i przemyśliwać, on także był wielce rozdrobniony — głupio rozdrobniony. Fuks, tak... ale on ani w setnej części nie miał tych, co ja, powodów...

Lena, jak krew, krążąca w tej bzdurze!

Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że za wszystkim kryje się Lena, dążąca do mnie, wyciężona w przedzieraniu się wstydlwym, sekretnym... Prawie widziałem ją: błądzi po domu, rysuje na sufitach, nastawia dyszel, wieszka patyk, układa figury z przedmiotów przemykając się wzdłuż ścian, za węglami... Lena... Lena... przedzierająca się do mnie... błagająca może o pomoc! Nonsens! Tak, nonsens, ale z drugiej strony, czy mogło tak być żeby dwie anomalie — ów „związek” ust i owe znaki — nie miały ze sobą nic wspólnego? Nonsens. Tak, nonsens, ale mogło być całkowicie urojeniem coś tak natężonego we mnie, jak to skażenie Leny wargami Katasi?j Kolację zjedliśmy z Kulką

tylko, gdyż Lena wybrała się z mężem . do znajomych, Leon był na bridżu, Kataria przy niedzieli miała wychodne, wyszła zaraz po obiedzie.

Kolacja, okraszona głosem Kulki nieustającym — to ją napadało widać z dala od Leona — i dopiero, że lokatorzy, że z lokatorami, że całe życie, panowie nie mają pojęcia, a to temu jeść, temu pościel, temu lewatywa, tamten z piecykiem, o piecyk... ledwie słuchałem, coś tam że „z dziwkami”... „butelka za łóżkiem, już prawie na skonaniu, z butelkami”... „mu mówię, grymasy, grymasy, ale szalik tam gdzie pan wie”... „naużerałam się, naharowałam, nie z kamienia”... „łajdactwo, że niech ręka boska”... „skaranie boże z brudactwem, Jezus”... jej oczka śledziły nasze spożywanie, jej biust opierał się o stół, a na łokciu skóra złuszczone przechodziła w różowy fioleć, jak na suficie popryszczenią głównej zatoki w bladawą wysypkę żółtawą... „Gdyby nie ja, to by pomarli”... „nieraz w nocy, jak stękał”... „to Leona przetranslokowali i wynajęliśmy”... Była jak sufit, za uchem miała coś w rodzaju bąbla stwardniałego i zaczynał się las, włosy, z początku dwa, czy trzy, jakby pierścienie włoskowate, potem las, czarno — siwawe, gęste, zwijające się, skręcone, miejscami pukle, miejscami kłaki, dalej gładko, spada, skóra na karku nagle bardzo delikatna, biała, a zaraz tuż rysa, jak od paznokcia i zaczerwienienie, niby plama potem nad ramieniem, u skraju bluzki, zaczynała się nieświeżość, jakby zużycie, ginące pod bluzką i tam, pod bluzką, ciągnące się, aż po inne krosty, przygody... Była, jał sufit... „Jakoś mieszkali w Drohobyczu”... „angina, dale reumatyzm, kamienie w wątrobie”... Była, jak sufit, nie do objęcia, nie do wyczerpania, niezmiernie w swoich wyspach, archipelagach, krainach... Po kolacji odczekaliśmy, aż poszła spać i, około dziesiątej, przystąpiliśmy do działania. Zjawiska, któreśmy rozpętali działaniem? Sforsowanie drzwi do pokoiku Kataris nie nastroczało trudności, wiedzieliśmy, że klucz zostawia zawsze na oknie, zarośniętym bluszczem. Trudność polegała na tym, że nie mieliśmy żadnej gwarancji, iż ten ktoś, kto nas za nos wodził — przypuściwszy, iż ktoś nas wodzi za nos — nie zaczął się i nie śledzi z ukrycia... i nawet mógł narobić gwałtu, cóż można było wiedzieć? Sporo czasu zajęło nam wałęsanie się w pobliżu kuchni i obserwacja, czy nikt nie wypatruje — ale dom, okna, ogródek, przebywały sobie spokojnie w nocy, najechanej obłokami gęstymi i rozczapierzonymi, spomiędzy których wypływał sierp księżycy, rozpędzony. Psy uganiały się między drzewkami. Baliśmy się śmieśczości. Fuks pokazał mi pudełeczko, które trzymał w ręce.

— Co to jest ?

— Żaba. Żywa. Dziś ją złapałem.

— A to co znowu ?

— Jakby nas ktoś przyłapał, powiemy, żeśmy się zakradli żeby jej żabę w łóżko podpuścić... Dla witzla!

Twarcz jego biało-ryżo-rybia, odpalona przez Drozdowskiego. Żaba, owszem, to sprytna! I żaba, trzeba przyznać, nie była nie na miejscu, jej oślizgłość, wokół oślizgłości katasinej krążąca... aż to mnie zdziwiło, zaniepokoiło... i tym bardziej, że nie była też tak daleka



wróblowi — wróbel i żaba — żaba i wróbel... czy za tym coś się nie kryje? Czy to nic nie znaczy? Fuks powiedział:

— Chodźmy zobaczyć, co z wróblem. I tak trzeba jeszcze odczekać.

Poszliśmy. Pod drzwiami, w krzakach, wiadomy mrok,

wiadomy zapach, zbliżyliśmy się do miejsca wiadomego, ale o wzrok daremnie tłukł się o czerń, raczej o wielość rozmaitych

czerni, zacierających — były tam czarne jamy, zapadające się, obok innych dziur, sfer, warstw, zatrutych pólistnieniem i to zlewało się w rodzaj mikstury hamującej, opornej. Miałem latarkę, ale nie wolno było jej użyć. Wróbel musiał być przed nami, o dwa kroki, wiedzieliśmy gdzie, ale nie mogliśmy dosięgnąć go wzrokiem, pożerany przez to coś zaprzeczającego, ciemność. Wreszcie... zamajaczył jak gdyby ośrodek kształtu, zagęszczenie nie większe od gruszki... wisiał...

— Jest.

W cichej ciemności żaba, z nami będąca, się odezwała... nie, żeby głos wydała, ale jej istnienie, pobudzone istnieniem wróbla, dało znać o sobie. Byliśmy z żabą... ona tu była, wraz z nami, wobec wróbla, pokumana z nim w sferze żabio-wróblowej, i sprowadzała mi tu wyżłizg wargowy umyk... i tercet wróbel-żaba-Katasiutka pchnął mnie w tę jej jamę ustną i z jamy czarnej krzaków uczynił jamę jej otworu gębowego, opatrzoną tym jej zmanierowanym figielkiem wargowym... uskakującą. Żądza. Świństwo. Stałem bez ruchu, Fuks już wycofywał się z krzaków, „nic nowego” szepnął, a, kiedy wyszliśmy na drogę, noc z niebem, z księżycem, z nawałą obłoków o brzegach wysrebrzonych, zajaśniała. Działać! Szalone tłukło się we mnie pragnienie działania, wiatru oczyszczającego, gotów byłem rzucić się na wszystko!

Ale biedne było to nasze działanie, żal się Boże — dwaj spiskowcy z żabą i po linii dyszła. Jeszcze raz ogarnęliśmy spojrzeniem scenę: dom i cienko majaczące się pnie drzewek, białe od wapna, i zagęszczenia wielkich drzew w głębi i roztaczająca się przestrzeń ogródka — namacałem klucz na oknie, w bluszczu, wsadziwszy go w zamek uniosłem nieco drzwi w zawiasach, aby nie skrzypiały. W tym czasie żaba w pudełku przestała być ważna, przesunęła się na dalszy plan. Natomiast, gdy otworzyły się drzwi, jama pokoiku, małego, niskiego, zalatująca gorzkim i dusznym zapachem, ni to z pralni, z chleba, z ziółek, ta jama katasina podnieciła mnie, usta spartaczone rozssały mi się, wsysające, i musiałem uważać żeby Fuks nie połapał się w zaburzeniach mojego oddechu.

Wszedł z latarką i żabą, a ja stanąłem w drzwiach uchylonych, żeby stróżować.

Stłumione światło latarki, owiniętej chustką, przemykało się po łóżku, szafie, stoliku, koszu, półce, wyłaniając kolejno coraz inne miejsca, kąty, fragmenty, bieliznę, szmatki, grzebień złamany, lusterko, talerzyk z monetami, mydło szare, rzeczy i rzeczy

występujące jedna po drugiej, jak na filmie, gdy na zewnątrz obłoki szły za obłokami — ja w drzwiach, byłem między tymi dwoma pochodami: rzeczy i obłoków. I choć każda z tych rzeczy w pokoiku była jej, Katasi, one uzyskiwały coś z niej dopiero w zespole, stwarzając namiastkę jej obecności, obecności wtórnej, którą gwałciłem poprzez Fuksa — jego latarką — sam umieszczony z boku, na straży. Gwałciłem powoli. Plama świetlna przesuwająca się, przeskakująca, chwilami zatrzymywała się na czymś, jakby w zamyszeniu, aby znowu szperać, myszkować, dobierać się i wymacywać w poszukiwaniu uporczywym świństwa — tego szukaliśmy, za tym węszyliśmy. Świństwo! Świństwo! A żaba była w pudełku, które położył na stole.

Podrzędność sługowata, rodem z grzebyka brudnego i wyszczerbionego, lusterka zatłuszczonego, ręcznika cienkiego, wilgotnego — dobytek służącej, miejski już, a jeszcze wsioski, prostoduszny, który obmacywaliśmy aby się dobrać do grzeszności wywichniętej ślisko, która tu, w tej jamie bez mała ustnej, tała się zacierając ślady... Wymacywaliśmy zepsucie, zboczenie, nikczemność. Gdzieś to musiało tutaj być! Wtem latarka napotkała dużą fotografię w kącie za szafą, i wyrzała z ramek Katasia... z ustami bez zmayı! O dziwo! Czyste, uczciwe usta, pocziwie wiejskie! Na twarzy o wiele młodszej, okrągłej! Katasia odświętna, z uroczystym dekoltem, na ławce pod palmą, za którą widniał dziób łodzi, trzymana za rączkę przez tęgiego majstra, wąsacza, w sztywnym kołnierzyku... Katasia uśmiechająca się przyjemnie...

Gdy, zbudziwszy się w nocy, moglibyśmy przysięgać, że okno jest po prawej stronie, drzwi za naszą głową, wystarczy jeden jedyny znak orientacyjny, poświata z okna, szmer zegarka, aby od razu i w sposób ostateczny wszystko umeblowało się nam w głowie, jak trzeba. Co teraz? Rzeczywistość narzuciła się piorunująco — wszystko wróciło do normy, jak przywołane do porządku. Katasia: zacna gospodyni, która w wypadku samochodowym uszkodziła sobie górną wargę; my: para lunatyków...

Strapiony, spojrzałem na Fuksa. On mimo wszystko wciąż szukał, latarka znowu myszkowała, rachunki na stole, pończochy, święte obrazki, Chrystus i Matka Boska z bukietem — ale cóż z tego szukania? To było już tylko nadrabianie miną.

— Zabieraj się — szepnąłem. — Chodźmy.

Wszelka możliwość świństwa ulotniła się z oświetlanych rzeczy, natomiast samo oświetlanie stało się świńskie — macanie, węszenie, przybrało samobójczy charakter — my dwaj w tym pokoiku, jak dwie lubieżne małpy. Z uśmiechem nieprzytomnym odwzajemnił mi spojrzenie i nadal błędził latarką po pokoju, widać było, że w głowie ma zupełnie pusto, nic, nic, nic, jak ktoś, kto spostrzega, że zgubił wszystko, co niósł, a mimo to idzie dalej... i jego kłapa z Drozdowskim pokumała się z tą kłapą, zlało się wszystko w jedną kłapę... z uśmiechem już nieprzyzwoitym, z burdelu, podglądał Kataśce jej tasiemki, watę, brudne pończochy, półki, firaneczki, widziałem, sam będąc w cieniu, jak on to robi... już tylko z zemsty i dla fasonu, własną lubieżnością mszcząc się za to, że ona przestała być lubieżna. Obmacywanie, plama świetlna tańcząca wokół grzebienia, obcasa... Ale na nic! Na darmo! Wszystko to już nie miało sensu i powoli rozpadało się

jak paczka po przecięciu sznurka, przedmioty obojętniały, nasza zmysłowość konała. I już zbliżała się groźna minuta, w której nie wiadomo co robić. Wówczas coś zauważyłem.

To coś mogło być niczym, ale mogło i nie być niczym. Najprawdopodobniej nieważne... ale w każdym razie...

Idzie o to, że oświetlił igłę, tym szczególną, że wbitą w blat stołu.

Rzecz nie byłaby godna uwagi, gdyby nie to, że ja już poprzednio zauważyłem rzecz nieco dziwniejszą, mianowicie stalówkę wbitą w skórę od cytryny. Więc, kiedy wymacał tę igłę wbitą, ująłem go za rękę i naprowadziłem latarkę na stalówkę — po to jedynie, żeby przywrócić naszemu tutaj przebywaniu pozory śledzenia.

Ale wtedy latarka zaczęła poruszać się żwawo i po chwili odszukała coś — mianowicie pilnik od paznokci na komodzie. Pilnik był wbity w pudełeczko tekturowe. Tego pilnika przedtem nie dostrzegłem, latarka mi go pokazywała, jak gdyby mówiąc „co ty na to?”

Pilnik — stalówka — igła... latarka była teraz, jak pies, który wpadł na trop, przeskakiwała z przedmiotu na przedmiot i odkryliśmy jeszcze dwa „wbicia”: dwie agrafki, wbite w tekturkę. Nie było to wiele. Nie było to wiele, a jednak w nędzy naszej stwarzało nowy kierunek działania, latarka pracowała skacząc, rozpatrując... i oto jeszcze coś... jeszcze gwoździe wbite w ścianę i o tyle dziwny, że o parę centymetrów nad podłogą. Ale dziwność gwoźdź nie była już właściwie dostateczna, było poniekąd nadużyciem z naszej strony żeśmy tak gwoździe oświetlali... I nic więcej... nic... wciąż szukaliśmy, ale już szukanie się wyczerpywało, w jamie dusznej pokoiku dokonywał się rozkład... i w końcu ustała latarka... co dalej?

Otworzył drzwi, zaczęliśmy się wycofywać. Przed samym odejściem zaświecił króciutko wprost w usta Katasi. Ja opierając się o wnękę okna poczułem pod ręką młotek i szepnąłem „młotek”, pewnie dlatego, że młotek wiązał się z gwoździem, wbitym w ścianę. Bez znaczenia. Chodźmy. Zamknęliśmy drzwi, klucz został umieszczony na swoim miejscu, jaki wiatr idzie górą — szepnął pod kopułą pędzących obłoków, on, niedojda, odpalony, irytujący, po co mnie z nim, sam sobie jestem winien, wszystko jedno, dom sterczał przed nami, za drogą wysokie świerki też sterczały, drzewka małe w ogródku sterczały, przypominał mi się bal, gdy muzyka urywa i pary sterczą, było głupio.

I co? Wracać i spać? Okrążony byłem jakimś wykańczaniem się zupełnym i osłabieniem wszystkiego. Nawet uczuć nie miałem.

Zwrócił się do mnie, żeby coś powiedzieć, aż tu spokój rozsadzony został waleniem — z całej siły, rozgłośnym!

Ścierpłem — to z za domu, od strony drogi, stamtąd te wściekłe uderzenia, ktoś walił! Jak młotem! Rozwścieczone razy młota, ciężkie, żelazne, walące raz za razem, buch, buch, zajadle i z całych sił! Huk tego żelaza w nocy bezszelestnej tak zdumiewający, że prawie

nie z tego świata... Przeciw nam? Uskoczyliśmy pod ścianę, jakby te razy, niezgodne ze wszystkim wokół, musiały być w nas wymierzone.

Nie ustawało. Wyjrzałem za róg i złapałem go za rękaw. Pani Mańcia.

Pani Kulka! W szlafroku z szerokimi rękawami i, pośród tych rękawów rozwianych, dysząca i waląca, wznosząca do góry młot, czy siekiere, i waląca w pień drzewa z głową oszalałą. Wbijająca? Co ona wbijała? Skąd to wbijanie, rozpaczliwe i zajadłe... które... które... które myśmy pozostawili w pokoiku Katasi... a teraz ono szalało olbrzymio tutaj i huk żelaza królował!

Tamten młotek, na który łokciem natrafiłem, gdyśmy wychodzili z pokoiku, przetwarzający się w młot, szpilki, igły, stalówki i gwoździe wbite, osiągające maksimum w nagłym rozpętaniu. Zaledwie to pomyślał, odepchnąłem myśl niedorzeczną, precz, ale w tejże chwili inne wbijanie, coś jak łomot, rozległo się... z wnętrza domu... Gdzieś z góry, z pierwszego piętra, szybsze, gęstsze, towarzyszące tamtym razem, potwierdzające wbijanie, rozsadzając mi mózg, panika miotła się w nocy, szaleństwo, to było jak trzęsienie ziemi! Czy nie z pokoju Leny? Wyrwałem się Fuksowi i wpadłem do domu, pędziłem schodami na górę... czy to Lena?

Ale, gdym biegł po schodach, wszystko naraz oniemiało — ja, już na piętrze, zatrzymałem się dysząc, bo huk, który mnie gnał, skończył się. Cisza. Nawiedziła mnie nawet myśl, zupełnie spokojna, czyby nie uspokoić się i nie pójść po prostu do naszego pokoju. Ale drzwi Leny, trzecie z korytarza, były przede mną, a we mnie działa się jeszcze walenie, wbijanie, huk, młot, młotek, igły, gwoździe, wbijanie, wbijanie, dobić się do Leny, dobijać się do niej... i w konsekwencji, rzuciwszy się na jej drzwi z pięściami, zacząłem walić i tłuc! Z całej siły!

Cisza.

Mnie przemknęło przez głowę, że jeśli otworzą drzwi, krzyknę „złodzieje!”, żeby się jakoś usprawiedliwić. Ale nic — i zaległ spokój, nic nie było słyhać, nic, nic, oddaliłem się cicho i prędko, zeszedłem na dół. Ale na dole też spokój. Pustka. Żywej duszy. Ani Fuksa, ani Kulki. To że z pokoju Leny nikt się nie odezwał, łatwo się tłumaczyło, nie było ich, jeszcze nie wrócili z wizyty, to nie stamtąd dobiegał łomot — ale gdzie się podział Fuks? Gdzie Kulka? Okrążyłem dom, tuż przy ścianie, żeby mnie z okien nie widziano — szal znikł bez śladu, drzewa, ścieżki, żwir pod księżycem pędzącym, nic więcej. Gdzie Fuks? Na płacz mi się zbierało, niewiele brakowało żebym siadł i płakał. ‘

Wtem widzę, na pierwszym piętrze jedno okno bije światłem — pokój ich, Leny i Ludwika.

Acha, więc jednak są, słyszeli moje dobijanie! Dlaczego więc nie otworzyli drzwi? Co robić? Znow nie miałem nic do roboty, nic, byłem bezrobotny. Co? Co? Iść do pokoju naszego, rozebrać się, spać? Zaczaić się gdzie tutaj? Co? Co? Płakać? Okno ich na pierwszym piętrze było nie zasłonięte, światło biło... i... i... akurat naprzeciwko, za

plotem, stał chojar gęsty, rozłożysty... Gdybym się wdrapał, mógłbym zajrzeć... Ten pomysł był nieco dziki, ale dzikość jego nawiązywała do dzikości, która przeminęła... i cóż innego miałem robić?

Łoskot, zamęt tego, co się stało, umożliwił mi tę ideę i miałem ją przed sobą, jak to drzewo, i nic innego przed sobą nie miałem. Wyszedłem na drogę, przedarłem się do pnia chojarowego i jałem pięć się pracowicie po tym stworze szorstkim i kłującym. Dobijać się do Leny! Docierać do Leny... resztki tamtego dobijania kołatały się we mnie i znowu dobijałem się... i tamto wszystko, pokój Katasi, fotografia, szpilki, walenie Kulki, wszystko ustąpiło naczelnemu i jedytnemu dobijaniu się do Leny. Ostrożnie piałem się, z gałęzi na gałąź, coraz wyżej.

Nie było łatwo, trwało długo, a ciekawość stawała się gorączkowa: zobaczyć ją, zobaczyć ją — zobaczyć ją z nim — co zobaczę?... Po tym łomotaniu, waleniu — co zobaczę? Drżało we mnie niedawne drżenie moje przed jej drzwiami, rozjuszone.

Co zobaczę? Już ogarniałem wzrokiem sufit i górną część ściany, wraz z lampą.

Wreszcie ujrzałem.

Zbaraniałem.

On jej czajnik pokazywał.

Czajnik.

Siedziała na krzeselku, przy stole, z ręcznikiem kąpielowym zarzuconym na plecy, jak szal. On stojąc, w kamizelce, czajnik miał w ręce i jej pokazywał. Ona spoglądała na czajnik. Coś mówiła. On mówił.

Czajnik.

Na wszystko byłem przygotowany. Ale nie na czajnik. Trzeba zrozumieć, co to jest kropla przepelniająca czarę. Co to jest „za dużo”. Istnieje coś jak nadmiar rzeczywistości, jej spęcznienie już nie do zniesienia.: Po tylu przedmiotach, których i wyliczyć bym nie mógł, igłach, żabach, wróblu, patyku, dyszlu, stalówce, skórcie, tekturce etcetera, komin, korek, rysa, rynna, ręka, gałki itd. itd. grudki, siatka, drut, łóżko, kamyki, wykałaczką, kurczę, przyszcze, zatoki, wyspy, igła i tak dalej i dalej i dalej, do znudzenia, do przesyty, teraz ten czajnik, jak Filip z Konopi, ni to od Sasa, ni od Łasa, osobno, gratis, jak luksus bezładny, przepych chaosu. Dość. Ścisnęła mi się krtań. Ja go nie przełknę. Nie dam rady. Dość już. Zawracać. Do domu.

Zdjęła z siebie ręcznik. Była bez bluzki. Nagością mnie uderzyło z piersi, ramion. Tą górną nagością zaczęła zzuwać pończochy, mąż znowu się odezwał, odpowiedziała, zdjęła drugą pończochę, on oparł nogę na krzesło i rozsznurowywał bucik. Wstrzymywałem się z odwrotem, pomyślałem, że dowiem się teraz, jaka jest, jak jest z

nim na goło, nikczemna, podła, brudna, oślizgła, zmysłowa, święta, czuła, czysta, wierna, świeża, powabna, a może kokietka? Może tylko łatwa? Głęboka? A może zacięta tylko, lub rozczarowana, znudzona, obojętna, gorąca, chytra, zła, anielska, nieśmiała, bezczelna, w końcu zobaczę! Już uda ukazały się, raz, drugi, zaraz będę wiedział, na koniec dowiem się czegoś, w końcu coś mi się ukaże...

Czajnik.

Wziął, przestawił czajnik ze stołu na półkę, i podszedł do drzwi.

Światło zgasło.

Wpatrywałem się, choć nic nie widziałem, ze wzrokiem niewidzącym, wbitym w ciemność jamy, wciąż jeszcze się patrzyłem, co mogli robić? Co robili? I jak robili? Tam teraz wszystko mogło się dziać. Nie było gestu, dotknięcia, które by było niemożliwe, ciemność naprawdę była nieodgadniona, wiła się, albo nie wiła, albo wstydziła, albo kochała, albo w ogóle nic, albo coś innego, albo podłość, zgroza, nigdy niczego się nie dowiem. Zacząłem złazić i opuszczając się powoli myślałem, że gdyby była dzieckiem z bardzo niebieskimi oczyma też mogłaby być potworem — niebieskookim i dziecinnym. Więc co można wiedzieć?

Nigdy niczego o niej nie będę wiedział. Zeskoczyłem na ziemię, otrzepywałem się, szedłem z wolna do domu, na niebie pęd panował, stada całe gnały rozwichrzone, białosc ich świetlistych zrębów, czern jader, wszystko gnało pod księżycem, który też pędził, wypływał, sunął, ciemniał, gasł i wylaniał się niepokalanie, niebiosą ogarnięte były dwoma ruchami sprzecznymi, rozpędzonymi, cichymi — ja idąc zastanawiałem się, czy nie wyrzucić do diabła wszystkiego, czy nie wyzbyć się tego całego balastu, powiedzieć „pas”, bo, ostatecznie, ta warga Katasina była, jak z fotografii wynikało, skazą czysto mechaniczną. Więc po co mi to? I jeszcze do tego czajnik...

Po co mnie kojarzenie ust — jej ust z Katasinymi? Nie będę więcej tego robił. Zostawię to.

Dochodziłem już do ganku. Na balustradzie siedział kot Leny, Dawidek, i na mój widok wstał i wyprężył się, abym go polaskotał. Złapałem kota mocno za gardło, zacząłem dusić, przemknęło mi, jak błyskawica, że co to ja robię, ale pomyślałem, już trudno, już za późno, z całej siły zaciskałem ręce. Uduśiłem. Zwiśł.

Co teraz, co dalej, byłem na ganku z kotem uduszonym w rękach, trzeba było coś począć z kotem, złożyć go gdzieś, ukryć? Tylko, że pojęcia nie miałem, gdzie. Może zakopać?

Ale kto by tam kopał po nocy! Wyrzucić na drogę, że niby samochód przejechał — albo może w krzaki, gdzie wróbel? Zastanawiałem się, kot mi ciążył, nie mogłem się zdecydować, było cicho, ale wpadł mi w oko mocny sznurek, którym przywiązane było drzewko do palika, jedno z tych białych od wapna, odwiązałem sznurek, zrobiłem pętlę, rozejrzałem się, czy nikt nie widzi (dom spał, nikt by nie uwierzył, że tu niedawno huk taki

grasował), przypomniałem sobie, że w murze był hak, nie wiem po co, chyba dla wieszania bielizny, zaniósłem tam kota, niedaleko, ze dwadzieścia kroków od ganku, powiesiłem na haku. Wisiał, jak wróbel, jak patyk, do kompletu. Co teraz ? Ledwie żyłem ze zmęczenia, bałem się trochę wracać do pokoju, a nuż Fuks tam jest, nie śpi, będzie mnie wypytywał... Ale gdy tylko cicho otworzyłem drzwi, okazało się, że śpi głęboko. Ja też zasnąłem.

Nade mną Katasia rozprowadająca, łajdactwo takie, Dawidka powiesili, Dawidek na haku powieszony w ogrodzie, kto powiesił, skaranie boże, draństwo, żeby kota Lenie wieszać! To mnie zbudziło gwałtownie. Kot był powieszony. Powiesiłem kota. Rzuciłem niepewnie okiem na łóżko Fuksa, było puste, widać był już przy kocie, to mi udzielało odrobiny samotności, by zdać sobie sprawę...

Ten fakt mnie zaskoczył, jak gdybym to nie ja był dusicielem. Ze snu jednym susem znaleźć się w czymś tak niewiarygodnym, po cóż, na Boga, go dusiłem? Przypomniałem sobie teraz, że w czasie duszenia doświadczyłem tego samego dobijania się do Leny, co gdy szturmowałem do jej drzwi — ha, dobieierałem się do niej poprzez zaduszenie kota ulubionego — i w furii, że inaczej nie mogę! Ale po cóż ja jego na haku wieszałem, jaka lekkomyślność, jakie zamroczenie! I, co więcej, rozpatrując to zamroczenie, na pół ubrany, z wątpliwym uśmiechem na twarzy skurczonej, którą widziałem w lustrze, doświadczyłem tyleż satysfakcji, co konfuzji — niczym z wyplatanego figla. I nawet szepnąłem „wisi”, z radością, z rozkoszą. Co robić? Jak wybrnąć? Oni tam na dole na pewno już rozwodzą się nad tym na wszystkie sposoby — czy nikt mnie nie widział? Zadusiłem kota.

Ten fakt mnie przewracał. Kot był zaduszony i wisiał na haku, i mnie nie pozostawało nic innego, jak zejść i udawać, że nie wiem o niczym. Proszę, dlaczegoż jednak go zadusiłem? Tyle spraw nagromadzonych, tyle wątków krzyżujących się, Lena, Katasia, znaki, walenie, etcetera, żaba chociażby, lub popielniczka, etcetera, gubiłem się w rozgardiaszu i nawet przyszło mi na myśl, że to może z powodu czajnika, a nuż zabiłem z nadmiaru, na dodatek, na przyprzążkę, czyli zaduszenie, jak czajnik, nadedatowe. Nie, nieprawda! Kota nie zadusiłem w związku z czajnikiem. Z czym zatem związać, do czego odnieść kota? Nie miałem czasu na myślenie, trzeba było schodzić i stawić czoło sytuacji, która zresztą była i bez tego niesamowita, wypełniona cudeńkami nocy...

Zszedłem. Na dole — pustki, domyśliłem się, że wszyscy w ogródku. Ale zanim ukazałem się im w drzwiach ganku, spojrzałem przez okno zza firanki. Mur. Na murze koci trup. Na haku. Przed murem stojące osoby, wśród nich Lena — z daleka, w zmniejszeniu, wyglądało to na symbol. Moje ukazanie się na ganku nie należało do łatwych, miało wszystkie cechy skoku w nieznane... a jeśli mnie kto widział, jeśli za chwilę będę musiał bełkotać, nieprzytomny ze wstydu? Szedłem z wolna żwirowaną ścieżką, niebo jak sos, słońce rozpuszczone w białawym przestworze, znów zapowiadał się upał, co za lato! Zbliżałem się i kot stawał się coraz wyraźniejszy, ozór wylał bokiem z paszczy, ślepią wywalone z orbit... wisiał. Myślałem, że gdyby to nie był kot, byłoby lepiej, kot jest okropny z natury, w kocie miękkość, puszystość, są jak osadzone na wściekłym skrzeczeniu, drapaniu, na przeraźliwym skwierczeniu, tak, skwierczeniu, kot nadaje się do głaskania, ale i do tortury, jest koteczkiem, ale i kocurem... Szedłem powoli, żeby



zyskać na czasie, gdyż zadziwił mnie widok po dniu mego czynu ponocnego, wówczas mało widocznego i wrośniętego w dziwy owej nocy. Wydawało się zresztą, że powolność udzieliła się wszystkim, oni też zaledwie się ruszali, Fuks, schylony, rozpatrywał mur i ziemię przed nim, co mnie rozśmieszało. Ale zastanowiła mnie piękność Leny, nagła, niesłychana, i pomyślałem, przerażony: o, jak ona wypiękniała po wczorajszym!

Leon zapytał z rękami w kieszeniach: — Co pan na to? Pęczek wypomadowanych włosów sterczał mu nad łysiną, jak pilot okrętu.

Odetchnąłem. Nie wiedzieli, że to ja. Nikt mnie nie widział.

Zwróciłem się do Leny: — Jaka przykrość dla pani! Spojrzałem na nią, w miękkiej bluzce kawowej, w granatowej spódnicy, wtulona w siebie, miękka w ustach, z rękami wzdłuż ciała, jak ręce rekruta... i dłonie, stopy, nasek, uszka, maleńkie, za drobne. To w pierwszej chwili mnie zirytowało. Ja jej kota zakatrupiłem, wyrządziłem jej to brutalnie, masywnie, a te stopki, tymczasem, były takie drobne!

Ale moja wściekłość przetoczyła się w rozkosz. Gdyż ona, proszę mnie zrozumieć, była też za drobna wobec kota i z tego powodu wstydziła się, już byłem tego pewny, wstydziła się kota! Ach! Za drobna dla wszystkiego, odrobinę mniejsza, niż trzeba, nadawała się tylko do miłości, do niczego więcej, i dlatego wstydziła się kota... gdyż wiedziała, że cokolwiek by się do niej odnosiło, musiało mieć sens miłosny... i choć nie domyślała się, kto, to przecież wstydziła się kota, bo kot był jej kotem, i jej dotyczący...

Ale kot jej był kotem moim, przeze mnie zaduszonym... Był nasz wspólny.

Rozkoszować się? Wymiotować? Leon zapytał.

— Nic pan nie wie? Kto, jak? Nic pan nie zauważył? Nie, nic nie wiedziałem, wczoraj spacerowałem do późna, wróciłem dobrze po dwunastej, wszedłem wprost przez ganek, pojęcia nie mam, czy kot już wtedy wisiał — w miarę tych zeznań kłamliwych rosła we mnie uciecha, że w błąd wprowadzam i nie jestem już z nimi, a przeciw nim, po Tamtej stronie. Jak gdyby kot przesunął mnie z jednej strony medalu na drugą, w tamtą sferę, gdzie działały się tajemnice, w sferę hieroglifu. Nie, nie byłem już z nimi. Śmiech mnie łechtął na widok Fuksa, szukającego pracowicie śladów pod murem i wysłuchującego moich kłamstw.

Ja znałem tajemnicę kota. Ja byłem sprawcą.

— Powiesić! Żeby kto kota wieszał! — z pasją wykrzyknęła Kulka i zahamowała, jakby jej się coś stało.

Katasia wynurzyła się z kuchni i szła ku nam przez grządki. Jej usteczka „zmanierowane” zbliżały się do paszczy kociej — poczułem, że ona, idąc, czuje, że niesie na sobie coś pokrewnego tej paszczy, to mi dostarczyło naglej satysfakcji, jakby mój kot osadzał się solidniej po tamtej stronie. Warga zbliżała się do kocura, ulotniły mi się wszelkie

wątpliwości w związku z jej fotografią, tak niewinną, zbliżała się z oślizgłym umykiem, wywichnięta i nikczemna, zachodziło dziwne podobieństwo w świństwie — i rodzaj nocnego dreszczu ciemnego przebiegł mnie po krzyżach. Nie spuszczałem jednocześnie wzroku z Leny — i moje zdziwienie, mój wstrząs tajemny, bo ja wiem, czy zachwycony, moje wzruszenie, gdym odczuł, że wstyd Leny się wzmacnia wraz z wzejściem nad kotem tego zepsucia ustnego. Wstyd dziwną ma naturę, przekorną, broniąc się przed czymś wciąga to coś w sferę najgłębiej własną i poufną — i tak Lena, wstydzając się kota i wargi z kotem, wprowadzała to w tajemniczość swoich prywatnych sekretów. I dzięki jej wstydnemu kot złączył się z wargą, jakby jeden tryb zahaczał o drugi! Ale mój bezgłośny okrzyk triumfu połączył się z jękiem, jakimże cudem diabelskim ta uroda świeża i naiwna mogła chłonać ohydę... i wstydem swoim potwierdzać moje urojenia! Kataria miała w rękach pudełko — było to nasze pudełko z żabą — ach, Fuks najwidoczniej zapomniał go zabrać, gdyżśmy wychodzili!

— To ja znalazłam u siebie, w pokoiku, leżało na oknie.

— Co jest w tym pudełku? — zapytał Leon. Kataria uchyliła pokrywki.

— Żaba.

Leon zamachał rękami, ale Fuks wmieszał się z niespodziewaną energią. — Przepraszam — rzekł odbierając Katarie pudełko. — To na potem. To się wyjaśni. A na razie ja bym prosił państwa do stołowego. Chciałbym pomówić. Kota zostawmy, jak jest, ja to jeszcze raz spokojnie obejrzę.

Czy ten osioł zamierzał odstawiać detektywa?

Skierowaliśmy się powoli w stronę domu, ja, pani Kulka, nic nie mówiąca, nieprzyjemna, obrażona, Leon ze sterczącym kosmykiem, zmięty. Ludwika nie było, wracał z biura dopiero wieczorem. Kataria zawróciła do kuchni.

— Proszę państwa — zagaił Fuks w stołowym — trzeba by szczerze. Fakt, że tu się coś wyrabia.

Drozdowski, wszystko żeby zapomnieć o Drozdowskim, ale widać było, że się uczeplił i będzie pchał, jak się da. — Co się wyrabia. My z Witoldem już od przybycia naszego to wymiarkowaliśmy, ale nijako nam było gadać, bo nic pewnego, takie tam impresje... Ale w końcu trzeba szczerze.

— Ja właśnie — zaczął Leon. — Za pozwoleniem — przerwał Fuks i przypomniał, jak to idąc tutaj po raz pierwszy natrafiliśmy na wróbla powieszzonego... fenomen niewątpliwie zastanawiający. Opowiedział, jak potem rozeznaliśmy coś, jak , strzałkę, na suficie w naszym pokoju. Strzałka, nie strzałka, mogło być złudzenie, tym bardziej, że poprzedniego wieczoru też nam się uwidziała strzałka, tu, na suficie, państwo sobie przypominają?... strzałka, albo może grabie... dość, że autosugestia nie wykluczona, atenti! Ale my z samej ciekawości, uważają państwo, dla sportu, postanowiliśmy zbadać.

Opisał nasze odkrycie, położenie patyczka, wyrwę w murze i zamknął oczy. — Hmm... zgódźmy się... wiszący wróbel... wiszący patyk... coś jakby w tym... Gdyby jeszcze to nie było akurat tam gdzie strzałka wskazywała...

Ucieszyłem się naraz myślą o kocie wiszącym — jak patyk — jak wróbel — ucieszyła mnie ta składność! Leon wstał, chciał zaraz iść do patyka, ale Fuks go wstrzymał. — Niech pan poczeka. Naprzód opowiem wszystko.

Jednakowoż opowiadanie przychodziło mu żmudnie, pajęczyna rozlicznych domysłów i analogii spowijała go, widziałem, jak słabnął, roześmiał się nawet w pewnej chwili z siebie i ze mnie, spoważniał, ze zmęczeniem pielgrzyma wywodził o dyszlu, że dyszel celował... Proszę państwa, co szkodzi sprawdzić? Jeśli strzałkę sprawdziliśmy, to i dyszel można. My tylko tak... dla sprawdzenia. Na wszelki wypadek. Nie żebyśmy jakąś nieufność do Katasi... dla sprawdzenia tylko! I, na wszelki wypadek, żabę w pudełku miałem, żeby żart upozorować, jakby nas ktoś przyłapał. Zapomniałem o niej wychodząc, dlatego Kasia przyniosła.

— Żaba — powiedziała Kulka.

Opowiadał o rewizji, że badaliśmy i badali bez skutku, i nic, nic, ale, proszę sobie wyobrazić, natrafiliśmy w końcu, pewien szczegół, bagatelny, owszem, całkiem trzecioplanowy, zgoda, tak, ale powtarzający się większą ilość razy, niżby należało, państwo wiedzą, jak coś się powtarza bardziej, niż jest dozwolone... proszę niech państwo sami oceniają, ja po prostu wyliczę... I zaczął recytować, ale bez przekonania, za słabo!

Igła wbita w blat stołu.

Stalówka wbita w skórkę od cytryny.

Pilnik wbity w pudełeczko.

Agrafka wbita w tekturkę.

Druga agrafka wbita w tekturkę.

Gwóźdź wbity w ścianę, tuż nad podłogą. Och, jak go osłabiła ta litania, zmęczony, znudzony, zaczerpnął powietrza, przetarł kąciki wylupiastych oczu i ustał, jak pielgrzym, któremu wiary zabrakło, a Leon założył nogę na nogę i to nabrało od razu cech zniecierpliwienia, Fuks wtedy zląkł się, on w ogóle za mało miał pewności siebie, Drozdowski mu ją zlikwidował. Mnie znów wściekłość ogarnęła, że ja z nim razem figuruję, ja, mający zresztą tamto z rodziną w Warszawie, odstręczające, odpychające, co za pech, no, trudno...

— Igły, skórki... — burknął Leon. Nie dokończył, ale wystarczyło: igły, skórki, czyli bzdura, bzdura, kupa śmieci, a my na niej, jak dwaj śmieciarze.

— Niech pan czeka! — wykrzyknął. — W tym cymes, że jakeśmy wyszli stamtąd, pani — zwrócił się do Kulki — też wbijała! Młotem! W ten pień, koło furtki. I na całego!

Spojrzał w bok. Poprawił krawat.

— Ja wbijałam?

— Pani.

— No to co?

— Jak to co, tamto wszystko wbite, a pani też wbija!

— Ja niczego nie wbijałam, ja tylko w pień biłam.

Pani Mańcia wydobywała słowa z zasobów nieskończonej, a męczeńskiej, cierpliwości.

— Lena, złotko, wytłumacz, dlaczego ja w pień biłam. Głos jej był nieosobisty, kamienny, a wzrok opatrzony dewizą „wytrzymam”.

Lena cofnęła się w siebie — bardziej pozór ruchu, niż ruch, podobna do ślimaka, niektórych krzewów, wszystkiego, co cofa się, lub tuli, przed dotknięciem.

Przełknęła ślinę.

— Mów, Lena, prawdę!

— Mama co pewien czas... To jest taki kryzys. Nerwy. Zdarza się od czasu do czasu. Wtedy łapie za co bądź... żeby się wyładować. Wali. Albo tłucze, jeśli szkło.

Kłamała. Nie, nie kłamała! To była prawda i kłamstwo jednocześnie. Prawda, bo odpowiadało rzeczywistości. A kłamstwo, bo jej słowa (o czym już wiedziałem) nie były ważne ze względu na swoją prawdę, a tylko, że z niej, Leny, się poczynały — jak spojrzenie, zapach. Jej mówienie było połowiczne, skompromitowane powabem, trwożne i jakby zawisające w powietrzu... Któż, jeśli nie matka, mógł uchwycić ten kłopot? Pani Kulka pośpieszyła z przetłumaczeniem jej zeznań na język bardziej rzeczowy starej kobiety.

— Ja, proszę panów, dzień za dniem. Rok za rokiem. Od rana do wieczora. Harowanie. Panowie mnie znają, że jestem spokojna i taktowna, z wychowaniem. Ale jak mnie się ten spokój urwie... Wtedy łapię za co bądź.

Zastanowiła się i powiedziała z rozwagą.

— Łapię za co bądź...

Nie wytrzymała, wrzasnęła, rozczapierzona.

— Za co bądź!

— Złotko — powiedział Leon i krzyknęła mu: — Za co bądź!

— Za co bądź — powiedział Leon, na co ona krzyknęła: — Nie za co bądź! Za co bądź! I uciszyła się.

Ja też siedziałem cicho.

— Zrozumiałe — Fuks rozpląwał się w uprzejmościach. — Zupełnie naturalne... Przy takiej pracy i kłopotach... Nerwy!

Tak, tak!... No, wyjaśnia się... ale zaraz potem rozległ się inny łoskot, jak gdyby z domu, z piętra?...

— To ja — wymówiła Lena.

— Ona — poinformowała pani Mańcia z cierpliwością, nie znającą granic. — Jak usłyszysz, że mnie takie coś napada, albo przybiegnie i za ramię złapie, albo sama hałasu narobi.

Żebym otrzeźwiała.

Wyjaśniało się. Lena dołożyła jeszcze kilka szczegółów. Że akurat wrócili z Ludwikiem, że ona słysząc łomotanie matki złapała za but mężowski (mąż był w łazience) i bębniła nim w stół, potem w walizkę... Wszystko się wyjaśniło, zagadki tej nocy osiadały na suchym piasku wytłumaczenia — to mnie nie zaskoczyło, byłem na to przygotowany, a jednak było to tragiczne, wypadki przeżyte wylatywały nam z rąk, jak śmiecie, jak śmiecie, leżało to u naszych stóp, igły, gwoździe, młoty, łomoty... Spojrzałem na stół i zobaczyłem karafkę na spodku, szczoteczkę do okruszków w kształcie półksiężyca, okulary Leona (używał ich do czytania) i inne rzeczy — niemrawe, jakby wyzionęły ostatnie tchnienie. I obojętne.

Obojętności przedmiotów towarzyszyła obojętność osób, już niechętna i wkraczająca w surowość — że, niby, zawracamy głowę. Ale uprzytomniłem sobie kota i to mnie pocieszyło — tam, na murze, pozostało jednak trochę grozy, ten pysk tam ział. I kombinowałem, że choć dwa nasze łomoty leżały na ziemi bezsilnie, miałem w zanadru jeszcze jeden łomot, mniej łatwy do wytłumaczenia, a nawet złośliwy, naprawdę dosyć kłopotliwy łomot... Jak ona da sobie rady z moim dobijaniem się do jej drzwi?

Zapytałem Leny... tego hałasu z góry były dwie serie, nieprawdaż?... Jedna po drugiej. Wiem na pewno, byłem blisko drzwi wejściowych — kłamałem — gdy ta druga seria się rozpoczęła. I ten drugi hałas był odmienny.

Dobijać się! Dobijać się do niej! Jak w nocy, do jej drzwi! Przeciagałem strunę? Co odpowie? Jakbym znowu stał przy jej drzwiach i walił... Czy domyśla się, kto walił w jej drzwi? Dlaczego dotąd o tym ani pary z ust nie puściła?

— Drugi hałas?... A, tak, po chwili znowu zaczęłam tłuc... pięścią w okiennicę... Byłam zdenerwowana. Nie byłam pewna, czy mama się uspokoiła. Skłamała.

Ze wstydu, domyślając się, że to ja?... Dobrze, ale Ludwik..., przecie Ludwik był z nią, słyszał moje dobijanie, dlaczego! on nie otworzył drzwi? Zapytałem: — A pan Ludwik? Był, z panią?

— Ludwik był wtedy w łazience.

A, Ludwik był w łazience, ona była sama w pokoju, ja zaczynam się dobijać, nie otwiera — może domyśla się, że to ja, może nie — w każdym razie wie, że ktokolwiek by się dobijał, dobija się do niej. Nie otwiera, przerażona. A teraz kłamie, że to ona waliła! O, szczęście, triumf, że moje kłamstwo dobiło się do jej kłamstwa i oboje zespalaliśmy się w kłamstwie i kłamstwem ja wzrastałem w jej kłamstwo! Leon powrócił do pytania:

— Kto powiesił kota?

Zauważył grzecznie, że nie ma co zajmować się hałasami — to już wyjaśnione, zresztą on nic nie może na ten temat powiedzieć, bridż skończył się o trzeciej rano — ale kto powiesił kota, dlaczego kota powieszono?... I pytał z naciskiem, który, choć w nikogo nie wymierzony, zawisł w powietrzu: — Kto powiesił? Ja się pytam, kto?

Upór ślepy rozsiadł mu się na twarzy, ukoronowanej łysiną.

— Kto kota powiesił? — pytał z dobrą wiarą i w słusznym prawie. Naciskał, a mnie zaczynało to niepokoić. Wtem pani Mańcia wypowiedziała przed siebie, bez drgnienia.

— Leon.

A jeśli to ona? Jeśli ona zamordowała kota? Wiedziałem przecież, kto zamordował, ja zamordowałem — ale tym swoim „Leon” skierowała na siebie spojrzenia, a nacisk Leona jakby odnalazł właściwy kierunek i na nią runął. Mnie, mimo wszystko, zdawało się, że ona mogła, że jeśli waliła młotem w furii to mogła z tej samej furii i kota... i to stało się podobne do niej, do jej krótkich kończyn i grubych przebugów, tułowia krótkiego, a rozłożystego, i obfitego w matczyne łaski — tak, ona mogła — to wszystko razem, tułów, kończyny etc, to mogło udusić i powiesić kota!

— Ti, ri, ri!

Leon zanucił.

...i tajona uciecha zabrzmiała w melodyjce, która natychmiast ucichła... wypadło złościwie... ta złościwość...

Uciecha, że „kukuku, Kulaszka” nie wytrzymała pod jego pytaniem i że nacisk na nią padł, że skierowała na siebie spojrzenia?... Więc co, więc może on, nie kto inny, owszem, on mógł, dlaczegóżby nie... a gałki z chleba, a pieszczanie się nimi, i bawienie, i przesuwanie za pomocą wykałaczki, przyśpiwywanie sobie, nacinanie paznokciem skórki od jabłek, „myślenie” i kombinowanie... dlaczego więc nie miałby kota udusić, powiesić? Ja udusiłem. Tak, ja powiesiłem. Ja powiesiłem, udusiłem, ale on mógł... Mógł powiesić i mógł teraz cieszyć się złościwie, że żona w opałach! A jeśli nie powiesił kota (bo ja powiesiłem), to w każdym razie mógł wróbla powiesić... i patyk!

Przecie, na Boga, wróbel i patyk nie przestały być zagadką dlatego, że ja kota powiesiłem! I wisiały one tam, na krańcach, jak dwa ośrodki ciemności!

Ciemność! Potrzebowałem jej! Była mi konieczna jako przedłużenie nocy, w której do Leny się dobijałem! I Leon włączył mi się w ciemność, nasuwając możliwość lubieżnego sybarytyzmu, frajdy zamaskowanej i hermetycznej, hasającej na Dzikich Polach tego zacnego domu — coś, co byłoby mniej prawdopodobne, gdyby on nie urwał teraz swojej śpiewki w strachu, że się zdradza... To Ti-ri-ri miało charakter łobuzerskiego, radosnego gwizdu, że żonie powinęła się noga... Czy i Fuksowi zaświtało, że zacny tatuś i małżonek, emeryt przesiadujący w domu, który wydał się tylko na bridżika, mógł mieć przy stole familijnym, pod okiem żony, własne prywatne zabawy... A jeśli bawił się gałkami, dlaczegóżby strzałek nie miał insynuować po sufitach? I inne miewać uciechy na boczku.

Myśliciel!... To był przecież myśliciel... on myślał i myślał — i mógł nie byle co wymyślić...

Zaszumiało, zatrzęsło, huk, wóz ciężarowy, wielki, z doczepką, droga, przejechał, krzaki, znika, szyby się uspokoiły, odwróciliśmy wzrok od okna, ale to wywołało ocknięcie „całej reszty”, tego tam poza, poza naszym kręgiem, i ja na przykład dosłyszałem szczekanie piesków w sąsiednim ogrodzie, dostrzegłem karafkę z wodą na małym stoliku, nic ważnego, nie, nic, ale wtargnięcie, wtargnięcie tego z zewnątrz, całego świata, to zmieniało nam jakoś szyki i zaczęto mówić bardziej nieporządnie, że nikt obcy nie mógł, bo psy, boby go napadły, a w zeszłym roku grasowali złodzieje, także inne rzeczy etc. etc. trwało dość długo, było przypadkowe, ja wciąż wyławiałem tamte odgłosy „z głębi”, jakby ktoś gdzieś płaskał, packał, i odgłos miedzi skądś, jakby z samowara... znów szczekanie, byłem zmęczony i zniechęcony, wtem wydało mi się, że coś znowu jakby zaczynało się wyraźniej zarysowywać... — Kto ci to zrobił? Po co ci zrobił? Kochanie! Kulka objęła Lenę. Uściskały się. Ten uścisk wydał mi się nieprzyjemny, jakiś przeciw mnie, i odzyskałem czujność, ale dopiero przedłużenie uścisku o jakąś miliardową odrobinę (co wywołało w nim nadmiar, przeciągnięcie, przesadę) kazało mi na dobre mieć się na baczności! Co, dlaczego? Kulka uwolniła Lenę z objęć swoich, krótkich. — Kto ci to zrobił?

Co ona? Celuje? W Leona nie... więc we mnie? Tak, we mnie i w Fuksa, ona tym uściskiem z Leną wywabiała na światło dzienne całą ciemną namiętność tego kociego mordy, no jakże, „kto ci to zrobił?” czyli „tobie to zrobiono, a jeśli tobie, to tylko namiętnie, kogóż więc posądzać, jak nie dwóch przybyłych niedawno, młodych ludzi?” Rozkosz! Rozkosz, że kot staje się miłośny!... ale uwaga, niebezpieczeństwo! Zachybotalem, co by tu powiedzieć, impas, luka, dziura, nic, aż usłyszałem Fuksa mówiącego, Fuks mówił spokojnie, jakby bez związku z Kulką, jakby głośno się zastanawiał: „Naprzód powieszono kurczę. Potem wróbla. Potem patyk. Ciągle to samo wieszanie w rozmaitych wariantach. I to trwa już długo, wróbel już nieźle cuchnął, jakeśmy go znaleźli, pierwszego dnia...” Słusznie, Fuks nie był jednak taki głupi, to był dobry argument, wieszanie zaczęło grasować jeszcze przed naszym przybyciem, więc byliśmy poza wszelkim podejrzeniem... niestety... jaka szkoda!

— Racja — mruknął Leon i pomyślałem, że on również przez chwilę musiał mieć nas na oku.

Zagadano z nagłą. „Katasia” mówiła Kulka. „Wykluczone! Gdzieżby tam Katasia! Coś podobnego! Ona chora ze zmartwienia, tak tego Dawidka lubiła, jak struta chodzi, od dziecka ją znam, Boże ty mój, żeby nie moje poświęcenie, moja opieka!...” Mówiła, ale mówiła za obficie, jak zwykle te paniusie, właścicielki pensjonatów, i myślałem, czy ona jest nie za dużo taka, jaka jest, ale szum wody z kranu zaleciał i jak gdyby gdzieś ruszał samochód... „Ktoś się zakradł” mówił Leon „ale kota wieszać... Kto by się zakradał żeby kota wieszać? I psy sąsiadów przecie... nie dałyby...” Zabolalo mnie ramię. Spojrzałem przez okno, krzaki, świerk, niebo, upał, rama okna miała wstawioną listewkę z innego drzewa. Potem Leon, że chciałby patyk obejrzeć i te inne znaki...

— Znaki? I stąd może pan je widzi. (To Fuks powiedział).

— Przepraszam. Co, proszę?

— Kto panu zaręczy, że innych znaków nie ma, tu nawet, w tym pokoju... których nie zauważyliśmy dotąd?

— A pani? Czy pani nikogo nie podejrzewa? — zapytałem Leny.

Stuliła się... — Nikt chyba mi źle nie życzy... (W tejże sekundzie pojąłem, że ja jej źle nie życzę... och, umrzeć! Nie być! Jaki ciężar, jaki kamień! Śmierć!)

Leon zwrócił się ku nam z jęśliwą skargą. — Jakie to... Jakie to... nieprzyjemne, proszę panów, niemiłe... Jakie... złośliwe! Bo żeby choć było wiadomo z jakiego końca zahaczyć, ale cóż, nie wiadomo, bo to przez płot nie, od środka też nie, bo i kto, ani z prawa, ani z lewa, cudactwo, ja bym policję wezwał, ale po co, żeby na języki wzięli, śmiechu warte, śmieliby się i tyle, nawet policji nie można wzywać, a jednak proszę panów... a jednak kot nie kot, nie chodzi o kota, chodzi o to, że sam fakt jest nienormalny, sfiksowany, aberracja jakaś, czy co, dość na tym, że tu otwiera się pole do



myślenia i można myśleć, wymyślać, co się komu podoba, każdemu nie dowierzać, każdego podejrzewać, bo i kto mi zaręczy, czy ktoś z nas, jak tu siedzimy, przecie szaleństwo, zboczenie, aberracja, no więc, jakże, każdemu może się zdarzyć, i mnie, i mojej żonie, i Katasi, i panom, i córce, jeśli aberracja, to w ogóle nie ma gwarancji, aberracja fiat ubi vult, ha, ha, ha, jak to się mówi, może się zdarzyć wszędy, w każdym, w każdej osobie i w każdej postaci, ha, ha, hum, hum! Taka nikczemność! Takie to... świństwo, zaświniowatowanko... żebym ja na stare lata miał dom, rodzinę, i żebym nawet pewności nie miał, z kim obcuje, gdzie jestem, żebym we własnym domu był, jak pies bezdomny, żebym nie mógł zaufać, żeby mnie dom mój był domem wariatów... po to ja całe życie... po to te wszystkie prace moje, wysiłki, troski, wysilenia, boje całego życia mojego, których ani zliczyć, ani spamiętać, lata całe, bójcie się Boga, lata, a w nich miesiące, tygodnie, dni, godziny, minuty, sekundy niezliczone, niezapamiętane, góra sekund moich, trudem przepojona... po to, żebym ja nikomu nie mógł zawierzyć? Za co? Dlaczego? Bo i można by powiedzieć, że dramatyzuję, a kot nic wielkiego, ale proszę panów sprawa jest przykra, przykra, bo któż mi zaręczy, że na kocie się skończy, że po kocie nie przyjdzie kolej na grubszą zwierzynę, jeśli wariat jest w domu, co można wiedzieć, naturalnie nie chcę wyolbrzymiać, ale o spokoju już mowy nie ma, póki się nie wyjaśni człowiek we własnym domu jest na łasce... na łasce, mówię...

— Milcz!

Spojrzał boleśnie na Kulkę: — Milczeć, milczeć, dobrze, ale myśleć... Myśleć, to ja nie przestanę!

Lena wycodziła na boku „przestałbyś” i zdało mi się, że w tym jej wycodzeniu dostrzegam jakąś nowość, coś, czego dotąd w niej nie było, ale... co można wiedzieć? Pytam się, co można wiedzieć? Przejechał drogą wóz roztrzęsiony z ludźmi, ujrzałem tylko głowy za ostatnim krzakiem, psy szczekały, okiennica na górze, dziecko się mazgai, szum w głębi generalny, ogólny, powszechny, chóralny, a na szafie butelka, korek... ? Czy ona mogłaby zabić małe dziecko? Z takim, łagodnym spojrzeniem? Ale, gdyby zabiła, od razu by się to stopiło z jej spojrzeniem w jedność doskonałą, okazałoby się, że dzieciobójczyni może mieć łagodne spojrzenie... Co można wiedzieć? Korek. Butelka.

— Co wy tam znowu?... — zaperzył się Leon. — Może pan co doradzi? — zapytał pokornie Fuksa. — Chodźmy obejrzyć strzałkę i patyk...

Było gorąco, była to jedna z tych godzin w małych pokojach na parterze, kiedy jest duszno i kurz widać w powietrzu i ogarnia zmęczenie, mnie nogi bolały, dom był otwarty i ciągle coś tam, gdzieś tam, ptak przeleciał, w ogóle brzęczało, Fuks mówił „...tu się zgadzam z panem dyrektorem, w każdym razie dobrze, żeśmy się rozmówili, a jakby kto co nowego zauważył, zaraz musimy sobie, proszę państwa, komunikować...” Drozdowski. Drozdowski. Wszystko to — ciężko wygrzebujące się z mazi oblepiającej, zgubione w chmarze, jak ktoś, kto zdołał już wygramolić się do połowy, już jest na kolanach, ale zaraz zapadnie się znowu, tyle, tyle szczegółów do wzięcia pod uwagę... Przypomniałem sobie, że jestem bez śniadania. Głowa mnie bolała. Chciałem zapalić

papierosa, wsadziłem rękę w kieszeń, zapalek nie było, zapalki były po drugiej stronie stołu, obok Leona, prosić, czy nie prosić, wreszcie pokazałem mu papierosa, kiwnął głową, wyciągnął rękę, popchnął pudełko w moją stronę, ja rękę wyciągnąłem.

Pochowano go za płotem, przy drodze. Zajął się tym Ludwik gdy, powróciwszy z biura, dowiedział się o wszystkim. Odnosił się do tego z niesmakiem, mruknął „barbarzyństwo”, przycisnął Lenę do siebie i zabrał się do zakopania kota w rowie. Ja wałęsałem się... o nauce, oczywiście ani mowy, wyszedłem na drogę, wróciłem, chodziłem po ogródku. Z daleka, ostrożnie, żeby nikt nie zmiarkował obejrzałem chojara i pień, w który waliła Mańcia, drzwi pokoju Katasi, miejsce za rogiem domu, gdzie stałem gdym usłyszał łomot z piętra... w tych miejscach i rzeczach, w zestawieniu tych rzeczy i miejsc, kryła się ścieżka, która zawiodła mnie do zaduszenia, gdybym zdołał właściwie odczytać zespół tych rzeczy i miejsc, dowiedziałbym się może prawdy o mym zaduszeniu. Zaszedłem nawet do kuchni pod byle jakim pozorem, żeby jeszcze raz sprawdzić usta Katasi. Ale bieda, że tego było tak dużo, labirynt rozrastał się, mnóstwo przedmiotów, mnóstwo miejsc, mnóstwo zdarzeń, czy nie jest tak, że każda pulsacja naszego życia składa się z miliardów drobin, co robić? Otóż to, nie wiedziałem co robić? Nie miałem nic zupełnie do roboty. Byłem bezrobotny.

Zaszedłem nawet do pustego, gościnnego, pokoju, gdzie po raz pierwszy zobaczyłem Lenę i jej nogę na żelazie łóżka, wracając zatrzymałem się na korytarzu, żeby przypomnieć sobie skrzywienie podłogi, gdy, owej pierwszej nocy, wyszedłem szukając Fuksa. Rozpoznałem strzałkę na suficie, przyjrzałem się popielniczce i odszukałem spojrzeniem odrobinę korka na szyjce butelki — jednakże to moje oglądanie było bezmyślne, przyglądałem się i nic więcej, czułem się wśród tych drobiazgów słabo, niczym rekonwalescent po ciężkiej chorobie, któremu świat streszcza się do żuczka, lub plamki słonecznej... i jednocześnie jak ktoś, kto po długim czasie usiłuje odtworzyć swoją historię niezgłębioną, niepojętą (uśmiechnąłem się, bo Leon mi się przypominał ze swoimi minutami, sekundami)... czegoż ja szukałem, czegoż szukałem? Tonu podstawowego? Naczelnej melodii, trzonu jakiegoś, wokół którego mógłbym sobie moje dzieje tutaj odtworzyć, ułożyć? Ale roztargnienie, nie tylko moje, wewnętrzne, ale i napływające z zewnątrz, z wielorakości i nadmiaru, z płątaniny, nie pozwalało skupić się na niczym, jeden drobiazg odrywał od drugiego, wszystko było równie ważne i nieważne, podchodziłem i odchodziłem... Kot. Dlaczegoż ja jej kota zadusiłem? Rozpatrując grudki w ogródku, jedne z tych cośmy badali z Fuksem podczas owego posuwania się po linii, wskazanej przez strzałkę (gdy ja szczołką kierunek wytyczałem), pomyślałem, że byłoby łatwiej na to odpowiedzieć, gdyby moje uczucia względem niej były dla mnie mniej zagadkowe. Ale co? — zastanawiałem się rozgarniając trawki, te same, co wtedy — ale co? Miłość, jaka tam miłość, pasja, tak, ale jaka? Od tego się zaczynało, że ja nie wiedziałem i nie wiedziałem, kto zaczyna, jaka jest, była zawiła, zamazana, nieczytelna (myślałem wpatrując się w łądy, archipelagi, mgławice sufitu), była nieuchwytna i męcząca, mogłem wyobrazić ją sobie i tak, i siak, w stu tysiącach sytuacji, ujmować ją od tej i od tamtej strony, gubić ją i odnajdywać, wykręcać na wszystkie sposoby, ale (snułem dalej mój wątek rozglądając się uważnie po terenie między domem a kuchnią i

obserwując drzewka białe, przywiązane do palików mocnym sznurkiem) ale, nie ulegało wątpliwości, ta jej próżnia wsysała mnie i wchłaniała, ona i tylko ona, tak, tak, ale, zastanawiałem się gubiąc oczy w zawijasach rynny wygiętej, uszkodzonej, ale czego ja od niej chciałem? Pieścić? Dręczyć? Poniżać? Wielbić? Czy chciałbym z nią świństwa, czy anielstwa? Było dla mnie ważne, żeby tarzać się w niej czy żeby ją objąć ramieniem, przytulić? Bo ja wiem, bo ja wiem, w tym sęk, nie wiem... Mógłbym wziąć ją pod brodę i zajrzeć w oczy, bo ja wiem, bo ja wiem... I pluć w usta. A przecież ciążyła mi na sumieniu, wylaniała się, jak ze snu, z ciężką, wlokącą się, jak włosy rozpuszczone, rozpaczą... I wtedy kot wydawał się straszniejszy...

W rozważaniu zaszedłem do wróbla — mimo iż coraz bardziej mi doskwierało, że wróbel gra rolę niewspółmierną ze swoim znaczeniem i, choć z niczym nie można go związać, ciągle się nasuwa, na marginesie ciąży nieruchomo. Jednakowoż (myślałem przechodząc powoli drogę rozpaloną i zagłębiając się w wyschnięte trawy) nie dawało się zaprzeczyć, istniały pewne zbieżności, choćby ta, że kot, wróbel, to dosyć pokrewne, zresztą kot jada wróble, ha, ha, jaka lepka, ta pajęczyna związków! Dlaczego jest się wydanym na łaskę i niełaskę skojarzeń? To jednak było drugorzędnej natomiast rzeczywiście wyglądało, że coś wybija się powoli na plan pierwszy, coraz bardziej znaczące, już dość natrętne... i wywodzące się z faktu, że ja kota nie tylko udusiłem, ale i powiesiłem. Zgoda, powiesiłem, bo nie wiedziałem co robić ze ścierwem, wieszanie nasunęło mi się mechanicznie, po tylu naszych hecach z wróblem z patykiem... ze złości powiesiłem, z furii nawet, że dałem się wciągnąć w głupią awanturę, więc żeby się zemścić, także żeby wypłatać psikusa, uśmieć się i jednocześnie skierować podejrzenie w inną stronę — zgoda, owszem, zgoda — ale w każdym razie powiesiłem i to powieszenie (choć moje własne, ze mnie pochodzące) przyłączyło się jednak do powieszenia wróblowatego i patykowatego — trzy powieszenia, to już nie dwa powieszenia, oto fakt. Goły fakt. Trzy powieszenia. Stąd więc wieszanie zaczynało wzbierać w tym upale, bez jednej chmurki, i nie było to tak zupełnie od rzeczy iść w gąszcz, do wróbla, żeby zobaczyć, jak wisi — to samo z siebie się nasuwało, mnie bląkającemu się przecież w oczekiwaniu na coś, co by w końcu nasunęło się, zapanowało. Zobaczyć, jak wisi?... Zatrzymałem się u samego wejścia do krzaków i stałem z nogą wysuniętą, w trawie, lepiej nie, dać spokój, jeśli tam pójde to od tego wieszanie przybierze na sile, wiadomo, trzeba uważać... kto wie, ba, prawie na pewno, gdybyśmy do wróbla nie zachodzili, nie stałby się on tak... z tym lepiej ostrożnie! I stałem w miejscu wiedząc doskonale, że te wszystkie wahania tylko wzmogą wagę mego ruszenia naprzód, w krzaki... które nastąpiło. Wszedłem. Cień i przyjemnie. Zerwał się motyl. Już jestem — kopuła z krzaków i wnęka, ciemniej, tam wisi na drucie... jest.

Zawsze zajęty tym samym, robiący to samo — wisi, jak wtedy, gdyśmy z Fuksem tu weszli — wisi i wisi. Przypatrywałem się kulce zeszcłej, coraz mniej podobnej do wróbla, zabawne, śmiać się, nie, lepiej nie, ale z drugiej strony nie bardzo wiedziałem co, gdyż ostatecznie, jeśli już tu byłem, to chyba nie po to tylko żeby patrzeć... brakowało mi stosownego gestu, może pozdrowić ręką, coś powiedzieć... nie, lepiej nie, przesada... Jak ścielą się plamy słoneczne na ziemi czarnej! A ten robak! Pień, świerk okrągły! Otóż pewne, że jeśli tu przyszedłem i tu jemu przyniosłem moje powieszenie kota, to to nie jest

wcale bagatela, a czyn, którego dokonałem na sobie, amen. Amen. Amen. Listki zwijają się na brzegach, to z upału. Co mogło być w tej puszcze porzuconej, kto ją porzucił? O, mrówki, nie zauważyłem. Chodźmy już. Jak dobrze, że złączyłeś swoje powieszenie kota z powieszeniem wróbla, teraz to zupełnie co innego! Dlaczego co innego? Nie pytaj. Chodźmy, co to za szmata? Już otwierałem furtkę do ogródka i słońce mnie przypiekało z nieba rozrzedzonego, drgającego. Kolacja. Akurat, jak zawsze, Leon dowcipusium, pierożasiaaa kulkasiaaa papum, a jednak sztuczność i naprężenie kocie zarażały i, choć każdy dokładał starań, aby zachowywać się z całą swobodą, ta naturalność właśnie zalaływała teatrem. Nie żeby oni siebie wzajem podejrzewali, nie, skąd, ale byli w sieci poszlak, już zaplątani w śledzenie, nieuchwytność napierała powodując rodzaj chwytności w powietrzu... nie, nikt nikogo nie podejrzewał, ale też nikt nie mógł ręczyć, czy inni go nie podejrzewają, więc na wszelki wypadek traktowano się uprzejmię, życzliwie... trochę zawstydzeni, że mimo wszystko nie byli dość sobą i że ta rzecz najłatwiejsza w świecie stawała się im trudna, wysilona. Ale bo też całe ich zachowanie uległo jak gdyby skrzywieniu, zaczynało odnosić się, chcieli, czy nie chcieli, do kota i do wszystkich związanych z nim dziwnych rewelacji, Kulka na przykład wystąpiła z pretensjami do Leona, czy do Leny, może do obojga, że zapomnieli jej czegoś przypomnieć, a to z jej strony było poniekąd kocie, jakby ona to tak z powodu kota... Leona gadusium też zawierały w sobie z lekka chorobliwe spaczenie, zerkające w tamtą stronę... Znałem to, wstępowali w moje ślady, wzrok stawał się pracowity, zaczynał unikać spotkania wprost z cudzą twarzą, myszkował po kątach, wybiegał w głąb, szukał, sprawdzał, na półce, za szafą... i ta doskonale znana tapeta, owa firanka familijna, stawały się puszcza lub osiągały zawrotne odległości owych archipelagów, łądów na suficie. A nuż... A jeśli... Och, były to na razie lekkie manie, tiki, nieznaczące zmanierowanie, jeszcze niewinne, daleko im było do stanu, w którym, jak w gorączce, dokonuje się obłądnych kalkulacji obliczając stosunek kwadratów podłogi do barwnych pasów na kilimie, bo a nuż, a jeśli... I, naturalnie, nie unikali kociego tematu, owszem, rozmawiali i o kocie; ale rozmawiali o kocie już dlatego, że nierozmawianie o kocie byłoby gorsze niż rozmowa o kocie itd. itd. etc. etc. etc.

Ręka Leny. Na obrusie, jak zawsze, obok talerza i tuż przy widelcu, w świetle lampy oświetlającym — widziałem ją, jak niedawno widziałem wróbla, leżała tu, na stole, jak tam na gałęzi on wisiał... ona tu, on tam... i próbowałem z wielkim trudem, jakby od tego dużo zależało, próbowałem dobrze uprzytomnić sobie, że gdy ona tutaj jest, on tam jest... jest, jak patyk i jak kot... jest w swoim gąszczu, w wieczorze już nocnym po drugiej stronie drogi, w krzakach, gdy ona, ręka, tu, na obrusie, pod lampą... robiłem to, być może, tytułem eksperymentu, przez ciekawość nawet, ale ze wszystkich sił, naprawdę w pocie czoła, ciężko pracowałem, cóż jednak, on tam, ona tu, i natężania się moje, wysilenia, nie mogły wyjść poza to, było to ubogie, nie, nie chciało się złączyć — i ręka leżała spokojnie na białym obrusie. Na nic. Na nic. Och, och,

ręka ujmuje widelec, ujmuje — nie ujmuje — zbliża palce, nakrywa palcami widelec... Moja ręka, obok mego widelca, przysuwa się bliżej, ujmuje — nie ujmuje — raczej nakrywa go palcami. Przeżywałem po cichu ekstazę tego porozumienia, choć fałszywego, choć jednostronnego, przeze mnie przyrządzanego... Ale, tuż obok była

łyżka, o pół centymetra od mojej ręki i, akurat tak samo, o pół centymetra od jej ręki znajdowała się łyżka — czy oprzeć się bokiem dłoni o łyżkę? Mogę to zrobić nie zwracając niczyjej uwagi, dystans jest małeńki. Robię — już osunęła się moja ręka i dotyka łyżki — i widzę, że jej ręka też się osunęła i też dotyka tamtej łyżki.

W czasie rozbrzmiewającym, jak gong, wypełnionym po brzegi, kaskada, wir, szarańcza, chmura, droga mleczna, pył, dźwięki, zdarzenia, to to, to tamto, etc. etc. etc... Taki drobiazg na granicy samej przypadku i nieprzypadku, co można wiedzieć, może tak, a może siak, osunęła się jej ręka, a może umyślnie, a może na pół umyślnie, na pół bezmyślnie, fifty, fifty. Kulka zdejmuje pokrywkę, Fuks wyciąga sobie mankiet...

Następnego rana wczesnym rankiem wyruszyliśmy na wycieczkę w góry.

Był to pomysł Leona, nienowy, od dawna już głądził, że ja wam zadam coś nowego, podpuszczę wam w górach ojczystych dziwną słodycz, wyfurczę istny smakołyk łyku — sieńkowaty, co tam Turnie, Kościeliska, Morskie Oko, łapcie za przeproszeniem stareńkowate, pocztówkowate, chy, chy, wylizane, wymiętoszone, turystyka ze starej pończochy guano — wata, ja wam wysupłam z górskiej panoramy gędźbę nad gędźbami, garść, mówię, widoków first klas prima że dusza kic na całe życie skarb i sen, cudum cudowatum, w cudenkowatości swojej jedynum marzennie marzonum urokowatum. Zapytacie, skąd? Odpowiem, żem przypadkowo zabłądził, ile lat temu?... dwadzieścia siedem... w lipcu, jak dziś pamiętam, zabłądziłem w Kościeliskiej i znalazłem taką ci panoramę kotlinowatą w bok, ze cztery kilometry, furką można i tam jest nawet schronisko, ale opuszczone, bank kupił, owszem, informowałem się, mają reformy przeprowadzać, powiadam, kto tego nie widział!... Zjawiskowość, rzekłbym, w połączeniu z girlandą natury, marzycielskość trawusi, kwiatusi, drzewusi i jakieś zestrumienienie z poezją szemrze wraz z wygórzaniem się rozgórskim i rozdołowatym w duchu ciemnej zieleni ale z wyniosłością wzniosłą i jedyną, oj, dana, Boże, tutti frutti, palusium lizusium! Można by na dzień, dwa, się wybrać furkami, z pościelą i frykasem podróżnym, słowo honorowe, na całe życie, na całe życie, kto raz oczy tym rozmarzył, ha, ha, ha! Ja dotąd tym żyję, przysiągłem sobie, jeszcze raz przed śmiercią, Boże, Boże, lata mijają, przysięgi dotrzymam!... Dopiero jednak po kocie perspektywa takiego przewietrzenia się, rozrywki, zmiany, stała się o tyle kusząca, o ile w domu stawało się nam duszno... i Kulka po rozmaitych „myślałeś aż wymyśliłeś” i „nie gadaj, Leon, nie gadaj” zaczęła życzliwiej odnosić się do tego pomysłu, zwłaszcza gdy Leon zauważył, że byłaby to dogodna forma towarzyskiego rewanżu wobec dwóch przyjaciółek Leny, przebywających w Zakopanem. W końcu tedy naleganiom Leona, żeby „wynurzyć się knurem z nory”, odpowiedziały działania Kulki, kulinarne i inne, iżby ów towarzyski rewanż wypadł jak się patrzy.

Tak więc, podczas gdy układ patyk — wróbel — kot — usta — ręka itd. itd. (ze wszystkimi odnogami, rozgałęzieniami, mackami), gdy, mówię, ten układ trwał, świeży nurt, zdrowszy, zawitał, wszyscy chętnie zgodzili się, Kulka w przystępie dobrego humoru ostrzegała mnie i Fuksa, że „będzie słodko”, gdyż obie te przyjaciółki Leny były świeżo po ślubie, w wycieczce wezmą więc udział aż trzy parki „w miodowym stanie” i to będzie przyjemna towarzyska rozrywka, o ileż bardziej oryginalna niż zwykle wycieczki do miejsc

już „zbanalizowanych”. Naturalnie i to działo się względem kota. Kot był spiritus movens, gdyby nie kot nikt by się nie kwapił do tej wycieczki... ale w każdym razie to zarazem nas odrywało od kota... przynosiło ulgę... w ostatnich dniach zapanowała jakaś nieruchawość, nic nie chciało się dziać, kolacje, jedna za drugą, jak conocny księżyc, bez zmian, a konstelacje, zespoły, figury, uległy pewnemu zużyciu, bładły... zaczynałem się obawiać, że to Lak już zaślimaczy się na zawsze, niczym chroniczna choroba, chroniczne jakieś powikłanie... Więc lepiej żeby co zaszło, choćby ta wycieczka. I jednocześnie dziwił mnie nieco ferwor Leona, który ciągle wracał do owego dnia sprzed dwudziestu siedmiu laty, kiedy to zablądził i odkrył tak wspaniały widok (wał, bij, męcz, nie skleję, miałem wtedy koszulinę, uważasz pan, kawkowatej maści, tę samą co na fotce, ale jakie porteliansy?... Bozia, ta wiesz, ja nie wiem, przepadupcium, zapadupcium, tam coś tak jakoś tego gdzieś i nogi, nogi myłem, gdzie myłem, w czym myłem, Bozia, Bozia, niby coś tam mi wraca, nie wraca, Jezusiek, Maryśka, bidna moja łepete, myślę i myślę...) to więc mnie dziwiło, a także wydawała mi się coraz bardziej znamienna ta zbieżność, że on i ja tonęliśmy, każdy w swoim, na swój sposób, on w przeszłości, ja w tych tam drobiażdżkach.

Nie mówiąc już, że znowu rosły moje podejrzenia, czy to nie on, czy nie on palce maczał... we wróblu... w patyku... Ileż razy już powiedziałem sobie, że nonsens! A przecież było w nim coś, tak, coś w nim było, jego twarz łysa i kulista z binoklami krzywiła się boleśnie, ale i łakomie, łakomstwo było oczywiste i było to łakomstwo chytne... wtem zrywa się od stołu i zaraz wraca z zasuszonym badylem: — To oto stamtusium! Do dziś przechowusium! Stamtąd, z miejsca tego cudowniukowatego musium, tylko że diabli wiedzą... z łąki zerwałem?... czy z drogi?...

Stoi z badylem w ręce, łysogłowy, mnie zaś się roi: — Badył... badył... patyk?... i nic.

Tak przeszły dwa, trzy dni. Wreszcie, gdy o siódmej rano ładowaliśmy się na furki, mogłoby się zdawać iż rzeczywiście bierzemy rozbrat: przed nami dom, ale już w stadium porzucenia, naznaczony piętnem rychłej samotności, pozostający pod opieką Katasi, której wydano instrukcje dotyczące rozmaitych ostrożności, żeby na wszystko baczyła, drzwi nie zostawiała otworem — w razie czego niech Katarasia do sąsiadów zastuka — te jednak dyspozycje dotyczyły już czegoś, co za chwilę miało pozostać poza nami, w tyk, tak się stało. Ruszyły szkapy w brzasku obojętnym, po drodze piaszczystej, dum zniknął, para srokatych kobył kłusowała, góral przed nami, furka trzęsa i skrzypiała, na wymoszczonych siedzeniach Ludwik, Lena i ja (Leonowie z Fuksem jechali pierwszą furką) z oczami nie wyspanymi... po zniknięciu domu pozostał już tylko sam ruch, podskakiwanie na wybojach, senne hałasy jazdy, oraz przesuwanie się rzeczy... ale wycieczka jeszcze się nie rozpoczęła, mieliśmy naprzód zajechać do pensjonatu żeby zabrać jedno z młodych małżeństw. Trzęsienie. Zajeżdżamy, młoda para z pakuneczkami rozmaitymi włazi na furkę, śmiechy, całusy z Leną nie dość rozbudzone, rozmowa, ale niemrawa, nikle wszystko...

Wynurzyliśmy się na szosę i zapadli w otwierający się kraj, jedziemy. Powolne kłusowanie koni. Drzewo. Zbliża się, mija, przepada. Płot i dom. Pólko czymś zasadzone.

Pochyłe łąki i kragłe wzgórki. Wóz drabiniasty. Szyld na beczce. Samochód mija, rozpędzony. Jazdę wypełniało trzęsienie, skrzypienie, kołysanie, kłus, zady końskie i ogony, góral z batem, a nad tym niebo wczesnego poranka i słońce, już nudne, już zaczynające szczytać w szyję. Lena podskakiwała i chwiała się wraz z furką, ale nie było to ważne, w ogóle nic nie było ważne w powolnym znikaniu jakim jest jazda, byłem pochłonięty, ale czymś innym, to coś nie miało ciała, było stosunkiem szybkości z jaką przewijały się przedmioty bliższe do powolniejszego przesuwania się przedmiotów dalszych, a także tych, bardzo dalekich, prawie stojących w miejscu — to mnie pochłaniało. Myślałem, że w czasie jazdy rzeczy ukazują się tylko, żeby zniknąć, rzeczy są nieważne, a też nieważny krajobraz, jedyne co pozostaje, to ukazywanie się i przepadanie. Drzewo. Pole. Nowe drzewo. Mija.

Byłem nieobecny. Zresztą (myślałem) prawie zawsze jest się nieobecnym, lub raczej nie w pełni obecnym, a to wskutek naszego ułamkowego, chaotycznego i prześlizgującego się, niecnego i podłego obcowania z otoczeniem; a już ludzie biorący udział w towarzyskiej zabawie, dajmy na to w wycieczce (kombinowałem) bodaj i w dziesięciu procentach nie są obecni. A już w naszym wypadku napierająca fala rzeczy i rzeczy, widoków i widoków, taka rozległość po tak niedawnym, wczorajszym zaledwie, zamknięciu w obrębie ciasnych grudek, pyłków, zeschnięć, szpar etc. etc. popryszczeń i szklanek, butelek, włóczek, korków etc. etc. oraz figur, z nich powstających etc. etc. była wprost roztopiająca, rzeka olbrzymia, zalew, powódź, wody niezmierzone. Ginałem, obok mnie ginęła Lena. Trzęsienie. Kłusowanie. Skąpe rozmówki senne z nową parą. Nic właściwie, tylko to, że oddalam się z Leną od domu, w którym pozostała Kataria, i że z każdą chwilą jesteśmy dalej i za chwilę będziemy jeszcze dalej i że tam dom, furka, drzewka obielone i przywiązane do palików, i że tam jest dom, my coraz dalej.

Ale powoli furka nasza nabierała animuszu, nowa parka, on, Luluś, ona, Lulusia, zaczynała się ożywiać i wkrótce, po wstępnych „oj, Lulu, czy ja termosu nie zapomniałam” oraz „Lula, zabierz ten plecak, uwiera mnie”, oddali się lulusiowaniu na całego.

Lulusia, młodsza od Leny, pulchniutka i różowiutka, z dołeczkami cacy, z paluszkami a kuku, z torebką, z chusteczką, z parasolką, z rouge, z zapalniczką, wierciła się w tym wszystkim i paplała hi–hi–hi, to ta szosa do Kościeliskiej, trzęsie, lubię, dawno się nie trzęsłam, ty Lulu, kiedy się trząsałeś, co za ganeczek, Lena, popatrz, ja bym tu sobie salonik, a Lulu tam, gdzie duże okno, gabinet, tylko karzełki bym wyrzuciła, nie znoszę karzełków, Lena, lubisz karzełki? Nie zapomniałeś filmów? A lornetka? Lulo, ojej, jak ta decha wrzyna mi się w pupkę, aj, aj, co robisz, co to za góra? A Luluś był akurat, jak Lulusia, choć krępy, z grubymi łydami... ale pucułowaty, roztrzęsiony, zaokrąglony w bioderkach, z zadartym noskiem, z wzorzystymi pończochami, z kapelusikiem tyrolskim, z aparatem fotograficznym, z oczkami niebieskimi, z neseserem, z tłustymi rączkami, w pumpach. Upojeni tym, że stanowią parkę Lulusiów — on, Luluś, ona, Lulusia, — oddawali się lulusiowaniu i jedno drugiemu podbijało bębenka, tak więc, gdy Lulusia ujrawszy ładną willę zaznaczyła, że jej mama przyzwyczajona jest do wygod, Luluś napomknął, że jego mama co roku wyjeżdża do wód za granicę i dodał, że jego mama



ma kolekcję chińskich abażurów, a wtedy Lulusia, że jej mama ma siedem słoni z kości słoniowej. Paplaniu temu niepodobna było odmówić uśmiešku, ten zaś uśmiešek dodawał im werwy i znowu paplali, i paplanie łączyło się z nieistotnością, przesuwaną się monotonicznie w klusie koni, w ruchu oddalającym, który rozkładał krainę na koncentryczne kręgi, krążące szybciej lub wolniej. Ludwik wyciągnął zegarek.

— Wpół do dziesiątej.

Słońce. Upał. Ale powietrze świeże.

— Przekąsimy sobie.

Więc jednak ja z Leną naprawdę oddalam się — ważne, dziwne, doniosłe, jak mogłem nie połączyć się dotąd w tej doniosłości, wszystko przecie tam w domu zostało, lub przed domem, tyle, tyle, od łóżka do drzewka i nawet aż do ostatniego dotknięcia łyżki... a tu teraz bezdomni... gdzie indziej... a dom oddala się z konstelacjami i z figurami, z całą tą historią i już, już jest „tam”, jest „tam” i wróbel jest „tam”, w krzakach, z plamami słonecznymi na czarnej ziemi, które też są „tam”... o, doniosłe, tylko że myśl moja o tej doniosłości też jakaś oddalająca się bez przerwy i w oddalaniu słabnąca... pod napływem krajobrazów. (Ale jednocześnie i z całą trzeźwością, choć niejako kącikami oczu, dostrzegałem fakt, godny uwagi: wróbel oddalał się, ale istnienie jego nie osłabło, stało się jedynie istnieniem oddalającym się, oto wszystko).

— Sznytki, gdzie masz termos, daj ten papier, Lulo, odczep się, gdzie kubki co nam dała mama, uważaj! Głupiś! Głupiaś! Ha, ha, ha!

Tamto było już nieaktualne; ale było aktualne, jako nieaktualne. Twarzyczka Leny była drobna, nikła, ale twarz Ludwika też była, jakby nie żył, zniweczona przestrzenią, która rozciągała się po zaporę łańcucha górskiego, który z kolei rozciągał się, zakończony u samego krańca odległości górą o nieznanym nazwie. W ogóle nie znałem większości nazw, co najmniej połowa rzeczy oglądanych była nie nazwana, góry, drzewa, chwasty, warzywa, narzędzia, osiedla. Byliśmy na wyżynie.

Co Kataria? W kuchni? Ze swoją war... i zerknąłem na usteczka, co z nimi z dała od tamtej insynuacji, jak miewają się oderwane od... ale nic, były to usta jadące furką na wycieczkę, zjadłem kawałek indyka, Kulka smacznie przygotowała prowianty.

Powoli zaczynało wytwarzać się na furce nowe życie, jakby na odległej planecie, i tak, Lena, a nawet Ludwik, dawali się wciągać Lulusiom w lulusiowanie i „co ty wyrabiasz, Ludwik!” zawołała Lena, on zaś „ucisz się, mała!”... podglądałem z cicha, nie do uwierzenia, a więc tacy też mogli być? A więc tacy byli? Dziwna jazda, nieoczekiwana, zaczęliśmy zjeżdżać z wyżyny, rozległości jęły się skracać, wzdęcia ziemi założyły z obu stron, Lena groziła mu paluszkami, on mrużył oczy... lekkomyślna, powierzchowna, wesołość, ale w każdym razie byli do niej zdolni... ciekawe... ale ostatecznie oddalenie

miało swoje prawa i w końcu ja sam zdobyłem się na parę żarcików, do licha, byliśmy przecież na wycieczce!

Góry, nadciągające już od dawna, wywaliły się nagle z zewsząd, wjechaliśmy w dolinę, tu przynajmniej cień błogosławiony zalegał aż po zbocza, kwitnące na wysokościach rozslonecznioną zielenią — cisza nie wiadomo skąd, z zewsząd, i chłodek strumieniem płynący, przyjemnie! Zakręt, piętrzą się ściany i szczyty, były to wyrwy gwałtowne, żmudne usypiska, zaokrąglenia zielono — spokojne, czuby, lub szpice, poszarpane grzbiety i piony stromo spadające, których czepiały się krzaki, — dalej głązy na wysokościach, łąki obsuwające się w ciszy, która wylęgała, niepojęta, powszechna, nieruchoma, rozlegająca się i tak przemożna, że turkot naszej furki i jej toczenie się maleńkie, były jak gdyby osobno. Panoramy utrzymywały się czas jakiś, po czym występowało coś nowego napierając, nagie to było, albo pogmatwane, lub połyskujące, czasem bohaterskie, czeluście, stwardnienia, rysy, wariacje kamieni zwisających, po czym w rytmach wstępujących, zstępujących, zrobionych z krzaków, drzew, ran, uszkodzeń, zawaleń, nadpływały, na przykład, idylle, nieraz słodkie, nieraz koronkowe. Rozmaite rzeczy — rozmaite rzeczy — dziwne dystanse, oszalamiające skręty, przestrzeń uwięziona i naprężona, nacierająca lub ustępująca, zwijająca się i skręcająca, uderzająca w górę lub w dół. Ruch ogromny nieruchomy.

— Lula, ojej!

— Lulo, ja się boję... Ja się boję sama spać! Nagromadzenie, odmęt, zamęt... za dużo, za dużo, za dużo, tłok, ruch, spiętrzanie, wywalanie, pchanie, rozgardiasz generalny, wielkie mastodonty wypełniające, które w mgnieniu oka rozpadały się na tysiące szczegółów, zespołów, brył, awantur, w niezgrabnym chaosie, i nagle te szczegóły wszystkie znów skupiały się w przemożnym kształcie! Akurat, jak wtedy, w krzakach, jak przed murem, wobec sufitu, jak przed kupą śmieci z dyszlem, jak w pokoiku Katasi, jak wobec ścian, szaf, półek, firanek, gdzie przecież także formowały się kształty — tylko że tam drobiazgi, tu była burza rycząca materii. A ja takim już stałem się czytelnikiem martwej natury, że mimo woli badałem, szukałem i rozpatrywałem, jakby tu co było do odczytania i sięgałem po coraz nowe kombinacje, które furka nasza maleńka wytaczała, turkocząc, z łona górskiego. Ale nic, ale nic. Ptak ukazał się podniebny — najwyższy i nieruchomy — sęp, jastrząb, orzeł? Nie, nie był to wróbel, ale przez to samo, że nie był wróblem, był jednak nie — wróblem, a będąc nie — wróblem, był cokolwiek wróblem...

Boże! Jakżeż mnie uraczył widok tego ptaka jedyne, wzbitego ponad wszystko, naczelnego! Punkt najwyższy, punkt królujący. Czyżby? Tak bardzo więc byłem zmęczony nieładem, tam, w domu, tamtą mieszaniną, chaosem ust, wieszania, kot, czajnik, Ludwik, patyk, rynna, Leon, walenie, dobijanie, ręka, wbijanie, szpilka, Lena, dyszel, wzrok Fuksa itd. itd. etc. etc. etc. jak we mgle, jak w rogu obfitości, zamęt... A tu w lazurze ptak królujący — hosanna! — i jakim cudem ten punkcik daleki zapanował, jak wystrzał armatni, a odmęty, zamęty, legły mu u stóp? Spojrzałem na Lenę. Wpatrywała się w ptaka.

Który łukiem w bok się uchylił, pozostawiając nas znowu z rozjuszonym rejwachem gór, za którymi były inne góry, każda złożona z miejsc rozmaitych, obfitych w kamyczki — ileż kamyczków? — i tak to co było „za” najeżdżało na pierwsze szeregi armii napierającej, w ciszy dziwnej, poniekąd tłumaczącej się bezruchem wszechruchu, Lulo, ojej, patrz ten kamień! Lula, widzisz, zupełnie nos! Lulusio, patrz, a tam dziadek z fajką! Spójrz się na lewo, widzisz, kopie nogą w bucie z cholewami! Kogo kopie, gdzie kopie, komin! Nowy zakręt zagęszczający, balkon nadpływający, to znów trójkąt — i drzewo, które naraz przykuwa, gdzieś tam uczepione — jedno z wielu — przykuło, ale rozpuściło się, znikło. Ksiądz.

W sutannie. Siedział na drodze, na kamieniu. Ksiądz w sutannie, siedzący na kamieniu, w górach? Czajnik mi się przypomniał, bo ten ksiądz był jak czajnik, tam. Ta sutanna też była extra.

Stanęliśmy.

— Podwieziemy księdza?

Pucołowaty i młody, z nosem kaczym, twarz z chłopska okragła wystawała z księzego kołnierzyka — spuścił wzrok. — Bóg zapłać — powiedział. Ale nie ruszył się. Włosy kleiły mu się od potu. Gdy Ludwik zapytał dokąd mamy go podwieźć, jakby nie dosłyszał, wsiadł na furkę mamrocząc podziękowanie.

Kłus, turkot, jazda.

— Chodziłem po górach... Trochę zboczyłem z drogi.

— Ksiądz zmęczony.

— A tak... Mieszkam w Zakopanem.

Sutannę miał u dołu zabrudzoną, buty strudzone, oczy jakieś czerwone — czy i noc spędził w górach? Tłumaczył powoli: wybrał się na wycieczkę, zmylił drogę... ale jakżeż w sutannie na wycieczkę? Zabłądzić w terenie przerzniętym doliną? Kiedy wyszedł na wycieczkę? No, właściwie, wczoraj po południu. Po południu na wycieczkę? Nie rozpytując zanadto daliśmy mu tego i owego z naszych prowiantów, jadł wstydliwie, potem już tylko siedział bezradny, a furka nim trzęsła, słońce prażyło, już nie było cienia, pić się chciało, ale nie chciało się wyciągać butelek, jazda tylko i jazda. Cienie głazów i skał wystających biły pionowo w sam dół po bokach i ozwał się szum kaskady. Jechaliśmy. Mnie jak dotąd niezbyt zaciekawiał fakt, przecież ciekawy, że od wieków pewien procent ludzi wyobcowany zostaje sutanną i przydzielony służbie boskiej — branża specjalistów od Boga, funkcjonariuszy niebieskich, urzędników duchowych. Tu wszakże, w górach, ten czarny gość domieszany do naszej jazdy, który nie mieścił się w górskim chaosie będąc extra... rozsadzający, przepelniający... prawie jak czajnik?

To mnie zniechęciło. Ciekawe, gdy ten orzeł, czy jastrząb, wystrzelił ponad wszystko, nabrałem animuszu — a to dlatego chyba (myślałem) że będąc ptakiem odnosił się do wróbla — ale i dlatego, może przede wszystkim dlatego, że zawisł łącząc w sobie wróbla z wieszaniem i pozwalając połączyć w idei wieszania kota powieszzonego z wróblem powieszonym, tak, tak, (coraz wyraźniej to widziałem) nadawał on nawet tej idei wieszania cechę dominującą, zawisającą nad wszystkim, królewską... a jeśli zdołam (myślałem) odcyfrować ideę, odkryć główny wątek, pojąć czy choćby wyczuć do czego to prze, przynajmniej na tym jednym odcinku wróbla, patyka, kota, to już łatwiej mi przyjdzie dać sobie radę z ustami i z tym wszystkim, co wokół nich się kręci. Albowiem (próbowałem odczytać szaradę) nie ulega kwestii (i była to bolesna zagadka), że sekretem związku ustno — wargowego jestem ja sam, on we mnie się dokonał, ja, nie kto inny, stworzyłem ten związek — ale (uwaga!) ja wieszając kota włączyłem się (chyba? do pewnego stopnia?) w tamtą grupę wróbla i patyka, należałem więc do obu grup — czyż więc nie wynika z tego, że połączenie Leny i Kataśki z wróblem i z patykiem może się dokonać tylko poprzez mnie? — i czy rzeczywiście ja, wieszając kota, nie ustanowiłem pomostu łączącego wszystko... w jakim sensie? Och, nie było jasne, ale w każdym razie coś tu zaczynało się formować, rodził się embriion jakiejś całości i oto ptak olbrzymi zawisa nade mną — wiszący. Dobrze. Ale do diabła, po cóż ten ksiądz włazi w paradę, z zewnątrz, z innej beczki, niespodziewany, zbędny, idiotyczny?...

Jak czajnik tamten, tam! I moje rozdrażnienie nie było wcale mniejsze, niż tamto... które rzuciło mnie na kota... (tak, ja wcale nie byłem taki pewny, czy wtedy nie rzuciłem się na kota z powodu czajnika, nie mogąc znieść tej kropli przepelniającej czarę... i chyba, żeby dokonaniem byle czego zmusić rzeczywistość do wyłonienia się tak właśnie jak ciskamy byle co w krzaki, gdzie coś niewyraźnego się rusza)... tak, tak, zaduszenie kota było rozwścieczoną odpowiedzią moją na prowokację, zawartą w bezsensie czajnika?...! Ale w takim razie ostrożnie, klecho, bo któż zaręczy, że i w ciebie czymś nie rzucę i nie zrobię z tobą czegoś... czegoś... Siedział nie domyślając się mojej złości, jechaliśmy, góry i góry, kłus koński, gorąco... Wpadł mi w oko pewien szczegół... ruszał palcami... Bezwiednie rozczapierał grube palce obu rąk i splatał, ta praca palców, robaczkowa, w dole, między kolanami, była uparta i przykra.

Rozmowa.

— Państwo pierwszy raz w Kościeliskiej? Na co Lulusia głosem zawstydzonej pensjonarki: — Tak, proszę księdza, my w podróży poślubnej, pobraliśmy się w zeszłym miesiącu.

Luluś zaraz doskoczył z minką nie mniej wstydliwie rozkoszną: — Jesteśmy parką od niedawna!

Ksiądz chrząknął, stropiony. Więc Lulusia wciąż po pensjonarsku i jakby składała przełożonej donos na koleżankę: — Oni — wystawiła paluszek na Lenę i Ludwika — oni, proszę księdza, też!

— Niedawno uzyskali pozwolenie na...! — wykrzyknął Lulo.

Ludwik powiedział: — Hmmmrnm! głębokim basem, uśmieszek Leny, milczenie księdza, ach, Lulusiowie, jaki to tonik sobie wynaleźli na tego kapłana!... który wciąż gmerał nerwowo paluchami, było to biedne, nieporadne, chłopskie, i coś mi tak wyglądało, jakby miał jakąś sprawkę na sumieniu, co on zrobił tymi paluchami? I... i... ach... ach... te palce w dole ruszające się... i moje palce... i Leny... na obrusie. Widelec. Łyżka.

Lulo, nie czepiaj się mnie, co sobie pomyśli ksiądz kanonik!

Lula, coś ty, przecie nie będzie miał złych myśli ksiądz kanonik! Lulo, oj, żebyś ty wiedział jak tobie się trzęsie policzek! I nagle... Skręcamy w bok. Przecinamy dolinę, niełatwą i mało widoczną dróżką wjeżdżamy górom w bok! Byliśmy w wąwozie, który się zacieśniał, ale za nim otworzył się boczny, uboczny, jar i kłusowaliśmy wśród nowych szczytów i zboczy, odcięci już zupełnie... i było to uboczne... i nowe drzewa, trawy, skały, takie same, a jednak zupełnie inne, nowe, i wciąż napiętnowane ubocznością, tym skretem naszym z głównej drogi. Tak, tak, myślałem, mógł coś zrobić, miał coś na sumieniu.

Co? Grzech. Co za grzech? Zaduszenie kota. Głupstwo, cóż to za grzech zakatrupić kota... ale ten człowiek w sutannie i rodem z konfesjonatu, z kościoła, z modlitwy, wyłazi na drogę, włazi na furkę i naturalnie zaraz grzech sumienie zbrodnia pokuta tra, la, la, tra, la, la, jakie to ti-ri-ri... wyłazi na furkę i grzech.

Grzech, czyli właściwie kolega, ksiądz kolega, paluchami przebiera mając coś na sumieniu. Jak ja! Koleżeństwo i braterstwo, jak to jemu się przebiera i przebiera tymi paluchami, co też te paluszki, może też zadużyły? Najazd nowych zupełnie spiętrzeń, rozwaleń, nowego wrzenia cudnie zielonego, spokojnego, ciemno modrzewiowego, sosnowego, sennego z lazurem, Lena przede mną, z rękami i cały ten układ rąk — ręce moje, ręce Leny, ręce Ludwika — doznał zastrzyku w postaci rąk księżych paluchowatych, czemu nie mogłem poświęcić dość uwagi, bo jazda, góry, uboczność, Boże święty, Boże miłosierny, dlaczego niczemu nie można poświęcić uwagi, świat jest sto milionów razy za obfity i co ja pocznę z moją nieuwagą, hej, gazda, tańczujecie zbójnickiego, Lula, daj mu życie, Luluś, odczep się, Lula, ojej, ścierpła mi noga, jedziemy, jedziemy, jazda, dobrze, jedno jasne, ten ptak wisiał za wysoko, i dobrze, że ksiądz — kolega gmera w dole, jedziemy, jedziemy, ruch monotony, rzeka olbrzymia, napływa, przepływa, turkot, kłus, gorąco, skwar, dojeżdżamy.

Godzina druga po południu. Miejsce obszerniejsze, rodzaj kotliny, łąka, sosny i świerki, sporo głązów wystających z łąki, dom. Drewniany z werandą. W cieniu, za domem, furka, którą przyjechali Wojtysowie z Fuksem i z tamtą parą oblubieńców. Ukazali się we drzwiach, gwar, powitania, wysiadanie, dobrze się jechało, dawno przyjechaliście, zaraz, ta torebka tutaj, już się robi, Leon, weź butelki:.

Ale byli jak z innej planety. I my także. Nasze przebywanie tutaj było przebywaniem „gdzie indziej” — i ten dom był po prostu domem nie tamtym... tamtym, który tam był.

Wszystko działo się w oddaleniu. To nie dom tamten oddalił się od nas, to myśmy się od niego oddalili... i ten nowy dom w głuszy przeraźliwej i zgubionej, na którą daremnie porywały się nasze hałasy, nie miał własnego istnienia, istniał o tyle tylko, że nie był tamtym... Spadła na mnie ta rewelacja, gdy tylko wysiadłem z furki.

— Puścusiętko tutaj, żywej duszy, cały domuś dla nas, żyć nie umierać, głównie zajadać, hej bracia sokoły dodajcie mi sił, a co, nie mówiusium, pejzażuś jak sokół, potem zobaczycie, naprzód co na zębusia kąsim, kąsim, kąsim, marsz, marsz, allons enfants de la patrie!

— Leon, łyżeczki z saku, Lena, serwetki, prosimy, proszę się rozgościć, każdy niech siada, gdzie wygodniej, ksiądz dobrodziej tutaj, proszę bardzo. Na co odpowiadano: już się robił Rozkaz, pani generałowo! No, siadać! Jeszcze ze dwa krzeselka. Co za festyn! Proszę, pani tutaj... Dawać tu serwetki!

Rozsadzano się przy dużym stole w sieni, skąd kilkoro drzwi wiodło do sąsiednich pokoiów, a schody na górę. Te drzwi były otwarte i ukazywały pokoiki nagie zupełnie, z łózkami tylko i krzesłami, dużo dosyć krzesel. Stół zastawiony jadłem, humory doskonale — komu jeszcze wina? — ale była to ta wesołość wytwarzana na zabawach, kiedy każdy się weseli żeby innym nie zepsuć humoru, a naprawdę wszyscy są cokolwiek nieobecni, jak na stacji, jak kiedy czeka się na pociąg — i ta nieobecność łączyła się z ubóstwem domu przypadkowego, gołego, bez firanek, szaf, pościeli, rycin, pótek, z oknami jedynie, łózkami, krzesłami. W tej zaś pustce nie tylko słowa, ale i osoby rozlegały się głośnie. Zwłaszcza Kulka i Leon byli jak rozdęci w próżni i huczeli swymi osobami, a huczeniu towarzyszył gwar gości zajadających, w którym wybijały się chichoty Lulusiów i zberezeństwa Fuksa, już nieźle pijanego, który pił, wiedziałem, żeby zapić Drozdowskiego i swoją nędzę z nim, to odstrychnięcie podobne do mojego z rodzicami... on, pechowiec, ofiara, urzędnik denerwujący, zmuszający do zamykania oczu, lub patrzenia w inną stronę. Kulka, wspaniała rozdawczyni sałatek i wędlin, ugaszczająca, zapraszająca, ależ proszę, niechże państwo skosztują, nie zabraknie, głodu nie będzie, już ja gwarantuję itd., itd. — zakrzątnięta aby wszystko wypadło tip top, elegancko, ot taka sobie oryginalna wyprawa i towarzyska rozrywka, ale nikt nie powie, że się nie najadł, nie napił. Także dwojenie się i trojenie Leona, amfitriona, wodza, inicjatora, hej, hej, wszyscy wraz, nie było nas, był las, za króla pasa popuszczaj sasa, allons, allons! A jednak szastanie się i wykrzykniki, rozhovor uczt, wszystko było nie dość obecne i jak podcięte połowicznością jakąś, rachityczną, bladą i kaleką, która osłabiała... aż miałem chwilami wrażenie, iż siebie i innych widzę przez lunetę, z oddalenia. Wszystko jak na księżycu... Więc ta wycieczka — ucieczka nie doprowadziła do niczego, „tamto” tym silniej było im bardziej myśmy usiłowali się oderwać... dość, niech tam, mimo wszystko

coś się dzieje, zaczynałem rozróżniać to i owo, dostrzegłem też szczególną ekstazę, która ogarnęła Lulusiów na widok miodowej pary Nr 3, przybyłej z Wojtysami.

Świeżo upieczonego żonkosia nazywano Tolem, lub rotmistrzem, rotmistrzuniem. Rzeczywiście, kawalerzysta w każdym calu, wysoki, barczysty, o rumianej jakby naiwnej cerze, jasny wąsik, rotmistrz jak ta lala! Leon mu śpiewał „stoi ułan na pikiecie” ale tu urywał i miał rację, gdyż dalszy ciąg brzmi „a dziewczyna, jak malina, niesie koszyk róż” — tymczasem świeżo upieczona żonusia, Jadziucha, Jadeczka, była z gatunku kobiet zrezygnowanych, które nie chcą się podobać, bo wiedzą, że to nie dla nich. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego. Nie była szpetna, choć ciało jej było trochę nudne, bo ja wiem, jednostajne, mimo to mniej więcej wszystko miała „na swoim miejscu”, jak mi szepnęła Fuks trącając łokciem, cóż kiedy człowiek cierpł na samą myśl pogłaskania jej w karczek, tak bardzo się do tego nie nadawała. Jakiś egoizm cielesny? Egocentryzm fizyczny? Wyczuwało się, że jej ręce, nogi, nos, uszy, są tylko dla niej, były to jej narządy i nic więcej, brakło jej zupełnie hojności, która umie podszeptać kobiecie, że jej rączka jest darem powabnym i podniecającym. Surowość moralna?... Nie, nie, raczej dziwna samotność cielesna... ale to sprawiło, że Lulusia skręcając się z tłumionego chichu szepnęła do Lula „ona jak siebie wacha, to jej nie szkodzi”, tak, na tym polegała jej obrzydliwość, była wstrętnawa, jak te zapachy ciała, które są znośne tylko dla tego, kto je wytwarza. Ale ani Luluś, ani Lulusia, nie doznałoby takiego szoku duszącego i skręcającego hihhi, gdyby mężuś — rotmistrz nie był chłopem na schwał, stworzonym do pocałunków, które sadowiły mu się pod jasnym wąsikiem, na czerwonych wargach — i każdemu nasuwało się pytanie, co mogło skłonić go do poślubienia tej właśnie kobiety — i pytanie nabierało złośliwości, gdy stawało się wiadomo (o czym mnie szeptem poinformowała Lulusia) iż Jadeczka była córką bogatego przemysłowca. Hihhi! Skandal jednak na tym się nie kończył, owszem, tu na dobre się rozpoczynał, gdyż, co najgorsze, oni (to też widziało się na pierwszy rzut oka) nie mieli złudzeń co do efektu, jaki wywierali, i złośliwości ludzkiej przeciwstawiali jedynie czystość swoich intencji i słuszność swojego prawa. Czyż nie mam prawa? — zdawała się mówić ona. — Mam prawo! Wiem, on jest piękny, nie ja... ale czy nie wolno mi kochać? Wolno! Nie zabronicie mi tego! Każdemu wolno! Więc kocham! Kocham i moja miłość czysta i piękna, patrzcie, więc mam prawo nie wstydzić się jej — i nie wstydzę się! Na uboczu, nie uczestnicząc w zabawie, piastowała to swoje uczucie, jak skarb, skupiona, cicha, z oczami zapatrzonymi w męża, lub wchłaniającymi przez okno piękno zielone łąk rosnących i jej biust od czasu do czasu wzdymał się westchnieniem prawie modlitewnym. I, ponieważ miała prawo, wymawiała po cichu coś jak „Tolek” ustami, będącymi jedynie jej narządem. Hihhi!

Lula, ojej, pękne! Leon z nogą indyczą na widelcu i z głową w binoklach krzyczał, że nie umyka od indyka, patataj, patataj, ksiądz siedział w kącie. Fuks szukał czegoś, Kulka wносиła wiśnie „proszę, proszę, coś owocowego do smaku”, ale hałas nie zagłuszał ciszy zupełnej, osobnej, odludnej, zapadłej. Piłem wino czerwone.

Tolo, rotmistrzuniu, też pił. Z podniesionym czołem. W ogóle wszystko robił z podniesionym czołem, dając do poznania, że nikt nie ma prawa poddawać w wątpliwość jego miłości, cóż u licha, jak gdyby on nie miał prawa się zakochać w tej akurat, nie w

innej, jak gdyby ta miłość nie była równie dobra, co każda inna!... i otaczał swoją Jadusię czułościami: zlotuś, jak tam, nie zmęczona?... i usiłował być na wysokości jej ekstazy odpowiadając miłością na miłość. Ale było w tym coś męczeńskiego i... „Lulo, trzymaj mnie, pęknię!” Lulusiowie z minami niewiniątek czyhali na każdą ich czułość, jak para tygrysów żądnych krwi, jeśli na furce księżyna dostarczył im niemałych rozkoszy, to cóż dopiero ta parka, młode małżeństwo, jak oni, niby specjalnie zamówione aby mieli na kim polulusiować do woli!

Kulka z torcikiem, proszę, proszę skosztować, wprost w ustach się rozplywa, proszę — ale kot, kot, och, och, kot pogrzebany pod drzewem, naprzód powieszony, ha, ha, to pod adresem kota, całe to przyjęcie, żeby kota zamazać, dlatego tacy towarzyscy, ona i Leon! Ale kot tkwił w tym. Zrozumiałem: pomysł tej jazdy był fatalny, nie mogli wymyślić nic gorszego, dystans nie tylko niczego nie zacierał, ale wręcz przeciwnie, zamrażał jakoś i utwierdzał, że aż, zdawałoby się, myśmy tam lata przeżyli z wróblem, z kotem, po latach tutaj przyjechali, och, och, jadłem torcik. Trzeba by na dobrą sprawę siadać na furkę i wracać, to jedynie było do zrobienia... 94 Jeśli bowiem pozostaniemy tutaj w odniesieniu do tamtego...

Jadłem torcik. Rozmawiałem z Ludwikiem i z Tolem. Byłem roztargniony, jakże męcząca ta obfitość, wciąż wywalająca nowe osoby, zdarzenia, rzeczy, żebyż raz przerwał się ten cały strumień, Lena za stołem, też chyba znużona z łagodnie śmiejącymi się ustami i oczami do Lulusi (obie świeżo poślubione), ta Lena tutaj będąca wiernym odbiciem tamtej Leny, Lena która „odnosiła się” do Leny (to „odnoszenie się” mi pęczniało, jak niegdyś, wtedy, walenie), Fuks który topił w alkoholu Drozdowskiego i był żółto-czerwony z wylupiałością nabrzmią, Ludwik przy Lenie towarzysko przyjemny, spokojny, ksiądz w rogu... Ręka Leny na stole, obok widelca, ta sama, co tam, wtedy, i mógłbym położyć na stole moją rękę... ale nie chciałem. Jednakże, mimo wszystko, zaczynały się formować nowe wątki, niezależnie od tamtego, narastała nowa dynamika, lokalna... tylko, że jakby chora, osłabiona... Funkcjonowanie trzech młodych małżeństw — świeżo poślubionych — przyczyniało wagi i znaczenia księdzu, a znów sutanna przyczyniała ślubnego charakteru parkom i to wytwarzało szczególnie silny nacisk małżeński, miało się wrażenie, że całe przyjęcie jest poślubnym przyjęciem, tak, ślub zapanował. I ksiądz. Ksiądz, co prawda, gmerający paluchami (trzymał ręce pod stołem, wyciągał je tylko do jedzenia) ale w każdym razie ksiądz, który jako ksiądz musiał stać się naturalną ostoją Tolów przeciw lulusiowatej fircykowatości; a trzeba też dodać, że sutanna podziała i na panią Kulkę, przejawiającą (po kocie) wybitną skłonność do przyzwoitości — Kulka rzucała na Lulusiów okiem coraz mniej życzliwym i wydobywała z siebie chrząknięcia, które stawały się coraz dosadniejsze w miarę, jak rosły śmiechy Leona, wsparte śmiechami podpitymi Fuksa (wskutek Drozdowskiego) i innymi wygłupianiami się naszymi w pustce, w próżni, na krańcach odległości, w ciszy śmiertelnej łona gór, gdzie coś jak gdyby znowu zaczynało się nawiązywać, łączyć, tworzyć, ale jeszcze nie wiadomo było, za co się chwytać — i chwytałem się tego, lub tamtego, szedłem po linii, która mi się nasuwała, pozostawiając na boku resztę olbrzymią, zachłanną — podczas gdy tam, w domu, istniało nieruchomo tamto.



I naraz wytworzyła się scena, która mnie z kotem związała... poprzez księdza...

I, jak pierwsza błyskawica chmur ciemnych po nocy, ukazała nas, już z całą wyrazistością, wobec tamtego. Powstanie tej sceny poprzedzone było kilkoma odezwaniem Kulki w rodzaju (do Tola, bardzo uprzejmie) „Panie Tolu, proszę Jadeczkę strzepnąć z bluzeczki tę troszkę cukru” (do Leona, żeby wszyscy słyszeli) „Widzisz, Leon, droga nie taka zła, można było śmiało samochodem jechać, a mówiłam żebyś poprosił Todka o samochód, na pewno by ci nie odmówił, przecież tyle razy proponował, że do naszej dyspozycji...” (do Lulusi, kwaskowato) „Oj, śmichy, chichy, ale torcika to Lulusia nie je”. Tymczasem Fuks sprzątał talerze — nie będąc pewny, czy nam nie działa na nerwy (jak Drozdowskiemu), starał się przynajmniej wkupić w nasze łaski sprząnięciem talerzy — ale w pewnej chwili wstał, wykrzywił swoją rybio podpitą twarz ziewnięciem, i powiedział:

— Wykąpałbym się.

A kąpiel, to był jeden z ulubionych tematów Lulusia, bardziej jeszcze Lulusi — prawie jak „mama” — i już na furce dowiedzieliśmy się, że „ja bez prysznic żyć bym nie mogła” i „nie wiem jak można wytrzymać w mieście nie kąpiąc się dwa razy na dzień” i „moja mama kąpała się w wodzie z sokiem cytrynowym” i „a moja mama co rok jeździła do Karlsbadu”. Gdy więc Fuks zatracił o kąpiel, że chętnie by się wykąpał, zaraz Lulusia zaczęła lulusiować, że ona i na Saharze wymyłaby się w ostatniej szklance wody „bo woda do mycia ważniejsza, niż woda do picia, a ty, Lulo, nie wymyłbyś się?” itd... ale w miarę szczebiotania zmiarkowała chyba, co i ja zmiarkowałem, że słowo „kąpiel” jakby zaczynało zerkać niemile w pewnym kierunku, w stronę Jadeczki, i nie, żeby ona była nieschludna, a tylko że miała tę specjalną właściwość jakiegoś cielesnego sobkostwa, która przypominała mi powiedzenie Fuksa przy innej okazji „swój do swego po swoje”. Odnosiła się do swego ciała tak jakoś, jakby ono było znośne tylko dla niej, właścicielki (jak niektóre zapachy) i wskutek tego robiła wrażenie osoby niezainteresowanej kąpielą. Lulusia, pociągnawszy noskiem i spostrzegłszy, że coś z tamtej strony zaleciało, dalejze swoje, a bo ja bez kąpeli czuję się chora itd. a Lulo też dołożył swoje, i Leon, i Fuks, Ludwik, Lena, jak to zwykle w takich razach, żeby uniknąć posądzenia o obojętność wobec wody. Natomiast Jadeczka i Tolek milczeli.

I pod wpływem mówienia jednych, milczenia drugich, powstało coś takiego, jak możliwość, że Jadeczka się nie kąpie... po co, swój do swego po swoje...

Zaleciało tedy silniej z tamtej strony — nie zapachem żadnym, ale czymś niesympatycznie osobistym, jak własny sos — i Lulusia, jak wyżeł na tropie, z najniewinniejszą minką cacy, cacy — i Lulus sekundował, gadu, gadu. Bogiem a prawdą, Jadeczka zachowywała się, jak zawsze, milcząc, nie biorąc udziału — tylko, że teraz to jej zamknięcie się w sobie nabierało cech wykąpania — ale gorszym od jej milczenia stało się milczenie Tola, albowiem Tolo był, to się widziało, z wodą za pan brat i na pewno pływak wyśmienity, więc dlaczego pary z ust nie puszczał? Czy żeby nie zostawić jej samej w milczeniu? — A bo to z tym...

Poruszył się, jakby mu było niewygodnie, wrócił do poprzedniego cichego siedzenia na krzeselku — ale to wystąpienie, którego nikt się nie spodziewał, miało efekt niebywały; przedarło się przez lulusiowanie Lulusiów, wszyscy na niego spojrzeli. I nie wiem, czy wszyscy odnieśli to samo wrażenie — że te tam paluchy, skóra na szyi czerwona od kołnierzyka, nieokrzesanie cielesne, te jego kłopoty, zadry, zajady, wszystko, wraz z krostą u nasady nosa, zespala go z Jadeczka. Jadeczka z księdzem. Czarność sutanny, gmeranie palcami, jej oczy zapatrzona, jej ufność, jej prawo do miłości, jego niezgrabność, jej udręka, jego udręczenie, jej prawo, jego rozpacz, wszystko, wszystko, zmieszało się we wspólnocie jasnej, a niejasnej, uchwytnej i nie, we wspólnym sosie własnym „swoją do swego po swoje”.

Jadłem torcik. Przestałem jeść, gardło mi się ścisnęło, z pełnymi ustami przyglądałem się... temu... temu... jak to nazwać? Zwrot do wewnątrz, okropność własna, własny brud, własne zbrodnie, zamknięcie w sobie, skazanie na siebie, och, wsobność! Swoje! I błyskawicznie: to musi doprowadzić do kota, kot tuż, tuż... i zaraz kot mi wylazł, doznałem kota. Doznałem kota pogrzebanego, kota zaduszonego — powieszzonego między wróblem i patykiem, które tam były nieruchome i narastały swoim bytem, natężyły się własnym bezruchem w miejscu pozostawionym, opuszczonym. Diabelska przekora! Im dalej, tym bliżej! Im bardziej błahe, nedorzeczne, tym natrętniejsze, potężniejsze! Cóż za pułapka, co za urządzenie piekielnie złośliwe! Co za potrzask!

Kot, kot uduszony — powieszony!

## VIII

Ludwik powiedział ospale do Leny, że trzeba by się trochę zdrzemnąć. Słusznie. Drzemka należała się nam po jeździe od świtu. Wstawano, rozglądano się za kocami.

— Ti, ri, ri!

Melodyjka Leona. Ale głośniejsza, niż zwykle i wyzywająca.

Kulka zapytała, zdziwiona.

— A tobie, Leon, co?

Siedział sam przy stole, zawalonym naczyniami i resztkami bankietu, łysina i binokle błyszcząły, na czole kropelki potu.

— Berg!

— Co?

— Berg!

— Jaki berg?

— Berg!

Ani śladu dobroduszości. Faun, Cezar, Bachus, Heliogabal, Atylla. Po czym Leon pocziwie uśmiechnął się zza binokli. — Niczewo, staruniu ty ma, to tak dwóch Żydasów rozmawia... taki szpas... Kiedy indziej opowiem...

Kończyło się, rozpadało... Stół opuszczony, chaotyczny, przenoszenie krzesel, koce, łóżka w pustych pokojach, ociężałość, wino, etc.

Okolo piątej, po drzemce, wyszedłem przed dom. Większość naszej kompanii jeszcze spała — nikogo. Łąka usiana świerkami, smrekami, głazami, słoneczna, gorąca, za mną dom nabrzmiały spaniem, muchami, przede mną ta łąka i dalej te góry, góry naokoło, tak górzyste i zarośnięte lasami, niemożliwie leśne w głuszy. Miejsce nie moje, po co mi ono, jeśli tu byłem, to mogłem być i gdzie indziej, wszystko jedno, wiedziałem, że za ścianą górską są inne, nieznane okolice, ale nie były mi bardziej obce, pomiędzy mną a krajobrazem ustalił się ten rodzaj obojętności, który może przetrwać się w surowość i nawet w coś gorszego. W co? W uśpieniu odrębnym tych łąk, lasów, wznoszących się w głębi, nieznanymi i niezaciekawiającymi, osobnymi, istniała możliwość nagłego . uchwytu, skręcenia, zaduszenia i, ha, ha, powieszenia — ale możliwość ta była „poza”, „poza tym”.

Stałem w cieniu, tuż przed domem, wśród drzew. Dłubałem w zębach korzonkiem trawy. Gorąco, ale powietrze rześwe.

Obejrzałem się. O pięć kroków ode mnie Lena. Stała. Gdy ją tak zniemacka zobaczyłem, wydała mi się przede wszystkim mała — dziecinną — i rzuciła mi się w oczy jej bluzka zielonkawa, bez rękawów. Ale to był moment. Odwróciłem głowę, spojrzałem w inną stronę. — Ładnie. Prawda?

Powiedziała, bo musiała coś powiedzieć będąc o pięć kroków. Ciągłe nie patrzyłem na nią, niepatrzenie mnie zabijało, czy przyszła do mnie — do mnie — czy ona chce zacząć ze mną — to mnie przerażało, nie patrzyłem i pojęcia nie miałem, co począć, nie było nic do zrobienia, stałem, nie patrzyłem.

— Co pan tak zaniemówił? Z zachwyty?

Och, tonik nieco lulusiowaty, od nich się nauczyła...

— Gdzie jest ta panorama pana Leona?

To ja powiedziałem żeby coś powiedzieć... Jej śmiech cichy, delikatny: — Skąd ja mogę wiedzieć! Znów milczenie, ale już niezbyt rażące, zważywszy, że wszystko działo się au ralenti, gorąco, wieczór nadchodzący, kamyk, żuczek, mucha, ziemia. Gdy już wyczerpywał mi się czas na odpowiedź, „niebawem się dowiemy” powiedziałem.

I ona odpowiedziała zaraz: — Tak, papa nas zaprowadzi po kolacji.

Znów nic nie mówiłem, patrzyłem na ziemię przede mną.

Ja i ziemia — a ona z boku. Było mi niewygodnie, byłem nawet znudzony, wolałbym żeby sobie poszła... Znów wypadało coś powiedzieć, ale zanim powiedziałem, zerknąłem ku niej ciut, ciut, i zobaczyłem w tym mignięciu ledwie, ledwie, że ona też na mnie nie patrzy, ze wzrokiem gdzie indziej, jak ja — i niepatrzenie wzajemne moje, i jej, zaleciało mi owym jakimś przykrym osłabieniem, wywodzącym się z oddalenia, nie byliśmy dość tutaj, ja i ona, ona i ja, byliśmy jak rzutowani skądś, stamtąd, chorzy, nie dość będący, jak we śnie owe zjawy niepatrzące, związane z czymś innym. Czy jednak jej usta wciąż były „względem” obrzydliwego umyku wargi, tam będącej, w kuchni, albo w pokoiku? Trzeba sprawdzić. Zerknąłem i nie dojrzałem dobrze ust, ale dojrzałem natychmiast, że tak, że w rzeczy samej, że usta są z tamtymi ustami, jak dwa miasta na mapie, dwie gwiazdy w konstelacji; i bardziej jeszcze teraz, na odległość.

— O której godzinie mamy wyruszyć?

— Chyba koło wpół do dwunastej. Nie wiem. Dlaczego ja jej to zrobiłem?

Tak skazać sobie... Po co mnie było wtedy, pierwszej nocy, na korytarzu... zaczynać... (Ba, postęпки nasze są z początku płocze i kapryśne, jak konik polny, dopiero powolutku,

w miarę powracania do nich, przybierają naturę konwulsyjną, chwytającą, jak kleszczami, nie popuszczającą — więc coś można wiedzieć? — tam, wtedy, w nocy, na korytarzu kiedy po raz pierwszy połączyły mi się jej usta z ustami Katasi, och, kaprys, fantazja, drobiazg, przelotne takie skojarzenie! Dziś? Co można zrobić teraz, Boże wielki, co robić? Teraz, kiedy ja ją już miałem sobie zepsuta i to tak dalece, że podejść, złapać, napluć w usta — dlaczego ja ją sobie tak zepsułem? Było to gorsze, niż zgwałcić małą dziewczynkę i był to gwałt mnie wyrządzony, ja ją zgwałciłem „sobie”, to słowo ukazało mi się na tle księdza, zaleciało grzechem, domyśliłem się, że jestem w stanie kościelnego grzechu śmiertelnego, to zaś nasunęło mi kota i kot się pojawił).

Ziemia... grudki... dwie grudki w odległości kilku centymetrów... ilu?... dwa, trzy... Trzeba się przejść trochę... Trzeba przyznać, że powietrze... Inna grudka... ile centymetrów?

— Zdrzemnęłam się po obiedzie.

Powiedziała ustami, o których wiedziałem (i już nie mogłem nie wiedzieć) że są zepsute tamtymi ustami, miała te usta...

— Ja też się zdrzemnąłem.

To nie była ona. Ona była tam, w domu, w ogrodzie z małymi drzewkami ubielonymi, przywiązany do palików. Mnie też tu nie było. Ale, wskutek tego właśnie, byliśmy tutaj stokroć donioślejsi. Jakbyśmy byli symbolami nas samych. Ziemia... grudki... trawa... wiedziałem, że, wskutek oddalenia, trzeba się przejść, co ja tu stoję, że wskutek oddalenia, waga dzisiejszego tutaj staje się olbrzymia. I decydująca. I ta olbrzymiość, ta jej potęga, och, dajmy temu spokój, chodźmy już! Olbrzymiość, co to za ptaszek, olbrzymiość, słońce już się zniża, spacerok... Jeśli kota zadusiłem — powiesiłem, to i ją trzeba będzie zadusić — powiesić... Sobie.

W krzakach przy drodze, on, wróbel, wisi, i wisi też patyk we wnęce muru, wiszą, ale nieruchomość w tej nieruchomości przekracza wszystkie granice nieruchomości, jedną granicę, drugą granicę, trzecią granicę, przekracza czwartą, piątą, szóstą kamyk, siódmy kamyk, trawki... już chłodniej... Obejrzałem się, jej już nie było, odeszła ze swoimi ustami rozpustnymi i gdzieś tam była z ustami. Odszedłem tj. odszedłem od miejsca, w którym byłem, i szedłem po łące, w słońcu, ale już mniej dokuczliwym — i w ciszy łona gór. Pochłonęły moją uwagę drobne przypadłości terenu, głównie kamyki w trawie, utrudniające chodzenie, jaka szkoda, że ona mi nie stawia oporu, ale, z drugiej strony, jak może stawiać opór ktoś komu mówienie służy tylko za pretekst dla głosu, ha, ha, ha, jak to ona „zeznawała” wtedy, po zabiciu kota, no, cóż, nie stawia oporu, nie będzie oporu. Jakie przykre było to spotkanie nasze, bokiem, bez patrzenia, jakby ślepe — coraz więcej kwiecica w trawie, niebieskiego i żółtego, kępy świerków, jodeł, grunt zniżał się i byłem dość daleko, niepojęta substancja inności i dalekości, w ciszy motyle fruujące, wietrzyk muskający, ziemia i trawa, lasy przemieniające się w szczyty, a pod drzewem łysina, binokle — Leon.

Siedział na pniu i palił papierosa.

— Co pan tu robi?

— Nic, nic, nic, nic, nic, nic — odparł i uśmiechnął się błogo.

— Co pana tak cieszy?

— Co? Nic! Właśnie to: nic! He, kalambur, proszę, hm... Cieszy mnie „nic”, uważa dobrodziejuchna, czcigodny kompan i birbant i dorożka, bo „nic” to jest właśnie to coś, co się robi przez całe życie. Człowiekuś stoi, siedzi, mówi, pisze... i nic.

Człowiekuś kupuje, sprzedaje, żeni się, nie żeni się — i nic.

Człek siedzi na pniusium — i nic. Woda sodowa.

Cedził z wolna, z nonszalancją, jak z łaski. Powiedziałem: — Mówi pan, jakby pan nigdy nie pracował. — Pracować? A juści! A jakże! A owszem! Bankuniuś! Banczek! Bankuchno głuche z firypały do brzucha! Wieloryb. Hm. Trzydzieści dwa lata! Ale co? Nic! Zastanowił się i dmuchnął na rękę.

— Przeciekło!

— Co panu przeciekło?

Odparł przez nos, monotonicznie: — Lata rozpadają się na miesiące, miesiące na dni, dni na godziny, minuty na sekundy, a sekundy przeciekają. Nie złapie pan. Przecieka. Ucieka. Czym jestem? Jestem pewną ilością sekund — które przeciekły.

Rezultat: nic. Nic.

Zaperzył się i wykrzyknął: — Złodziejstwo! Zdjął binokle i trząsał się, staruszkowaty, podobny do oburzonych starszych panów, co to protestują czasem na rogach — ulic, w tramwaju, przed kinem. Mówić do niego? Mówić? Ale co? Ja wciąż błąkałem się nie wiedząc, czy w prawo, czy w lewo, tyle, tyle wątków, powiązań, insynuacji, gdybym chciał wyliczać wszystkie od samego początku, korek, spodek, drzenie dłoni, komin, zgubiłbym się, tuman rzeczy i spraw niedorysowanych, nie dość trzymających się kupy, coraz ten i ów szczególnie wiązał się z drugim, zazębiał, ale inne zaraz narastały powiązania, inne kierunki — oto czym żyłem, jakbym nie żył, chaos, kupa śmieci, miazga — wsadzałem rękę w worek wypełniony śmieciem, wyciągałem co popadło, oglądałem czy mi się nadaje do budowy...

domku mojego... który, biedak, fantastyczne przybierał kształty... i tak bez końca... Ale ten Leon? Już od dawna mnie zastanawiało, że on jak gdyby krąży w moim pobliżu i nawet wtóruje, istniało jakieś podobieństwo, chociażby to, że on się gubił w sekundach, jak jaw drobiazgach, ba, ba, były i inne poszlaki, dające do myślenia, te gaiki z chleba

podczas kolacji i inne drobiazgi, to Ti-ri-ri, a ostatnio znowu, nie wiedziałem dlaczego, zamajaczyło mi, że owa wstrętawa „wsobność” („swój do swego po swoje”) podążająca do mnie od strony Tolów i księdza, także tak jakoś jakby coś ku niemu się miała. Co mi szkodziło zatracić teraz o wróbla i o wszystkie tamte dziwności w domu? Przyłożyć to do niego i zobaczyć, czy czego nie zobaczę, byłem przecie, jak wróżka, wpatrzona w szklaną kulę, w dym.

— Pan jest zdenerwowany, nic dziwnego... Po tych historiach z ostatnich dni. Z kotem i... Niby drobiazgi, ale łamigłówki, trudno się odczepić, jakby robactwo oblało...

— Kocium? Detal, kto by się przejmował kociotrupem kociokwika! Spójrz, brateńku, co za bąk i jak trąbi, szelma! Kociościerw jeszcze wczoraj łaskotał mnie system unerwienia drażącą łaskotką — ale dziś? Dziś w niebotycznym zapatrzeniu się moim na góry — córy, hej, hej, hej, jedyne?! Zgodzę się, mam w nerwach rodzaj napięcia, ale świętującego tumtupuli, narabuli, odświętnego, uroczu uroczystościowego, uroczyście uroczego, hejże ha, święto, święto! Święto! Czy panuś kochuś kochanieńki niczego nie zauważymuś?

— Czego?

Pokazał mi palcem kwiatek w butonierce. — I proszę skłonić ku mnie łaskawy noseć, pociągnąć.

Wąchać go? To mnie zaniepokoiło chyba bardziej, niż powinno... — Po co? — zapytałem.

— Jestem z lekka uperfumowany.

— Uperfumował się pan do gości?

Usiadłem na pniu, troszkę dalej. Łysina jego tworzyła z binoklami całość szklisto — kopulastą. Zapytałem, czy zna nazwy gór, nie, nie znał, zapytałem, jak się nazywa dolina, odburknął że wiedział, ale zapomniał.

— Co pan z górami? Z nazwami. Nie o nazwę chodzi.

Już miałem zapytać „a o co?”, ale się wstrzymałem. Lepiej niech sam powie. Tu, w tej odległości „za górami, za lasami, tańcowała Małgorzatka z góralami!” Ach, ach, a jakeśmy doszli z Fuksem wtedy do muru, gdzieśmy patyk odkryli, to też człowiek czuł się, jak na końcu świata — zapachy, szczyń chyba, gorąco, mur — a teraz, tutaj, po co pytać, lepiej niech samo się zacznie... gdyż, nie ulega kwestii, osacza mnie jakaś nowa kombinacja i coś tu zacznie wysnuwać się, wiązać... Ale lepiej cicho. Siedziałem, jakby mnie nie było.

— Ti, ri, ri.

Ja nic. Siedziałem.

— Ti, ri, ri.

Znów milczenie, łąka, lazur, słońce już niżej, ścielące się cienie.

— Ti, ri, ri!

Ale tym razem już na całego, dobitne jak sygnał ataku. I naraz padło:

— Berg!

Wyraziście, głośno... żebym nie mógł nie zapytać, co to znaczy.

— Co?

— Berg!

— Co, berg?

— Berg!

— A tak, pan mówił, że dwóch Żydów... Żydowski witz.

— Jaki tam witz! Berg! Bergowanie bergiem w berg — uważa pan — bembergowanie bembergkiem... Ti, ri, ri, — dodał chytrze.

Zatrzepotał rękami i nawet nogami — jakby zatańczył w sobie — triumfalnie. Machinalnie i głucho powtórzył gdzieś z ledwie dostrzegalnej głębi: berg... berg. Uciszył się. Czekał.

— No, dobrze. Przejdę się trochę...

— Siedź pan, co pan będziesz w słońcu spacerował. W cieniu przyjemniej. Przyjemnie. Takie małe przyjemności — najlepsze. Smaczne. Smakują.

— Zauważyłem, że pan lubi małe przyjemności.

— Jak? Co? Za przeproszeniem?

Zabulgotał rodzajem wewnętrznego śmiechu: — Słowo honoru, racja fizyka, pan myśli o tych tam zabawusium moim na obrusie, na oczach połowicy? Dyskretnie, jak przystało, żeby skandalów mnie nie robiono? Tylko, że ona nie wie...

— Co?

— Że to berg. Bergowanie moje bembergkiem moim z całą bembergowością bemberga mojego!

— No, dobrze... Niech pan wypoczywa, przejdę się...



— Dokąd panu tak się spieszy? Niech pan się wstrzyma chwiliusię małą, może powiem...

— Co?

— To, co pana interesuje. Czego pan ciekawy...

— Pan jest świnia. Brudas.

Cisza. Drzewa. Cień. Polanka. Cisza. Powiedziałem to ciszej — co mi groziło? W najgorszym wypadku obrazi się i wymówi mi dom. No, cóż, przerwie się, urwie, przeniosę się do innego pensjonatu, albo wrócę do Warszawy, żeby denerwować ojca i doprowadzić do rozpaczki matkę osobą moją nie do wytrzymania... Ba, nie obrazi się...

— Pan jest brudna świnia — dołożyłem. Polanka. Cisza. Mnie właściwie na jednym zależało: żeby mi nie zwariował. Gdyż zachodziła obawa, że to maniak, mente captus, a w takim razie straciłby po prostu znaczenie, on i wszystkie jego ewentualne czyny i wszystkie wyznania, a wtedy i moja historia mogła okazać się czymś ufundowanym na niewybrednych szaleństwach biednego idioty — błaża. Ale wtrącając go w świństwo... och, tam mogłem go użyć, tam on mógł mi się złączyć jakoś z Jadeczką, z księdzem, z kotem moim, z Kasią... tam mógł mi być pożyteczny, jako jedna więcej cegiełka domu mojego, na krańcach pracowicie budowanego.

— Co pan się rzuca? — zapytał marginesowo.

— Ja się nie rzucam. Spokój natury...

I zresztą, jeśli go obraziłem, była to obraza gdzieś, w oddaleniu... prawie przez teleskop.

— Mógłbym zapytać: jakim prawem?

— Pan jest lubieżnik.

— Dość! Dość! Za pozwoleniem, ależ upraszam, ależ proszę, ależ proszę wysokiego sądu, ja, Leon Wojtys przykładowy ojciec rodziny, sądownie nie karany, całe życie harujący, zarabiający, dzionek w dzionek z wyjątkiem niedziel, z domciu do banczku, z banczku do domciu, dziś emerytowany, ale niemniej przykładowy, szósta piętnaście wstaję, wpół do dwunastej zasypiam (chyba, że bridżyk za zezwoleniem połowicy), panie mój, ja połowicy mojej przez trzydzieści siedem lat małżeńskiego pożycia ani razu z żadną inną tego tam... hm, hm... Nie zdradziłem. Ani razu. Trzydzieści siedem. Ani razu! Proszę! Mąż jestem dobry, czuły, wyrozumiały, uprzejmy, pogodny, ojciec najlepszy, czule kochający, dla ludzi przyjemny, chętny, życzliwy, pomocny, proszę, niechże pan powie, co pana w życiu moim upoważnia do takich tam, że ja coś tam, na boczku, czy jak, psim swędem, zupełnie jakbym ja nielegalnie, pijaństwo, kabaret, orgia, rozpusta, łajdactwo i wszeteczeństwo z lafiryndami, może przy lampionach bachanalie z odaliska — mi, ale pan sam widzi, spokojnie sobie siedzę, gawędzę i, — krzyknął mi triumfalnie w samą twarz — jestem correct i tutti frutti!

Tutti frutti! A to drań!

— Pan jest onanista.

— Proszę? Przepraszam? Jak mam rozumieć?

— Swój do swego po swoje!

— Co znaczy?

Przysunąłem twarz do jego twarzy i powiedziałem:

— Berg!

Poskutkowało. Naprzód zachybotał zdziwiony, że to słowo z zewnątrz mu przychodzi. Zdziwił się, a nawet spojrzawszy na mnie z irytacją, odburknął:

— Co pan tam wie?

Ale zaraz zatrząśł się od śmiechu wewnętrznego, zdawało się, że spuchł od tego śmiechu: — Ha, ha, ha, owszem racja, bergowanie bergiem podwójne i potrójne, specyfikalnym systemem pocichumberg i dyskretumberg o każdej porze dnia i nocy, a najchętniej przy stole jadalno — familijnym, podbembergowywanie sobie pod okiem żonusium i córkusium! Berg! Berg!

Pan dobrodziej ma oko! Jednakowoż, proszę ja pana szanownego...

Spowaźniał, zamyślił się, wtem jakby sobie coś przypomniał, sięgnął do kieszeni i pokazał mi na dłoni: cukier w papierku — dwa czy trzy landrynki — kolec ułamany od widelca — dwie nieprzyzwoite fotki — zapalniczkę.

Drobiazgi!... Drobiazgi, jak tamte grudki, strzałki, patyki, wróble! W jednej chwili nabrałem pewności, że to on!

— Co to?

— To? Łakociumbergi i karalumbergi w instancji Trybunału Najwyższego. Karalumbergi Wydziału Karnego Okręgowego i łakociumbergi Wydziału Delikatesów — Karesów. Kara i nagroda.

— Kogo pan tak karze i nagradza?

— Kogo?

Siedział sztywno z ręką wyciągniętą i patrzył „sobie” na rękę — jak ksiądz, który „sobie” gmerał palcami, jak Jadeczka, która „sobie” kochała... i... i... i jak ja, który „sobie”

skaziłem... Obawa, że się okaże wariatem, znikła, mnie raczej zdawało się teraz, że obaj nad czymś pracujemy — i ciężko. Tak, ciężka praca, praca na dystans, otarłem „sobie” suche zresztą czoło.

Gorąco, ale nie takie znów dotkliwie...

Poślinił palec i mazał nim pracowicie po ręce, a potem z namysłem przyjrzał się paznokciowi.

— Pan sobie rzepkę skrobie — zauważyłem.

Ucieszył się rozgłośnie i jakby na wszystkie strony, i prawie zatańczył siedząc: — Aj, tak, aj tak, słowo honoru, ja sobie rzepkę skrobię!

— To pan tego wróbla powiesił?

— Co? Kogo? Wróbla? Nie. Gdzie tam!

— To kto?

— A skąd ja mogę wiedzieć?

Rozmowa urwała się, nie wiedziałem, czy ją podsycić, tu, w krajobrazie zastygłym. Zacząłem zdrapywać ze spodni przyschniętą ziemię. Siedzieliśmy na tym pniu jak dwóch rajców, tylko że nie wiadomo było co mamy do rajcowania.

Znów powiedziałem mu: — Berg..., ale ciszej, ale spokojniej, i nie omyliły mnie przeczucia, spojrział na mnie z uznaniem, strzepnął, mruknął:

— Bergum, bergum, z pana, widzę, bembergowiec! Zapytał rzeczowo:

— Pan bemberguje?

I roześmiał się: — Panuś kochanieńki mój! Azali kochaś mój wie, dlaczego ja jego do bemberga przypuściłem? Pan kochanieńki co sobie дума łebkiem swoim? Że Leoś Wojtysowy taki znów głuptas, żeby ot tak byle kogo do bergum–berg–bergum dopuszczać? Wolne żarty! Pana przypuściłem, bo...

— Bo co?

— Jaki pan ciekawski! Ale, owszem, powiem.

Złapał mnie z lekka za ucho — i dmuchnął mi w ucho. — A powiem! Dlaczego bym nie miał powiedzieć? Bo pan sobie córę moją, Wojtysównę z Wojtysa zrodzoną Helenę — Lenę berg berg bemberguje sobie w berg! Bergiem. Po cichu. Myśli pan, że oczu nie mam? Wisus!

— Co?

— Łobuz!

— Co pan chce?

— Ścichapęk! Panoczek sobie córę moją berg! Tajnusiumbergiem, lubusiumbergiem i chciałoby się panu kochasiowi wbembergować się jej pod spódniczkę w sam mariaż jako kachasiumberg numer jeden! Ti-ri-ri! Ti-ri-ri!

Kora na drzewie, sęki, żyłki, a wiec wiedział, domyślał się w każdym razie... już więc ten sekret mój nie był sekretem... ale co wiedział? Jak z nim mówić? Normalnie, czy też... prywatnie?

— Berg — powiedziałem.

Spojrzał na mnie z uznaniem. Chmara białych motylków, rodzaj kłębiącej się kuli, przeleciała nad łąką, zniknęła za modrzewiami strumienia (tam był strumień).

— Pan zabergował? Ha, pan nie w ciemię bity! Ja też berguję. Razem będziemy sobie bembergować! Z gwarancją, ha, że obywatel buzię na kłódkę, nikomu ani mrumru, bo jakby panoczek mrumrumnął na ten przykład żonasowi memu ukochanemu, kultymflorze mojej, to won, won z domu, na zbity łeb, za zakusy na łożę małżeńskie ukochanej córki mojej! Zrozumiano. Dlatego to, uznając że z pana człowiek godny zaufania, postanawia się Dekretem b... b... numer 12. 137 przypuszczenie do bergbembergowego dzisiejszego świętowania mego najściślej tajnego, do berguroczystości mojej z kwiatem i z perfumą. Innymi słowy: pan dobrodziejaszek myśli, że ja was tu dla podziwiania widoków staszczyłem?

— A dlaczego?

— Dla świętowania.

— Czego?

— Rocznicę.

— Czego?

Spojrzał na mnie i rzekł pobożnie, z dziwną jakąś troskliwością: — Czego? Największej frajdy życia mego. Lat temu dwadzieścia siedem.

Znów spojrzał na mnie i był to wzrok mistyczny świętego, czy nawet męczennika. Dodał.

— Z kuchtą.

— Z jaką kuchtą.

— Z tą co tu wtedy była. Panie! Raz w życiu mi się udało, ale dobrze! Ja tę frajdę moją jak przenajświętszy sakrament w sobie noszę. Raz w życiu!

Ucichł, podczas gdy ja rozpatrywałem góry okrążające, góry i góry, skały i skały, las i las, drzewa i drzewa. Poślinił sobie palec, pomazał nim rękę, przyjrzał się. Zaczął z wolna, zwyczajnie, pracowicie: — Bo to, trzeba panu wiedzieć, ja młodość taką sobie miałem. Myśmy w małym miasteczku, w Sokołowie mieszkali, mój ojciec był kierownikiem spółdzielni, pan wie, trzeba ostrożnie, ludzie zaraz o wszystkich wiedzą, pan wie, w małym miasteczku żyje się, jak za szybą szklaną, każdy krok, ruch, każde spojrzenie, wszystko jak na tapecie, Boże święty, i ja się tak na widoku uchowałem, a do tego, przyznam, nigdy zbyt wielką śmiałością się nie odznaczałem, ha, cóż, nieśmiały, cichy... bo ja wiem... coś tam naturalnie sobie uszczknałem, jak się okazja nadarzyła, człowiek sobie radził, jak mógł, ale nie powiem. Mało co. Wciąż na widoku. A potem, wie pan, cóż, jak tylko do banku wstąpiłem, ożeniłem się i, bo ja wiem, trochę tam, owszem, ale znów nie za bardzo, tak sobie, myśmy też przeważnie w miasteczkach mieszkali, jak za szybą szklaną, wszystko widać, a nawet, powiem, więcej jeszcze było przyglądania, bo w małżeństwie, wie pan, jedno drugiemu się przygląda od rana do wieczora, od wieczora do rana, i pan może sobie wyobrazić jak to mi było pod okiem przenikliwym żony mojej i potem dziecka mojego, ha, cóż, w banku też się przyglądają, ja taką przyjemność w czasie urzędowania sobie wymyśliłem, że paznokciem jedną rysę na biurku pogłębiałem, no cóż, przychodzi szef sekcji, co pan paznokciem wyrabia, ano, trudno, ale w każdym razie i w konsekwencji ja, pan rozumie, musiałem coraz bardziej do drobnych przyjemności się uciekać, takich na boczku, prawie niewidocznych, kiedyś, panie, myśmy w Drohobyczu mieszkali, przyjechała jedna aktorka na gościnne występy, nadzwyczaj luksusowa, wprost lwica, i ja przypadkowo jej rączki dotknąłem w omnibusie, to, panie, szal, obłęd, ekscytacja dzika, żeby jeszcze raz, ale cóż mowy nie ma, nie da się, aż w końcu, w tej goryczy mojej, ja po rozum do głowy, myślę sobie, co ty będziesz cudzej ręki szukał, przecie sam masz dwie i, czy pan uwierzy, przy pewnym treningu można tak się wyspecjalizować, że jedna ręka drugą rękę maca, pod stołem, na przykład, nikt nie widzi, a choćby i zobaczył, to co, można się dotykać i nie tylko rękami, także udami na przykład, albo palcem ucha, bo, jak się okazuje, wie pan, rozkosz to kwestia intencji, jak pan się uprze to i na własnym ciele może pan używać, nie powiem dużo, ale zawsze lepszy rydz, niż nic, naturalnie chętniej bym odaliskę — huryskę jaką... ale jak nie ma...

Wstał, uklonił się i zaśpiewał:

Gdy się nie ma, co się lubi

To się lubi, co się ma.

Uklonił się i usiadł. — Nie mogę więc się skarżyć, jednak coś z życia wyciągnąłem, a że inni więcej, no cóż, zresztą kto ich wie, każdy tylko trajluje, przechwala się, że z tą, że z tamtą, a naprawdę bida z nędzą, wraca do domu, siada, buty zdejmuje, do łóżka się kładzie sam z sobą, więc po co tyle gadania, ja przynajmniej, wie pan, jak człowiek tak na sobie się skupi i zacznie sobie małe, nieznaczące przyjemności świadczyć, nie tylko zresztą erotyczne, bo na przykład, może się pan jak basza zabawić kuleczkami z chleba, przecieraniem binokli, że dwa lata to uprawiałem, tu mnie głowę suszą sprawami rodzinnymi, biurowymi, polityką, a ja sobie binokle... otóż, mówię, co to ja chciałem, ach, pan nie ma pojęcia jak się od takich drobnostek ogromnieje, wprost nie do wiary, człowiek się rozrasta, swędzi pana pięta to jakby gdzieś daleko na Wołyniu, na kresach, zresztą ze swędzenia pięty też można mieć trochę satysfakcji, wszystko zależy od podejścia, ujęcia intencji, panie, jeśli odcisk może boleć, to dlaczegożby nie miał i rozkoszy przysporzyć? A wsadzenie języka w zakamarki zębów? Co chciałem powiedzieć? Epikureizm, czyli rozkosznisium, może być dwojakie, bo primum dzik, bawół, lew, secundum pchełka, muszka, ergo w skali wielkiej i w skali małej, ale, jeśli w małej, to potrzebna jest zdolność mikroskopowania, dozyfikowania i właściwego podzielenia, lub rozczłonkowania, bo jedzenie karmelka możesz pan rozłożyć na etapy primum wacanie secundum lizanie, tertium wsadzanie, quartum zabawki z językiem, ze ślinką, quintum wyplucie na rękę, przypatrzenie się, sextum rozpęknięcie za pomocą zęba, że poprzestanę na tych kilku etapach, ale, jak pan widzi, można już sobie jako tako poradzić i bez dancingów, szampana, kolacyjek, kawioru, dekolców, frufu, pończoszek, majteczek, biustów, wyprężeń, skotek hi, hi, hi, ojej, co pan, jak pan śmie, hihhi, hahaha, ;hochoch, yych, yych, z karczkiem. Ja przy kolacji sobie siedzę, z rodziną gawędzę, z lokatorami, a przecie i tak trochę paryskiego szantanu sobie po cichu wyskrobię. I niech mnie przyłapią! Tle, he, he, nie przyłapią! Cała rzecz polega na pewnego rodzaju wewnętrznym wymoszczeniu się rozkosznisiowym i przyjemnościowym z wachlarzami, z pióropuszcami, w rodzaju Sułtana Selima Wspaniałego. Ważne są wystrzały artylerii. Oraz bicie w dzwony.

Wstał, uklonił się, zaśpiewał:

Gdy się nie ma, co się lubi

To się lubi, co się ma!

Uklonił się. Usiadł.

— Pan na pewno mnie o wariantunium myślowo pomawia?

— Cokolwiek.

— Owszem, niech pan pomawia, to ułatwia. Ja sam trochę wariata stroję, żeby ułatwić. Bo, jakbym nie ułatwił, to by to stało się za trudne. Pan lubi przyjemności?

— Lubię.

— No widzi panoczek, jakoś się dogadaliśmy. Prosta rzecz. Człowiek... lubi... co? Lubi. Lubcium. Lubusiumberg.

— Berg.

— Co?

— Berg!

— Jaktó?

— Berg.

— Dość! Dość! Nie...

— Berg!

— Ha, ha, ha, ha, to mnie pan wybembergował; z pana sęk ścichapęk! Kto by pomyślał! Z pana berg–bergowiec. Bergumberg! Jazda! Na całego! Hajda! Hajdasiumberg!

Wpatrywałem się w ziemię — znowu wpatrywanie się w ziemię, z trawkami... z grudkami... Ileż miliardów!

— Polizać!

— Co?

— Polizać, mówię, polizusiumberg... albo wpluć się!

— Co pan?! Co pan?! — krzyknąłem.

— Wpluć się bembergiem w bergum!

Łąka. Drzewa. Pień. Zbieg okoliczności. Przypadek. Nie alarmować się! Przypadek, że on o tym „wpluciu się”... ale przecież nie w usta... Spokój! Nie o mnie mowa!

— Dziś w nocy święto.

— Jakie?

— Dziś w nocy pielgrzymka.

— Pan jest pobożny — zauważyłem, a on spojrzał na mnie z tą samą dziwną troskliwością, co poprzednio, i rzekł żarliwie a skromnie: — Jakżebym ja nie był pobożny, przecież pobożność jest ab–so–lut–nie i nie–u–bła–ga–nie wymagana, przecie nawet najmniejsza przyjemnostka nie może obejść się bez pobożności, oj, co to ja, sam nie wiem, nieraz się gubię jak w wielkim klasztorze, ale przecie niech pan zrozumie, że to zakon i msza św. rozkoszy mojej, amen, amen, amen. Wstał. Ukłonił się. Zaintonował.

Ite missa est!

Ukłonił się. Usiadł. — Cały cymes w tym — wyjaśnił rzeczowo — że Leoś Wojtysowiec w szarym życiu tylko jednej zaznał frajdy, rzekłbym, absolutnej... i to było dwadzieścia siedem lat temu z tą kuchtą, z tego schroniska. Dwadzieścia siedem lat temu. Rocznicą. No, rocznica niezupełnie, brakuje miesiąca i trzech dni. Otóż — nachylił się ku mnie — oni myślą, że ja ich tu dla podziwiania widoków staszczyłem. A ja ich tu z pielgrzymką do miejsca gdzie ja tę kuchtę... dwadzieścia siedem lat temu, bez jednego miesiąca i trzech dni... Z pielgrzymką. Żona, dziecko, zięć, ksiądz, Lolusie, Tolusie, wszystko z pielgrzymką do rozkoszy mojej, do berg bergum frajdusiumberg i ja o północy wbemberguję ich aż pod ten kamień, gdzie ja wtedy z nią berg berg bergum berg i w berg! Niech uczestniczą! Pielgrzymkumberg rozkoszumberg, ha, ha, oni nie wiedzą! Pan wie.

Uśmiechnął się.

— Ale pan nie powie! Uśmiechnął się.

— Pan bemberguje? Ja też bemberguję. Razem będziemy sobie bembergować!

Uśmiechnął się.

— Idź pan, idź pan, sam chcę być, żeby się do mszy mojej przysposobić w skupieniu nabożnym, w uroczystym rozpamiętywaniu i odtwarzaniu, święto, święto, hej, święto najwyższe, zostaw mnie pan żebym w poście, modlitwie oczyścił się i przysposobił do nabożeństwa rozkoszy mojej, do świętej frajdy życia mojego w owym dniu pamiętnym... idź pan! A rivederci!

Łąka, drzewa, góry, niebo ze słońcem zapadającym.

— I nie myśl pan, że ja kuku na muniu... Ja wariata stroję tylko dla ułatwienia... A naprawdę jestem mnich i biskup. Która godzina?

— Po szóstej.



Oczywiście to z tym „wpluciem się” to był zbieg okoliczności, o ustach Leny we mnie nie mógł wiedzieć, nie wiedział, ciekawe jednak, że zbiegi okoliczności zdarzają się częściej, niżby można było przypuszczać, lepkość, jak jedno z drugim się zlepia, zdarzenia, zjawiska, są jak te kulki namagnetyzowane, szukają siebie, gdy znajdują się blisko, paf... łączą się... byle jak, najczęściej... ale że wykrył moje zapęły do Leny, no, nic dziwnego, musi być spec niełada, czy więc on powiesił wróbla, jego ta sprawka ze strzałką, z patykiem, może z dyszlem?... chyba jego... tak, to on... ale ciekawe, niezwykle ciekawe to, że on, czy nie on, to już wszystko jedno, to już niczego nie zmienia, tak czy owak wróbel, patyk są tam... są z równą siłą, ani trochę nie osłabione, Boże, czyżby więc już nie było ratunku? Ciekawe jednak, niezwykle ciekawe, ta jakaś zbieżność między nami, to dziwne ząbienie się, czasem prawie wyraźne, jak na przykład że i on... hołduje drobiazgom, jego sprawki jak gdyby zahaczały o moje, czyżby więc było między nami coś wspólnego — ale co? — czy on jakoś mi towarzyszy, pcha mnie, nawet uprowadza... Chwilami rzeczywiście miałem wrażenie, że z nim współpracuję, jak w ciężkim porodzie — jakbyśmy obaj mieli coś urodzić — zaraz, zaraz, ale, z drugiej strony, (z trzeciej strony? ile tych stron?) nie zapominajmy o tej „wsobności”, czyli „swój do swego po swoje”, czyżby w tym zawierał się klucz zagadki, klucz do tego, co tutaj się miesi, pietrasi, och, to „swój do swego” to jak fala narastająca od jego strony i księdza i Tolów — i coś w tym okropnie męczącego — i to coś zbliża się ku mnie jak las, och, las, mówimy „las”, ale cóż to znaczy, z iluż szczegółików, drobiazgów, drobin, składa się jeden listek jednego drzewa, mówimy „las” ale to słowo zrobione jest z niewiadomego, nieznanego, nieobjętego. Ziemia. Grudki. Kamyczki. Wypoczywasz w jasnym dniu, pośród rzeczy zwykłych, codziennych, z którymi się znasz od dzieciństwa, trawa, krzaki, pies (albo kot), krzesło, ale tylko póki nie pojmiesz, że każdy przedmiot jest armią olbrzymią, chmurą niewyczerpaną. Siedziałem na tym pniju jak na walizce, czekałem na pociąg.

— Dziś w nocy pielgrzymka do miejsca najwyższej i jedynej rozkoszy mojej, sprzed dwudziestu siedmiu laty, bez jednego miesiąca i czterech dni. — Wstałem. Ale widać nie chciał mnie puścić bez dokładnej informacji, spieszył się. — Dziś w nocy bembergum tajnie świętujące! Widoki! Jakie tam widoki! Wszyscyście tu po to, żeby świętować świętowanie Wielkiej Frajdy mojej z tą kuchcią, co to mówiłem, z kuchcią, ze schroniska... krzyczał, ja się oddalałem, łąka, drzewa, góry, cienie jak sępy... Szedłem, trawa wonna, rozżółcona, rozczzerwieniona kwiatuškami, zapach, zapach, który był i nie był jak ten zapach tam wtedy ogródek mur my dochodzimy z Fuksem po linii, po linii owej z drażka szczotki, dochodzimy, kres oddalenia po przebyciu krainy drzewek białych z palikami i krainy odlóg ugór z chwastami i gruzem... i zapach szczyn, czy czego, w gorącu szczyny i patyk który już czekał na nas w tym mdlącym i rozprężającym zapachu by skombinować się potem, nie zaraz, potem, z dyszlem, z dyszlem, pośród rupieci w tej budzie nagrzaney rzemieniami, ze śmieciami, drzwiczki uchylone, i ten dyszel który nas pchnął na pokoił Katasi, kuchnia, klucz, okno, bluszcz gdzie wbicia te różnorodne doprowadziły do bicia w pień Kulki bicia w stół Leny i to mnie pchnęło na cho — jara, gałęzie, klucie, konary, ja wyłażę, a tam czajnik, czajnik, czajnik i ten czajnik rzucił mnie na kota... kot, kot! Ja kota, ja z kotem, wtedy, tam brrr, świństwo, zrzucę... myślałem o tym łagodnie i sennie, łąka usypiała, szedłem wolno, patrzyłem pod nogi, widziałem te kwiatki, aż tu dostałem się w potrzask na równej drodze.

Był to potrzask z niczego, głupi... Przynajmniej przed mną ukazały się dwa nieduże kamienie, jeden na prawo, drugi na lewo, a troszkę dalej na lewo przebijała kawowa plama ziemi spulchnionej przez mrówki, dalej jeszcze na lewo był spory korzeń, czarny, zgniły — wszystko w jednej linii, utajone w słońcu, zaszyte w blasku, ukryte w świetle — ja już miałem przejść między kamieniami, ale w ostatniej chwili zboczyłem troszeczkę żeby przejść między kamieniem a ziemią spulchnioną, było to odchylenie minimalne, ciut, ciut, można było i tak i tak... a jednak to odchylenie maleńkie było nieuzasadnione i to, zdaje się, mnie stropiło... więc machinalnie znów zbaczam troszeczkę żeby przejść, jak na początku chciałem, między kamieniami, ale wtedy doznałem pewnego utrudnienia, och, minimalnego, które stąd się wzięło, że po tym dwukrotnym zboczeniu zamiar mój żeby przejść między kamieniami przybrał już charakter decyzji, drobnej naturalnie, ale w każdym razie decyzji. Co nie było uzasadnione, albowiem doskonała obojętność tych rzeczy w trawie nie uprawniała do decydowania, cóż za różnica przejść tędy czy tamtędy, zresztą dolina, uśpiona lasami, drętwa, była jak śnięta ryba lub brzęczenie muchy, odurzona, zabalsamowana. Spokój. Zatopienie, zapatrzenie, zasluchanie. Wobec tego postanawiam przejść między kamieniami... ale decyzja od tych paru sekund, które upłynęły, stała się bardziej decyzją, a jakże decydować, przecie wszystko jedno... więc znów wstrzymałem się. I, rozszluszczony, znów wysuwam nogę żeby przejść, jak już chciałem, między kamieniem a ziemią, ale widzę, że jeśli przejdę między kamieniem a ziemią po trzykrotnym starciu, to to już nie będzie zwykłe przejście, tylko coś poważniejszego... więc wybieram drogę między korzeniem a ziemią... ale spostrzegam że to byłoby, jakbym się zląkł, więc znów chcę przejść między kamieniem a ziemią, ale, do licha, co się dzieje, co to jest, przecie nie będę tu stał na równej drodze, cóż to, czy ja z widmami walczę, na Boga żywego!... Co to jest? Co to jest? Słodki sen słonecznie — gorący spowijał zioła, kwiaty, góry, żadne źdźbło nie drgnęło. Ja się nie ruszałem. Stałem. Ale stanie moje robiło się coraz bardziej niepoczytalne i nawet szalone, nie miałem prawa stać, to NIEMOŻLIWE, MUSZĘ IŚĆ... ale stałem. I wtedy, w tej nieruchomości, moja nieruchomość utożsamiała się z nieruchomością tam wróbla w krzakach, z nieruchomością układu, który tam nieruchomo nieruchomiał wróbel — patyk — kot, z owym martwym nieustającym układem, gdzie nieruchomość piętrzyła się, jak ja się piętrzyłem tutaj, na łące, w mojej nieruchomości rosnącej, nie mogąc się ruszyć... Wtedy ruszyłem. Naraz utraciłem w sobie wszystko, całą niemożliwość, i przeszedłem gładziutko nie wiedząc nawet którędy, bo to nie miało znaczenia, i myśląc o czymś innym, że tu wcześniej słońce zachodzi, bo góry. Jakoż słońce było już nisko. Szedłem po łące ku domowi, pogwizdywałem, zapaliłem papierosa i tylko pozostało, jak osad czegoś niezalatwionego, blade wspomnienie tej hecy. Już dom. Nikogo. Okna, drzwi, otwarte na przestrzał, pusto, położyłem się, wypoczywałem, kiedy znów zeszedłem na dół Kulka kręciła się po sieni.

— Gdzie są wszyscy?

— Na spacerze. Chce pan kruszonu?

Nalała mi i wywiązało się milczenie — smutne, czy zmęczone, czy zrezygnowane — oboje nie ukrywaliśmy, że nie chce nam się, czy też nie możemy, mówić. Piłem kruszon wolnymi łykami, ona oparła się o framugę, patrzyła przez okno, wyglądała, jak ktoś kto

ustał po długim marszu. — Panie Witol — rzekła nie wymawiając końcowego „d”, co jej się zdarzało w momentach zdenerwowania — pan widział kiedy takie coś z tą lafiryndą? Żebyż ta zdzira nawet osobie duchownej spokoju nie dawała! Co oni myślą, że ja burdel — mama?! — krzyknęła rozczapierzona. — Ja sobie wypraszam! Ja ich nauczę zachowania na wizycie! A ten fircyk w pumpach jeszcze gorszy, zgroza świata, panie Witol, przecie żeby to ona sama kokietowała, ale to on z nią razem kokietuje, czy kto kiedy widział żeby mąż z żoną kokietował innego mężczyznę, wprost nie do wiary, przecie on ją na kolana jemu wpycha, skandal, żeby mąż własną żonę komu wpychał i jeszcze w miodowym miesiącu, ani mnie w głowie powstało, że moja córka takie ma koleżanki bez morale i edukacji, wszystko na złość Jadeczce, uwzięli się żeby jej miesiąc miodowy zepsuć, panie Witol, dużo widziałam, takiego czegoś nie widziałam, ja kurwiszonerii nie będę tolerować.

Zapytała:

— Pan widział Leona?

— Tak spotkałem go niedawno, siedział na pniu... Dopijałem wolno kruszonu i chciałem jeszcze coś powiedzieć, ale nie chciało się i jej, i mnie, niemoc, po co mówić, było się przecież... za daleko... za górami, za lasami... byliśmy... byliśmy gdzie indziej...

Ale i to uczucie było dotknięte nieobecnością, jakby nie odczute... Odstawiłem szklanę, coś tam powiedziałem jeszcze, odszedłem.

Znowu posuwałem się po łące, ale tym razem w przeciwną stronę — szukałem ich. Z rękami w kieszeniach, z głową opuszczoną, rozmyślając najgłębiej, ale bez jednej myśli — jakby ktoś mi je zabrał. Dolina — kotlina z pióropuszcami drzew, z płaszczami lasów, z garbami gór, dosięgała mnie, ale z tyłu raczej, jak rumor, jak szum odległej kaskady, jak zdarzenie ze Starego Testamentu, lub światło gwiazdy. Przede mną niezliczona trawa. Podniosłem głowę — śmieszki lulusiowate obity się o moje uszy — towarzystwo wysypało się zza drzew, Lulo, sztama, Lula puść, bo kolnę, bluzki, szaliki, chusteczki, pumpy, szło to w nieładzie, a kiedy mnie zobaczyli, zaczęli wymachiwać, ja też wymachiwałem.

„Gdzie pan się podziewał? Gdzie się zawieruszyłeś? Myśmy doszli aż tam, do pagórka...” Przyłączyłem się i szedłem z nimi wprost na słońce, którego jednak już nie było — pozostawiło ono za sobą tylko wielkie słoneczne nic, rodzaj słonecznej próżni, zaznaczającej się natężeniem blasku bijącego zza góry, jak z ukrytego źródła — rozpalając niebo liliowe, wewnątrz promienne, już nie udzielające się ziemi. Rozejrzałem się, wszystko tu na dole uległo zmianie, choć jeszcze było jasno — ale pojawił się zaczątek zubożenia, zagęstnienia i opuszczenia, coś jak przekręcenie klucza w zamku, góry, pagórki, drzewa, kamienie, były sobie już tylko i pod znakiem końca. A wesołość naszej gromadki była kakofoniczna... dźwięk, jak z pękniętej szyby, nikt nie szedł z nikim, każdy osobno, Lulusiowie z boku, ona, pierwsza, on za nią, z minkami rozkosznymi, ale żądełko wyłaziło z minek... Centrum stanowiła Lena z

Ludwikiem i Fuksem, dalej nieco Tolo z Jadeczką, za nimi ksiądz — rozproszeni. Pomyślałem, że ich za dużo. Co począć, pomyślałem załęczony, z nimi wszystkimi?

...i dziwił mnie Fuks podskakujący, uradowany, krzyczący: —Pani Lenko, proszę mnie bronić! A Lulusia: — Lena, ty jemu nie pomagaj, on nie jest w miodowym miesiącu! A Fuks: — Ja zawsze jestem w miodowym miesiącu, dla mnie zawsze miodowy miesiąc! Luluś: — Co ten znów ze swoją miesiączką, uszy puchną!

Lena, śmiejąca się cokolwiek...

Och miód... miód lepki miodowego miesiąca trzech parok... przemieniający się po stronie Jadeczki w miód „swojski”, czy „swoisty”, jak niektóre zapachy, bo przecież ona „jak siebie wacha, to jej nie szkodzi” i w ogóle nie kapie się, po co, a jeśli by nawet się kapała, to tak na poważnie, dla siebie, dla higieny, nie dla kogoś. Lulusiowie atakowali Fuksa, ale oczywiście chodziło o Jadeczkę, on był tylko bilardową bandą... o czym wiedział, ale, zachwycony, że w końcu ktoś go bombarduje żarcikami, tańczył prawie w ryżej ekstazie, on, ofiara Drozdowskiego, mizdrzący się teraz w tej nędznej radości. Podczas gdy tańczył sobie na boku, od strony Tolów, miesiło się milczenie wsobne i wstrętne. U nóg moich trawa — i trawa — składająca się z łodyg, źdźbeł, których poszczególne sytuacje — skręcenia, pochylenia, załamania, osamotnienia, zgniecienia, zeschnięcia — majaczyły mi się migające, uciekające, pochłonięte całością trawy rozpościerającej się bez wytchnienia aż po góry, ale już na klucz zamkniętej, oswiatej, skazanej na siebie...

Szliśmy powoli. Śmiechy Fuksa były głupsze od lulusiowych chichów! Zastanawiało mnie jego kretynstwo, niespodziewane crescendo jego kretynstwa, ale bardziej jeszcze miód. Miód wzmagał się. To się zaczęło od „miodowego miesiąca”. Ale teraz „miód” (dzięki Jadeczce) stawał się coraz bardziej „wsobny”... coraz obrzydliwszy... Do czego i ksiądz się przyczyniał... swoim gmeraniem...

Ten miód miłosny, a wstrętne, to przecież i ze mną trochę się łączyło. Ba, połączenia. Przestać łączyć — kojarzyć —.

Kroki nasze, niespieszne i brodzące, doprowadziły nas do idyllicznego strumyczka. Fuks podbiegł, wypatrzył najdogodniejsze do przejścia miejsce i krzychał „tędy”. Brak światła wnikał coraz bardziej w światło, obramowane lasami na zboczach. Lulusia zawołała: — Lolek, zmiłuj się nad pantofelkami, weź mnie na plecy, przenieś! Ojej!

Luluś na to bezczelnie: — Panie Tolo, niech pan ją przeniesie!

Gdy Tolek odpowiedział kaszlnięciem, Luluś zakrył bioderkami i dołożył z najniewinniejszą powagą pensjonarki: — Słowo daję, niech pan mi zrobi tę grzeczność, z sił opadłem, jestem trup w koszu!

To się rozwijało jak następuje: Lulusia krzyknęła pod adresem Lulusia: „podły!” Podbiegła do Tola i zatańczyła prawie „panie Tolo, ja nieszczęśliwa, mąż mnie rzucił, niech pan się ulituje nad pantofelkami!” I wystawiała nóżkę. Lulo: — słowo daję, panie Tolo, raz, dwa,

trzy, było nie było! Lulusia: — raz, dwa, trzy! I prosiła mu się do ramion. Lulo: — jazda, było nie było. Raz, dwa, trzy!

Nie przyglądałem się zanadto, pochłonięty będąc raczej otoczeniem, tym, co otaczało i spowijało, naciskiem chociażby gór, które z daleka obejmowały i ujmowały z niejaką już skłonnością do surowości, poważniejąc lasami staniającymi się, zapadającymi (choć nad nami wysoko blask był — ale oderwany). Mimo to dobrze widziałem, że Lulusiowie tańczą wojenny taniec, rotmistrz nic, Fuks w siódmym niebie, Ludwik nic, ksiądz stoi, Lena... dlaczego ja ją sobie skaziłem, wtedy, pierwszej nocy, na korytarzu, wargą Katasi, i dlaczego, zamiast nazajutrz zapomnieć, powróciłem do tego, utrwaliłem to?... Jednego byłem ciekawy, jedno mnie interesowało, czy, mianowicie, to skojarzenie było kaprysem z mej strony, czy też istniał rzeczywiście jakiś związek pomiędzy jej ustami a tą wargą, który podświadomie wyczuwałem — ale jaki? Jaki?

Wielkopański kaprys? Akt rozkapryszonej dowolności? Nie. Nie poczuwałem się do winy. Mnie to się zdarzyło, ale to nie ja... Skądżeby, gdzieżbym ja ją sobie umyślnie uwstrętniał, przecież bez niej moje życie już nie mogło być dźwięczne, świeże, żywe, a tylko zdechłe, zgniłe, wynaturzone, zohydzone, bez niej, tu stojącej w ponętach, którym wołałem się nie przyglądać. Wołałem patrzeć w trawę, w głowie mieć dolinę. Nie, to nie to, że ja nie mogłem jej kochać wskutek tej świńskiej asocjacji z Kasią, nie w tym rzecz, gorzej, że ja nie chciałem jej kochać, nie miałem ochoty, a nie miałem ochoty dlatego, że gdybym miał wysypkę na ciele i gdybym z tą wysypką ujrzał najwspanialszą Wenus, też nie miałbym ochoty. I nie przyglądałbym się. Czułem się źle, więc nie chciało mi się... Zaraz... zaraz... czy więc to ja byłem wstrętny, nie ona? Więc jednak to ja byłem sprawcą wstrętu, moja wina. Nie dojdę. Nie domyśle... Zaraz, zaraz, „bierz pan”, łydy Lulusia w pończochach wzorzystych „bierz pan, panie Tolu, po koleżeńsku, pan też w miodowym miesiącu!”...

I głos Jadeczki, głęboki, z pełnej piersi, ufny, szlachetny!

— Tolu, proszę, przenieście panią!

Spojrzałem. Tolo już składał Lulusię na trawie po drugiej stronie strumyka, heca skończona, znów idziemy, idziemy powoli tą trawą, miód, dlaczego miód, miód z palcami księdza, szedłem jak w nocy przez las gdzie szelesty i cienie i kształty pierzchające, niedocieczone, a zlewające się męcząco, napierają okrążając na granicy samej skoku i napaści... a Leon, cóż Leon ze swoim bembergim w berg? Jak długo to będzie czaić się i okrążać? Skąd wyskoczy zwierz? Na łące, okrążonej górami wprowadzającymi się niemo w opuszczenie i pozostawienie, ładującymi wielkie złoża niewidzenia, gniazda niebytu, twierdze ślepoty i niemoty, na tej łące ukazał się zza drzew dom, który nie był domem i istniał o tyle tylko, że nie był... że nie był tamtym, tam, z zawartym w sobie układem — systematem wróbel powieszony — patyk wiszący — kot uduszony — powieszony — zagrzebany, wszystko pod nadzorem i pieczęcią ustek Katasi „zmanierowanych”, które przebywały może w kuchni, może w ogródku, może na ganku.

Przebijanie się tamtego domu poprzez ten dom było natrętne — ale było też chore, doszczętnie i okropnie chore — nie tylko jednak chore, ale i zaborcze — i zastanawiałem się, że nie ma co, trudno, ta konstelacja, ta figura, ten układ i system, są już nie do przełamania, ani nie można się oderwać, ani nie można się z tego wydobyć, to już zanadto jest. Jest. A ja tu szedłem sobie po łące i właśnie Ludwik mnie pytał, czybym nie pożyczył mu żyletki — ależ naturalnie, proszę bardzo! — i (myślałem) to jest nie do przewyciężenia ponieważ wszelka przed tym obrona, czy ucieczka, tym bardziej wikła, zupełnie jakby się wpadło w jedną z tych pułapek, gdzie ruch każdy bardziej jeszcze omotuje... i ba, kto wie, a nuż to mnie napadło tylko dlatego, że ja się broniłem, tak, kto wie, może ja zanadto się zląkłem, gdy po raz pierwszy Katasina wargą do Leny mi się przyplątała i to spowodowało skurcz, ten pierwszy skurcz przyłapujący, od którego wszystko się zaczęło... Czyżby obrona moja wyprzedziła atak?... ale nie byłem pewny... W każdym razie teraz już było za późno, polip uformował się gdzieś na pograniczu moim i wytworzyła się pomiędzy nami ta opaczność, że im bardziej go unicestwiałem, tym bardziej był.

Dom przed nami wydawał się już nieźle nadgryziony zmierzchem, w samej materii swojej, nadwątlonej... i kotlina była jak kielich fałszywy, bukiet trujący, wypełniona niemocą, niebo zanikało, zaciągały się i zasnuwały kotary, wzrastał opór, rzeczy nie chciały się udzielać, wlażyły do nory, zanik, rozpad, koniec — choć jeszcze było dość widno — ale dawało się we znaki zjadliwe rozprężenie samego widzenia. Uśmiechnąłem się, bo pomyślałem, że ciemność bywa dogodna, w niewidzeniu można zbliżyć się, podejść, dotknąć, ująć, objąć i kochać się do obłąkania, ale cóż, nie chciało mi się, nic mi się nie chciało, ja miałem egzemplarz, byłem chory, nic, nic, napluć tylko, napluć jej w usta i nic.

Mnie się nie chciało.

— Spójrz! — usłyszałem, że mówi ta świnia do swojego Ukochanego i Jedynego, cicho, ale żarliwie (i choć nie patrzyłem na nich, byłem pewny, że to się odnosi do liliowych barw na nieboskłonie) — Spójrz — powiedziała szczerze i podniośle, narządem swoim ustnym i zaraz usłyszałem „widzę” głęboko barytonowe, szczerze. Ale co ksiądz? Co ksiądz ten ze swoimi łapami?! Co się dzieje w tamtej stronie?

Przed samym domem Fuks z Lulusiem urządzili wyścig, kto pierwszy dopadnie drzwi.

Wchodziliśmy. Kulka była w kuchni. Leon wyskoczył z sąsiedniego pokoju, z ręcznikiem.

— Szykowusium do manżusium, pucem go do glansu terefere hej manżusium usium usium, nie siusium, ale do brzusium, hej, ha, hej bracia górale dajcie mi rogala, łyk, łyk, łyk, do środka i daj Bozia, pryk!

Ludwik jeszcze raz poprosił o żyletkę — a zaraz potem Leon mnie szturchnął, czybym mu zegarka nie pożyczył, bo swojego nie jest pewny. Dałem mu i zapytałem czy tak bardzo zależy mu na dokładności, odszepnął, że to musi być co do minuty! Ludwik wrócił po chwili, chciał jeszcze żeby mu trochę sznurka dał, ale nie miałem. Pomyślałem:

zegarek, żyłotka, sznurek, jeden prosi, drugi prosi, co to, czyżby coś zaczynało się od tej strony?... Ileż wątków mogło uformować się jednocześnie z moim, ile sensów dojrzewać niezależnie od mojego — ledwie wyłaniających się, larwalnych, albo zniekształconych, lub zamaskowanych? I co, na przykład, z tym księdzem?

Stół już był częściowo zastawiony, mrok z domu wyłaził o wiele gęstszy, na schodach była noc, ale w naszym pokoiku na górze, gdzie Fuks się cesał przed kieszonkowym lusterkiem opartym o framugę, pozostały jeszcze resztki światła — natomiast czerni lasów na zboczach, o jakieś dwa kilometry, włąziła przez okno, zbójcecka. A drzewa przy domu zaszeleściły, zerwał się wietrzyk — Heca, bracie! — Fuks tymczasem opowiadał. — Uwzięli się, nie ma co, sam widziałeś, ale nie masz pojęcia co się na spacerze działo, chryja, boki zrywać, już jak sobie kogo upatrzą, nie daj Boże, ale co prawda, trzeba przyznać, nie dziwię się... najgorzej, że ona taka... natchniona... bądź łaskaw potrzymać lusterko... zresztą nie dziwię się Lulusi, ostatecznie takiego chłopca sobie zafundować za ojcowskie pieniądze to poniekąd irytujące, ale żeby w dodatku do drugiego się dobierać... Dla Leny to trochę peszące, bądź co bądź jej goście, i jedna i druga przyjaciółki, w dodatku ona nie umie dać sobie z tym rady, za cichutka, a znów Ludwik zupełne zero, dziwny gość, typowy, powiedziałbym, do odrabiania roboty, funkcjonariusz porządnie ubrany, skąd jemu taka Lena, też dziwne, no ale ludzie dobierają się przypadkiem, a niech to diabli, trzy parki miodowe, daj spokój, trudno żeby zberezeństwa nie było, z drugiej strony jednak trzeba przyznać, że co za dużo, to niezdrowo, nie dziwię się Lulusi że jej się zemsty zachciało... Ona, wiesz, przyłapała ją z Lulusiem...

— Jak to, przyłapała?

— Widziałem na własne oczy. To było podczas śniadania. Schyliłem się, żeby zapalki podnieść i zobaczyłem. On miał rękę pod stołem na kolanie, a ręka Jadusi tuż obok, o centymetr, i w pozycji niezbyt naturalnej. Możesz sobie dopowiedzieć.

— Przywidziało ci się.

— Fakt! Ja mam nosa do takich rzeczy. A Lulusia też to musiała wymiarkować... zauważyłem po minie... Więc teraz i ona i Lulus wściekli na nią...

Nie chciało mi się spierać, doznałem nadmiaru, czy mogło to być, dlaczegożby nie, czy Jadeczka mogła być taka, dlaczegoż Jadeczka nie mogłaby być taka, och, na pewno w razie czego znalazłoby się tysiące przyczyn na uzasadnienie, że ona jest właśnie taka... ale dlaczego Fuks nie miałby się mylić, przywidziało mu się... a może zresztą zmyślał dla jakichś racji mnie nie znanych... byłem chory, byłem chory, byłem chory. I lęk, że ręce się odezwały i zaczynają napierać, lek który mnie skłonił do zaciśnięcia mojej ręki. Ile niebezpieczeństw! Tymczasem on gadał, zmieniał koszulę, wynurzał ryżą głowę, ryzo gadał, niebo wsiąkało w nic, z dołu Leon „żonusium papusium dla papum pum pum!” Zapytałem ostro.

— A Drozdowski? Zmarkotniał.

— Cholera! Przypominasz mi, draniu! Jak sobie uprzytomnię, że za kilka dni będę miał tego nieszczęsnego Drozda przed sobą, osiem godzin, osiem godzin z tą niedojdą, rzygać się chce od tego człowieka, nie rozumiem co za talent żeby mnie denerwować... żebyś ty widział jak on nogę wystawia... Rzygać! Ale co tam, carpe diem, hulajusium póki pstryk, jak mówi Leonusium, tyle mojego, co się ubawię, racja czy nie racja?

Z dołu głos Kulki „prosimy do stołu, coś do przekąszenia” — głos drewniany, a nawet kamienny. Ściana koło okna, którą miałem przed sobą, była jak wszystkie ściany urozmaicona... żyłki i okrągła kropka czerwona, dwa zadrapania, odprysk, niteczki ginące, było tego niewiele, ale jednak było, uzbierało się z poprzednich lat, i zagłębiając się w tę siatkę zapytałem o Kasię, ciekawym co tam Kasia i czy nic się nie wydarzyło nowego, jak myślisz? Wsłuchałem się przez moment w moje pytanie...

— Co by tam miało się wydarzyć! Chcesz wiedzieć? Moje zdanie, że gdybyśmy się tak nie zanudzali u państwa Wojtysów na wilegiaturze, toby w ogóle nic się nie wydarzyło. Nuda, bracie, ma jeszcze większe oczy niż strach! Jak się nudzisz, to Bóg wie co sobie wyobrażasz! Chodźmy!... Na dole było czarniawo, ale przede wszystkim ciasno, sionka była nieporęczna a w dodatku stół musiał stać „w samym kącie — ze względu na dwie ławki wpuszczone w ściany, gdzie już umieszczala się część towarzystwa — naturalnie ze śmieszkami, że „ciemno i ciasno, w sam raz dla miodowych parok”, wtem Kulka wniosła dwie latarnie naftowe, wytwarzające coś w rodzaju mętów świetlnych. Po chwili, gdy postawiono jedną na półce, drugą na szafie, rozpały się lepiej i wtedy blaski ukośne wywołały zognomnienie cielesności naszej wokół stołu, ufantastycznienie, obłoki drzące cieniów olbrzymich omiały ścianę, blask wydobywał ostro na wierzch wycinki twarzy i torsów, reszta była zatracona, tłok się wzmógł od tego i ciasnota, był to gąszcz, tak, gęsto i jeszcze gęściej, w rozprzestrzenieniu i spotężnieniu rąk, rękawów, szyj, sięgano po mięso, nalewano wódki i zarysowała się możliwość fantasmagorii z hipopotamami. Z mastodontami. Lamy wywołały też zagęszczenie ciemności na dworze i jej zdziczenie. Usiadłem obok Lulusi, Lena siedziała między Jaziulą i Fuksem, dość daleko, po drugiej stronie, w fantastyczności, łączyły się głowy, zlewały się rozgałęzienia ściennie wyciągniętych do półmiska rąk. Apetytu nie brakowało, nakładano porcje szynki, cielęcinki, rozbifu, musztarda krążyła. Ja byłem też przy apetycie, ale napłuć w usta, plucie wlażyło mi w jedzenie. I miód. Byłem zatruty wraz z apetytem moim. Jadeczka pozwalała ekstatycznie aby jej Toluś nakładał sałatki i ja głowę sobie łamałem, czy i jak możliwe żeby ona była nie tylko taka, jak ja myślałem, ale też taka, jak mówił Fuks, i wcale nie było to niemożliwe, i ona mogła być taka ze swoim narządem ustnym i ze swoją ekstazą, albowiem wszystko zawsze jest możliwe i w miliardach ewentualnych przyczyn zawsze znajdzie się uzasadnienie każdej kombinacji, ale ksiądz, cóż właściwie ten ksiądz nic nie mówiący, który jadł coś tam, zupełnie jakby kluski, albo kaszę, jadł niemrawo i to całe odżywianie się jego było chłopskie, chude i jakieś rozdeptane, jakby robak (ale nie wiedziałem, ja niczego dobrze nie wiedziałem, patrzyłem ja na sufit), cóż ten ksiądz, czy coś się formuje z tej strony? Jadło mi się nieźle, ale i wstrętnie, ale to ja byłem wstrętny, nie cielęcina, jaka szkoda, że zepsuciem zepsułem sobie, zepsułem sobie wszystko... ale zanedo mnie to nie niepokoiło, cóż ostatecznie mogło mnie niepokoić w oddaleniu? Leon też jadł w oddaleniu. Siedział w samym kącie, tam, gdzie zbiegały się ławki, binokle



uwypuklały się błyszcząco, jak krople, pod kopułą czaszki, oblicze zawieszono było nad talerzem, krajał chleb z szynką na maleńkie kawałeczki i rozpoczynała się procedura, wbijanie na widelec, podnoszenie do ust, wsuwanie, smakowanie, przeżuwanie, przetykanie, trwało długo zanim w ustach załatwił się z kąskiem. Rzecz niezwykła, milczał, i chyba dlatego mało kto się odzywał przy stole, zajadano. Jedząc zaspokajali się. Onanizował się jedząc, co było dosyć męczące, tym bardziej że nasycanie się Jadeczki obok rotmistrza choć niepodobne było podobne („swój do swego po swoje”), a za jej jedzeniem było jeszcze jedzenie księdza, chłopskie i przeżywające, czymś zapaskudzone. I „jedzenie” wiązało się z „ustami” i mimo wszystko „usta” zaczynały znówu, napluć w usta, napluć w usta... Jadłem, nawet nie bez apetytu, a ten apetyt był dość okropnym świadectwem, że zadomowiłem się w napluciu moim, ale przerażenie mnie nie przerażało, było oddalone... Jadłem cielęcinę na zimno i sałatkę. Wódka.

— Jedenastego.

— Jedenastego wypada we wtorek.

— ...pseudosrebrne okucia od dołu, można wytrzymać...

— ...do Czerwonego Krzyża, ale powiedzieli... Rozmówki. Słowa różnorodne, tu, tam „albo orzeszki, te takie słonawe”, „jeszcze by nie, weź pan i spokój”, „prawo, jedzie, nie ustępuje”, „czyj?”, „wczoraj wieczorem” ...narastał gąszcz i myślałem, że gąszcz toczy się nieprzerwanie, byłem w toczącej się chmarze, gdzie wciąż co innego na wierzchu, ktośby spamiętał, objął, tyle, tyle, od samego początku, łóżko żelazne, ale łóżko to, na którym leżała z nogami, jakby się zapodziało, zgubiło po drodze, dalej na przykład korek, kawałeczek korka w stołowym, ten korek też jakoś zniknął, a dalej walenie, albo np. hrabina, kurczak, o którym Ludwik wspominał, popielniczka z siatką, albo chociażby schody, tak, schody, okienko, komin i rynna, Boże mój, rupiecie pod dyszlem i obok, Boże wielki, widelec, nóż z ręką, z rękami, ręka jej, ręka moja, lub tiriri, wielki Boże, Fuks, z Fuksem to wszystko, słońce na przykład przez dziurkę w roście, albo na przykład nasze posuwanie się po linii drażka i paliki, albo posuwanie się po drodze w upał, wtedy, Boże, Boże, zmęczenia, zapachy, herbata dopijana... i jak to Kulka mówiła „moja córka”, Boże, zagłębianie za tym korzeniem, bo ja wiem, mydło w pokoiku Katasi, kawałek mydła, albo czajnik, te jej spojrzenia cofające się, mimozowate, furtka, szczegóły furtki z zamkiem, z kłódką, Boże wielki, Boże miłosierny, tamto wszystko na oknie, w bluszczu, albo na przykład zgaszenie światła wtedy w jej pokoju, gałęzie, moje złączenie, albo chociażby ksiądz na drodze i linie owe imaginacyjne, te przedłużenia, Boże, Boże, ptak zawisający, Fuksa zdejmowanie butów i całe to jego przesłuchiwanie nas w stołowym, głupie, głupie, oraz odjazd, dom z Katasią, na przykład ganek i drzwi po raz pierwszy, upał, i to że Ludwik chodził do biura, albo położenie kuchni względem domu, kamyk jeden żółtawy i klucz do pokoiku, albo żaba, co z tą żabą, gdzie się zapodziała, kawałek sufitu poharatanego i te mrówki tam, przy drugim drzewie, na drodze, i róg, za którym byliśmy, Boże, Boże, Kyrie Elejson, Chryste Elejson, tam, drzewo, na tym cyplu i miejsce tamto za szafą, a ojciec, moje z ojcem przykrości, druty płotu rozgrzanego, Kyrie Elejson... Leon podniósł do ust kruszynkę soli na palcu, umieścił ją na języku, wciągnął język... „...“

odgarniali z musu aż do nich”... „nadbystrzyckie okolice”... „na drugim piętrze, proszę ja kogo”... Zagęszczenie słów, jak na brudnej tapecie... na suficie...

Skończył z jedzeniem i siedział z twarzą przytwierdzoną do czaszki kopulastej... jakby zwisała z czaszki ta twarz... Mówiono tyle pewnie dlatego, że milczał. Jego milczenie wytwarzało lukę.

Przycisnął palcem kruszynkę soli aby się przylepiła i podniósł palec — przypatrywał się — wysunął język — dotknął językiem palca — zamknął usta, — smakował.

Jadeczka nabijała na widelec plasterki ogórka. Nic nie mówiła.

Książd pochylony, z rękami pod stołem. Sutanna.

Lena. Siedzi spokojnie, w tym nawiedza ją faza drobnych czynności, poprawiła serwetkę, poruszyła szklankę, strzepnęła coś, podstawiła szklankę Fuksowi i uśmiechnęła się.

Luluś podskoczył: — Pac!

Kulka wchodzi, postać chwilę, krępa, popatrzyła na stół, zawróciła do kuchni.

Notuję fakty. Te, nie inne. Dlaczego te? Patrzę na ścianę. Punkciki, liszaje. Coś się wyłania, jakby figura. Nie, figura ginie, zginęła, jest chaos i brudny nadmiar, co ten książd, co z Fuksem, miód i Jadeczka, gdzież jest Ludwik (bo Ludwika nie było, nie przyszedł na kolację, myślałem, że się goli, miałem Leny zapytać, nie zapytałem) a co z góralami, którzy nas przywieźli? Płatanina. Co można wiedzieć? Nagle bum uderza na mnie to co tam, na zewnątrz, na dworze, teren ze wszystkimi wariantami aż po góry i dalej, za górami, szosa wijąca się w nocy, bolesna, gniotąca, po co kota zadusiłem? Po co kota zadusiłem?

Leon podniósł powieki, spojrzał na mnie zamyślony, ale bardzo uważnie, nawet pracowicie — i sięgnął po szklankę z winem, podniósł do ust.

Ta praca jego, ta jego uwaga, mnie się udzieliły. Podniosłem szklankę do ust. Wypiłem.

Drgnęły mu brwi.

Ja opuściłem powieki.

— Nasze kawalerskie! — Potwór, jak śmiesz, co za kawalerskie w miodowym miesiącu!  
— No to nasze ekskawalerskie! — Dać mu, niech zaleje robaka! — Lulo, co ty! — Lula, co ty!

Leon w lśnieniu binokli pod czaszką wyciągnął palec, przylepił kruszynkę soli, wsadził do ust — miał w ustach.

Jadeczka podniosła szklankę do ust.

Książd wydał z siebie dźwięk dość dziwny, gulgoczący. Poruszył się.

Okienko małe... z haczykiem.

Napiłem się.

Drgnęły mu brwi.

Ja opuściłem powieki.

— Panie Leonie, co pan taki zamyślony?

— Panie Leonie, o czym pan myśli? Lulusiowie.

Wtedy Kulka zapytała:

— Leon, o czym ty myślisz?

Zapytała przerażająco stojąc w drzwiach kuchni z rękami opuszczonymi, nie chciała ukrywać grozy, zapytała tak jakoś jakby przerażenie zastrzykiwała nam szprycą, a ja myślałem, myślałem, najgłębiej, najsilniej, ale bez jakiegokolwiek myśli.

Leon skomentował jak gdyby na stronie: — Ona pyta, o czym ja myślę.

Miód.

Koniuszek języka ukazał się w rowku jego cienkich warg, różowy, ten język pozostał między wargami, język starszego pana w binoklach, język, napluć w usta, w odmęcie i wirze piorunującym usta Leny z ustami Katasi wydobyły się na wierzch, był to moment, ujrzałem je na wierzchu samym, jak się widzi kawałki papieru we wrzącym kotle wodospadu... przeminęło.

Złapałem się ręką za nogę krzesła żeby mnie gwałtownością swoją nie porwało. Gest spóźniony. Retoryczny, zresztą. Blaga.

Książd.

Kulka nic. Leon. Lulusia zagadnęła trochę płacząco, panie Leonie, co to z tą wycieczką? Po co? W nocy, po ciemku? Co my za krajobrazy mamy oglądać?

— Po ciemku niewiele widać — wtrącił Fuks niecierpliwie i niezbyt grzecznie.

— Moja żona, powiedział (on to wymawia, a ptak i patyk tam są!), moja żona, dodał (Jezus, Maria!), moja żona (złapałem się ręką za rękę!)...

— Ależ proszę się nie denerwusium! — wykrzyknął jowialnie. — Nie ma powodów do nerwsiusium! Wszystkosium en ordre, bitte, proszę, siedzimy sobie jak Bóg przykazał, każdy na pupli swojej, wgrzamy się w dary boże, gul gul gul do tego sznapsem i winiusium, a za godzinkę małą marszusium pod przewodem moim ku delektacji jedynej tam gdzie cud panoramusium otwiera się wskutek, jak powiedziałem, cudu księżycowego rozpląsanego oj dana wśród pagórków,górek, gór, rozłogów, dolin, hejha, hejżeha... jak mnie się to zobaczyło lat temu dwadzieścia i siedem, bez jednego miesiąca i czterech dzionków, proszę panoczkostwa mego, kiedym to przypadkiem o tej właśnie godzinie nocnej zabłąkał się w to miejsce jedyne i ujrzał...

— Ssać — dodał i zbladł. Zabrakło mu oddechu.

— Chmury idą — powiedział Luluś szorstko, niechętnie — nic nie będzie widać, chmury, noc będzie ciemna, niczego nie zobaczymy.

— Chmury — mruknął — chmury... To i dobrze. Wtedy też... trochę chmur. Pamiętam. Zauważyłem wracając. Pamiętam! — wykrzyknął niecierpliwie, jakby się śpieszył, i zaraz zamyslił się...

Co do mnie, też myślałem... bez przerwy, ze wszystkich sił. Kulka (która poprzednio odeszła do kuchni) znów stanęła we drzwiach.

— Ostrożnie, rękaw!

Uskoczyłem na te słowa jego, przestraszony — rękaw, rękaw! — ale on to do Fuksa, którego rękaw zawadzał o sosjerkę z sosem majonezowym. Nic wielkiego. Spokój. Dlaczego nie ma Ludwika, gdzie on się podziewał, dlaczego ona jest bez Ludwika?

Wróbel.

Patyk.

Kot.

— Moja żona nie ma do mnie zaufania.

Obejrzał po kolei trzy palce ręki prawej, począwszy od wskazującego.

— Proszę pań i panów, moja żona chciałaby wiedzieć, co ja myślę.

Poruszył w powietrzu tymi trzema palcami, a ja spłotłem gwałtownie palce obu rąk.

— Proszę państwa, mnie cokolwiek może, hm, boli, że moja żona po trzydziestu siedmiu latach małżeńskiego pożycia nieskalanego, dopytuje się tak nerwowo o moje myśli.

Ksiądz się odezwał „proszę o ser”, spojrzano na niego, powtórzył „proszę o ser”, Luluś podał mu sera, ale zamiast ukrajać sobie kawałek powiedział jeszcze „może by troszkę stół odsunąć, ciasno”.

— Stół można by odsunąć — powiedział Leon. — Co to ja, o czym? Acha, mówiłem, że nie zasłużyłem sobie po latach pożycia nieskazitelnego

nieposzlakowanego

przykładnego

obowiązkowego

lojalnego...

Bo to tyle lat! Lat, miesięcy, tygodni, dni, godzin, minut, sekund... Czy wiecie, panowie, ja z ołówkiem w ręku obliczyłem ile mam sekund małżeńskiego pożycia z uwzględnieniem lat przestępnych i wypadło sto czternaście milionów, dziewięćset dwanaście tysięcy, dziewięćset osiemdziesiąt cztery, ni mniej ni więcej, do wpół do ósmej wieczór dnia dzisiejszego. A teraz od ósmej przybyło jeszcze z kilka tysięcy.

Wstał i zaśpiewał:

Gdy się nie ma, co się lubi To się lubi, co się ma!

Usiadł. Zamyślił się.

— Jeśli chcecie odsunąć stół... Co to ja? O czym? Acha. Tyle sekund pod okiem żony i córki, a jednak, niestety, kto by pomyślał

kto by pomyślał

kto by pomyślał

kto by pomyślał

żona moja zdaje się nie ufać myślom moim!

Zamyślił się znowu, urwał. Te zamyślenia były nie w porę, w ogóle gwałtowny zamęt, czy nieporządek, czy coś w tym rodzaju, dawały się odczuwać, ale może nie w tej jego przemowie, może we wszystkim, w całości wszystkiego... znowu... znowu... on zaś celebrował. Wróbel. Patyk. Kot. Nie o to chodzi. Więc o to chodzi. Nie o to chodzi. Więc o to chodzi. Celebrował, jakby litanię, nabożeństwo, jakby „patrzcie z jaką uwagą oddaję się niewładze”...

— Żona nie ufa moim myślom, proszę, proszę, czy ja na to zasłużyłem? Chyba nie, przyznajmy, tylko że, co prawda (odsuńcie stół, mnie też uwiera, w ogóle twardo się siedzi, trudna rada), tylko że, co prawda, trzeba przyznać, rzeczywiście w takich wypadkach nic nie wiadomo, bo i kto tam może wiedzieć jakie kto ma myśli w głowie... Weźmy taki przykład. Ja, na przykład, mąż i ojciec przykładowy, do ręki biorę, dajmy na to, tę skorupkę od jajka...

Wziął w palce skorupkę.

— I tak ja będę ją miał w palcach... i tak ja będę ją obracał... powolutku... przed oczami... Coś niewinnego

nieszkodliwego

nikomu nie wadzącego.

Drobne passe-temps, słowem. No tak, ale powstaje pytanie: jak ja ją obracam?... Bo ja, ostatecznie, uważacie, mogę ją obracać niewinnie, cnotliwie... ale, jak by mi się spodobało, mogę też... co?... Jakbym chciał, mogę tak trochę obracać ją bardziej... hm... Co? Tak trochę. Mówię, naturalnie, dla przekładu, żeby wykazać iż najzacieńszy małżonek mógłby ewentualnie pod okiem połowicy taką skorupkę obracać w sposób...

Zaczerwienił się. Nie do wiary: spurpurowiał! Niesłychane! Wiedział o tym, nawet przymknął oczy, ale nie ukrywał, owszem, uroczyście wystawiał swój wstyd na widok publiczny. Jak monstrancję.

Czekał aż przejdzie mu rumieniec. Wciąż obracał skorupkę. W końcu otworzył oczy i odetchnął. Powiedział:

— Tak sobie tego.

Nastąpiło odprężenie... choć co prawda ich zagęszczenie w tym kącie naszym, z latarkami, wciąż było płochliwe... ale już jak gdyby ociążało... Przyglądali mu się, z pewnością myśleli, że trochę wariat... W każdym razie nikt się nie odzywał.

Z zewnątrz, gdzieś za domem, coś stuknęło, jak gdyby coś spadło... co? Był to dźwięk ekstra, nadetatowy, który mnie pochłonał, nad którym zamyśliłem się długo, głęboko — ale nie wiedziałem co myśleć, jak myśleć.

— Berg.

Powiedział to spokojnie i bardzo grzecznie, starannie. Ja powiedziałem nie mniej grzecznie i wyraźnie.

— Berg.

Spojrzał na mnie króciutko, opuścił powieki. Obaj siedzieliśmy cicho przysłuchując się słowu „berg”... jakby to był płaz podziemny, z tych co to nigdy nie wydostają się na światło... a teraz był tu, przed wszystkimi. Przyglądali się, przypuszczam... Nagle wydało mi się, że wszystko ruszyło naprzód, jak powódź, lawina, marsz ze sztandarami, że padł cios decydujący, pchnięcie nadające kierunek! Paf! Marsz! Naprzód! Ruszamy! Gdyby on tylko powiedział „berg”, no, nic takiego. Ale ja też powiedziałem „berg”. I mój berg łącząc się z jego bergiem (poufnym, prywatnym) wydobywał jego berg z poufności. To już nie było prywatne słówko dziwaka. To już było — coś naprawdę... to było coś istniejącego! Przed nami, tu. I naraz z potęgą wystrzelało ponad, pchało w, poddawało sobie...

Ujrzałem przez moment wróbla, patyk, kota, wraz z ustami... jak śmiecie we wrącym kotle wodospadu — ginące. Oczekiwałem, że wszystko ruszy naprzód w sensie berga. Byłem oficerem sztabu generalnego. Chłopcem służącym do mszy. Kornym i karnym akolitą i wykonawcą. Naprzód! Ruszamy! Marsz!

Ale Lulusia wykrzyknęła: — Brawo, panie Leonie!

Mnie pominęła. Ale byłem pewny, że wykrzyknęła po prostu ze strachu, nie mogąc znieść współpracy z nim. Nagle wszystko rozleciało się, oklapło, powstał śmieszek, zagadano i Leon roześmiał się hucznie hohoho, gdzie flaszusia mamusia, dajno musia siusi, doić koniaka, putumu bataklana! Jakie przykre i zniechęcające, gdy po takiej chwili doniosłej, kiedy to bieg zdarzeń wspina się do skoku, następuje rozpad, rozprężenie, wraca brzęczenie roju, roju, dajcie i mnie wódki, pani nie pije, kropla koniaczku, ksiądz, Jadusia, Tolo, Luluś, Lulusia, Fuks i Lena z usteczkami ślicznie wykrojonymi, świeżymi, grono wycieczkowiczów. Wszystko opadło. Nic. Wszystko znów jak brudna ściana. Zamęt.

Wróbel.

Patyk.

Kot.

Przypomniałem sobie o nich, ponieważ byłem w trakcie zapominania o nich. Powróciły do mnie, ponieważ oddalały się. Ginęły. Tak jest, musiałem szukać w sobie wróbla i patyka i kota, już ginących, szukać i podtrzymywać w sobie! I musiałem wysilić się żeby znowu zajrzeć myślą tam, do gąszczy, za drogą, do muru.

Ksiądz zaczął się gramolić z ławki mamrocząc przeproszenia, przesunął się wzdłuż stołu, sutanna wylazła na pokój. Otworzył drzwi. Wyszedł na ganek.

Ja, bez berga, głupio się czułem. Nie wiedziałem, co... Pomyślałem: też wyjdę. Odetchnąć świeżym powietrzem. Wstałem. Postąpiłem kilka kroków ku drzwiom. Wyszedłem.

Na ganku — świeżość. Księżyc. Chmura piętrząca się, błyszcząca, świetlisto-skalista, niżej ciemniejsza o wiele fontanna gór skamieniałych w wytryskiwaniu. A wokół feeria,

łąki, kobierce, gazony rojne bukietami drzew, orszaki, festyny, niby park gdzie odbywały się korowody, pochody, zabawy, wszystko utopione, na samym dnie księżycowej poświaty. Tuż przy schodach, oparty o poręcz, stał ksiądz. Stał i wyrabiał z ustami coś dziwnego.



## IX

Trudno będzie opowiedzieć dalszy ciąg tej mojej historii. W ogóle nie wiem, czy to jest historia. Trudno nazwać historią takie ciągle... skupianie się i rozpadanie... elementów...

Gdy, wyszedłszy na ganek, zobaczyłem księdza wyrabiającego z ustami coś dziwnego, skołowaciałem! Co? Co? Bardziej skołowaciałem, niż gdyby pękła skorupa ziemi i larwy podziemne wydostały się na powierzchnię. Bez żartu! Ja jeden znałem sekret ust. Nikt poza mną nie był wprowadzony w awanturę sekretną ust Leny. On nie miał prawa o tym wiedzieć! To było moje! Jakim prawem pakował w ten sekret swoje usta?!

Ale zaraz okazało się, że wymiotuje. Wymiotował. Wymiotowanie jego, szpetne, biedne, było usprawiedliwione.

Upił się.

Ba! Nic takiego!

Zobaczył mnie i uśmiechnął się, zasromany. Chciałem powiedzieć, żeby się położył i przespał, gdy jeszcze ktoś wyszedł na ganek.

Jadeczka. Przeszła obok mnie, oddaliła się po łące kilka kroków, przystanęła, podniosła rękę do ust i po księżycu zobaczyłem jej usta wymiotujące, wymiotowała.

Wymiotowała. Usta jej, widziane przeze mnie, usprawiedliwione były wymiotowaniem — dlatego patrzyłem na nie — jeśli ksiądz wymiotował, dlaczegożby ona nie miała wymiotować? Tak? Proszę. Dobrze. Ale. Ale, ale, ale, jeśli ksiądz wymiotował, to ona nie powinna była wymiotować! I te jej usta, wzmacniające usta księżowskie... jak powieszenie patyka wzmogło powieszenie wróbla — jak powieszenie kota wzmogło powieszenie patyka — jak wbijanie doprowadziło do walenia — jak ja berga wzmogłem moim bergiem.

Dlaczego wymiotujące ich usta mnie opadły? Co tym ustom było wiadomo o ustach, które kryłem w sobie? Skąd ten płaz ustny, wypełzający? Może najlepiej było — odejść. Odszedłem. Nie do domu, oddaliłem się po łące, dość tego wszystkiego, noc była zatruta księżycem, który płynął przez nią, umarły, czuby drzew były w glorii i mnóstwo naokoło zespołów, pochodów, zgromadzeń, szeptów, narad, zabaw — noc rzeczywiście rozmarzająca. Nie wracać, nie wracać, najchętniej nie wróciłbym wcale, może wsiąść na furkę, dać koniom po bacie, odjechać na zawsze... No nie... Przepyszna noc. Mimo wszystko nieźle się bawię. Wspaniała noc. Jednakże przeciąganie tego też było niemożliwe, ja naprawdę jestem chory. Wspaniała noc. Chory, chory, ale nie tak bardzo. Dom zniknął za pagórkami, szedłem po murawie, która tutaj, w pobliżu strumienia, była mięciutka, ale co z tym drzewem, co to za drzewo, co jest z tym drzewem...

Stanałem. Była tam kępa drzew i w niej jedno drzewo nie takie, jak inne, to jest, właściwie, takie samo, ale musiał być jakiś powód dla którego ono zwróciło moją uwagę. To drzewo nie było dobrze widoczne, wewnątrz kępy, przesłonięte innymi, a jednak zwróciło moją uwagę, co, co takiego, gęstość, czy ciężar, obciążenie, mijalem je z uczuciem, że mijam drzewo „za ciężkie”, okropnie „ciężkie”... Stanałem, zawróciłem.

I wszedłem w kępę, już pewny, że tam coś jest. Ta kępa zaczynała się od kilku brzoź rozrzuconych, a zaraz potem było skupienie sosen, gęściejsze, ciemniejsze. Wrażenie, że idę do jakiegoś „ciężaru” przygniatającego nie opuszczało mnie.

Rozejrzałem się.

But.

Noga zwisała z sosny. Pomyślałem „noga”, ale nie byłem pewny... Druga noga. Człowiek był... powieszony... przyglądałem się, człowiek... nogi, buciki, wyżej głowa dawała się rozeznaczyć, przekrzywiona, reszta wsiąkała w pień, w ciemność gałęzi...

Rozejrzałem się naokoło, nic, cicho, spokój, znów się przyglądałem. Człowiek wiszący. Ten żółty but był mi znany, przypominał buciki Ludwika. Rozchyliłem gałęzie, zobaczyłem kurtkę Ludwika i jego twarz. Ludwik. Ludwik.

Ludwik, wiszący na pasku. Na własnym, wyjętym ze spodni.

Ludwik? Ludwik. Wisiał. Przez jakiś czas przyzwyczajałem się... Wisiał. Jeszcze się przyzwyczajałem — wisiał. Jeżeli wisiał, no to jakoś to musiało się stać i zacząłem z wolna szukać, kalkulować, powieszony, kto go powiesił, czy sam siebie, kiedy, widziałem go przed samą kolacją, prosił o żyletkę, był spokojny, na spacerze zachowywał się, jak zwykle... a jednak wisiał... a jednak w ciągu tej godziny z okładem to się stało... wisiał... i to jakoś musiało się stać, jakieś przyczyny na to się złożyły, tylko że ja nie mogłem ich znaleźć, nic, nic, a jednak musiał nastąpić jakiś wir w rzece przepływającej wszystkiego, o którym ja nic nie wiedziałem, widocznie zator jakiś powstał, musiały się wytworzyć związki, zazębienia... Ludwik! Skądże Ludwik? Raczej już Leon, ksiądz, Jadeczka niechby, Lena nawet — ale Ludwik! A jednak ten FAKT wisiał, wiszący fakt, fakt ludwikowaty wiszący, w łeb walący, wielki, ciężki, zwisający, coś w rodzaju byka płatającego się luzem, olbrzymi fakt na sośnie i z butami...

Mnie kiedyś dentysta ząb miał wyrwać, ale nie mógł go złapać szczypcami, nie wiem dlaczego ześlizgiwały się... z tym faktem ciężko wiszącym to samo, nie mogłem go złapać, wyslizgiwał się, byłem bezsilny, nie miałem dostępu, pewnie, to jakoś „się stało, jeśli się stało... Rozejrzałem się bardzo uważnie na wszystkie strony. Uspokoilem się. Pewnie dlatego, że zrozumiałem...

Ludwik.

Wróbel.

Przecież patrzyłem na tego wisielca akurat tak samo, jak w tamtych krzakach patrzyłem na wróbla.

I pum, pum, pum, pum! Raz, dwa, trzy, cztery! Wróbel powieszony, patyk wiszący, kot uduszony — powieszony, Ludwik powieszony. Jak składnie! Jaka konsekwencja! Trup idiotyczny stawał się trupem logicznym — tylko że logika była i ciężka... i zanadto moja... osobista... taka... osobna... prywatna.

Nic mi nie pozostawało, prócz myślenia. Myślałem. Wysiłałem się żeby, mimo wszystko, zrobić z tego czytelną historię i — myślałem — a nuż to on powiesił wróbla? On rysował strzałki, patyk wieszał, oddawał się tym psikusom... mania jakaś, mania wieszania, która doprowadziła go tutaj, by siebie powiesić... maniak! Przypomniałem sobie, co Leon mi mówił, gdyśmy na pniu siedzieli, raczej chyba szczerze: że on, Leon, nie miał z tym nic wspólnego. Więc Ludwik? Mania, obsesja, obłąd...

Albo inna możliwość, też po linii normalnej logiki — że padł ofiarą szantażu, zemsty może, ktoś go prześladowuje, ktoś otacza go tymi znakami, podsuwa myśl o powieszeniu... ale kto w takim razie? Ktoś z domu? Kulka? Leon? Lena? Kataria?

Jeszcze inna możliwość, też „normalna”: może nie on się powiesił? Zamordowano go? Może uduszono, potem powieszono? Ten ktoś, kto zabawiał się wieszaniem drobiazgów, maniak, obłąkany, zapragnął w końcu powiesić coś cięższego, niż patyczek... Kto? Leon? Kataria? Ależ Kataria pozostała tam... Co z tego? Mogła tu przybyć po kryjomu, z tysiąca powodów, tysiącem sposobów, dlaczego nie, mogło się zdarzyć, możliwości skojarzeń, kombinacji były nieograniczone... A Fuks? Czyż Fuks nie mógł zarazić się wieszaniem, przyswoić je sobie... i... i... Mógł. Ależ był przecie przez cały czas z nami. Co z tego? Niechby tylko okazało się, że to on — wtedy już znalazłaby się luka w czasie, wszystko znaleźć można w kotle bezdennym stających się zdarzeń! A ksiądz? Miliony i miliony nitki mogły połączyć jego paluchy z tym wisielcem...

Mogły... A górale? Gdzie są górale, którzy nas przywieźli? Uśmiechnąłem się przy księżycu na myśl łagodną o bezsilności umysłu wobec rzeczywistości przerastającej, zatracającej, spowijającej... Nie ma kombinacji niemożliwej... Każda kombinacja jest możliwa...

Tak... Tylko, że nitki związków były nikłe... nikłe... a tu wisielec wisi, trup brutalny! I jego brutalność wisząca, pum, pum, pum, pum, łączyła się składnie z pum, pum, pum, pum, wróbel — patyk — kot, to było jak a, b, c, d, jak raz, dwa, trzy, cztery! Co za składność! Jaka skwapliwość logiki, ale podziemnej! Oczywiście, bijąca w oczy, ale podziemna.

Ale ta w oczy bijąca, pum, pum, pum, pum, podziemna logika roztapiała się w nikłości, jak we mgle (myślałem) gdy się chciało ująć ją w karby zwyczajnej logiki. Ileż razy dyskutowaliśmy nad tym z Fuksem! Czy można mówić o jakimś logicznym związku pomiędzy wróblem i patykiem, połączonymi tą ledwie widoczną strzałką na suficie w naszym pokoju — tak niewyraźną, że myśmy tylko przypadkiem ją zauważyli — tak

niewyraźną, że na dobrą sprawę musieliśmy ją sobie uzupełnić, dorysować w wyobraźni? Odkryć tę strzałkę, dojść do patyka — przecież to było, jak znaleźć igłę w stogu siana! Któż — Ludwik, czy kto inny — mógłby świadomie fabrykować sieć znaków tak nikłych?

A jakiż był związek wrębią i patyka z kotem, jeśli kota ja sam powiesiłem? Pum, pum, pum, wróbel, patyk, kot trzy powieszenia? Owszem, trzy ale to trzecie ode mnie pochodziło, ten trzeci rym ja sam ustanowiłem.

Chimera. Urojenie. Tak! — ale wisielec wisiał pum, pum, pum, pum, a, b, c, d, raz, dwa, trzy, cztery! Chciałem się zbliżyć i może dotknąć, ale cofnąłem się z lekka. Ten ruch niewielki przestraszył mnie, jak gdyby ruszanie się w obecności trupa było czymś niewskazanym i niepożądanym. Okropność mojej sytuacji — bo jednak była okropna — polegała na tym, że ja tu wobec niego byłem akurat tak samo, jak tam wobec wróbla. Krzaki i krzaki. Wisielec i wisielec. Rozejrzałem się... Widowisko! Góry wyrzucające się martwo w taflę nieba, powleczone w sporej części centaurami, łabędziami, statkami, lwami o grzywach świetlistych, w dole Szeherezada łąk i bukietów usidlonych drżąca bielą, ;och, glob umarły, jaśniejący światłem pożyczonym — a to jaśnienie wtórne, osłabione, nocne, kaziło i zatruwało, jak choroba. I konstelacje gwiazd, nieprawdziwe, wymyślone, narzucone, obsesja błyszczących niebios!

Ale nie księżyc był centralnym trupem, tylko Ludwik — trup na drzewie, jak ścierwo kocie na murze! Pum, pum, pum, pum, pum... (wzmoczone odległym pulsowaniem tamtej nocy, kiedy to wbijanie igieł przechodziło w walenie młotem). Poruszyłem się jakbym miał odejść — nie tak łatwo! — to jeszcze nie było na czasie...

Co robić? Najmądrzej... udać, że się niczego nie widziało, zostawić sprawę jej własnemu biegowi... po co miałbym się mieszać? Nad tym myślałem, gdy nasunęły mi się usta. Usta nasunęły mi się niezbyt wyraźnie, mlaskające usta Leny, usta wymiotujące, Katarisia, Lena, wszystkie te usta, nie bardzo, tak trochę. Ale opadły mnie. Poruszyłem ustami.

Poruszyłem ustami, jakbym się opędział. Ale pomyślałem ze złością coś niewyraźnego, coś w rodzaju „nie ruszaj ustami... tutaj...” Rzeczywiście, po co mi było ruszać ustami przy tym trupie, ruszanie przy trupie nie jest zwykłym ruszaniem. Zalękniony, pomyślałem że odejdę.

Kiedy pomyślałem, że odejdę, stało się to, czego się bałem już od minuty: pomyślałem, że zajrzałbym trupowi w usta. Może nie bałem się akurat tej myśli, ale domyślałem się czegoś w tym rodzaju... że moja chęć oderwania się od trupa musi wywołać chęć zaczeplenia trupa.

Zląkłem się tego, a wtedy natarło na mnie silniej... naturalnie...

Tylko, że nie byłoby takie łatwe — rozchylić gałęzie, obrócić go twarzą do księżyca, zajrzeć mu. I nawet pytanie, czy mógłbym zajrzeć nie wyłażąc na drzewo. Skomplikowane. I lepiej nie dotykać.

Dotknąłem, obróciłem mu głowę, zajrzałem.

Wargi wyglądały jak szczerniałe, górną wargę miał silnie podciągniętą, widać było zęby: dziura, jama. Ja oczywiście już od dłuższego czasu zaglądałem sobie do takiej myśli, takiej hipotezy, że ewentualnie będę musiał powiesić... albo siebie, albo ją. Powieszenie z wielu stron do mnie zaglądało i inne tam były kombinacje w związku z tym... często niezdarne... Przecie już kota powiesiłem. Ale kot to kot. A tu po raz pierwszy zaglądałem śmierci ludzkiej w usta. W jamę ludzką ustną — powieszoną. Hm.

Odejść. Zostawić.

Odejść. Zostawić to tutaj, tak jak jest. Nie moja rzecz, co ja z tym mam wspólnego: wcale nie jestem obowiązany wiedzieć, jak to się stało, człowiek trochę piasku weźmie na dłoń a już gubi się bez ratunku w kupie nieobjętej, nieogarnionej, niezmierzonej, niezliczonej... gdzie mnie tam do odkrycia wszystkich związków, może powiesił się np. dlatego, że Lena sypia z Leonem... Co można wiedzieć, nic nie można wiedzieć, nic nie wiadomo... odejdę i zostawię. Ale nie ruszałem się i nawet pomyślałem coś w tym rodzaju „jaka szkoda, że ja jemu w usta zajrzałem, teraz nie będę mógł odejść”.

Ta myśl zdziwiła mnie po nocy widnej... jednakże była dość uzasadniona: gdybym zachował się zwyczajnie wobec trupa, mógłbym odejść; ale po tym, co z moimi ustami zrobiłem i co z jego ustami... już nie bardzo mogłem odejść. To jest, odejść mogłem, ale już nie mogłem powiedzieć, że nie jestem w to zamieszany... osobiście...

Zastanawiałem się i bardzo głęboko myślałem, bez wytchnienia, ale bez żadnej myśli, i teraz już zacząłem się bać, ale to bać, ja z tym trupem, trup i ja, ja i trup, nie mogłem się wywikłać, rzeczywiście, po tym zajrzeniu w usta...

Wysunąłem rękę. Wsadziłem mu palec w usta.

Nie poszło tak łatwo, szczęki już trochę zeszywniały — ale rozsunęły się — wsadziłem palec, napotkałem język obcy, dziwny i podniebienie, które wydało mi się niskie jak strop za niskiego pokoju, chłodne, wyciągnąłem palec...

Wycierałem palec chusteczką.

Rozejrzałem się. Nikt nie widział? Nie. Przywróciłem wisielca do poprzedniej pozycji, zasłoniłem, ile się dało, gałęziami, zacierałem moje ślady na trawie, prędeży, coraz prędeży, strach, nerwy, strach, uciekać, przedarłem się przez kępę i widząc że nic prócz księżycowego drżenia upartego zacząłem się oddalać, prędeży, prędeży, prędeży! Ale nie biegłem. Szedłem ku domowi. Zwolniłem. Co ja im powiem? Jak powiem? Teraz to stawało się trudne. Ja nie powiesiłem. Nie powiesiłem, ale po palcu w ustach ten wisielec był także mój...

A przy tym zadowolenie głębokie, że na koniec „usta” połączyły się z „wieszaniem”. Ja je połączyłem! Nareszcie. Jakbym spełnił swój obowiązek.

I teraz trzeba będzie powiesić Lenę.

Zdziwienie nie odstępowało mnie na krok, byłem szczerze zdziwiony, bo ta myśl, żeby powiesić, była jak dotąd we mnie czymś teoretycznym, nieobowiązującym i właściwie po palcu w ustach nie zmieniła swego charakteru, była wciąż ekscentrycznością... czy nawet frazesem... A jednak siła, z jaką ten olbrzymi wisielec wjechał we mnie i z jaką ja wjechałem w wisielca, druzgotała wszystko. Wróbel wisiał. Patyk wisiał. Kot wisiał (póki go nie zakopano). Ludwik wisiał. Powiesić. Ja byłem wieszaniem. Przystanąłem nawet, żeby pomyśleć, że przecież każdy chce być sobą, więc i ja chcę być sobą, któż by, na przykład, lubił syfilis, oczywiście nikt nie lubi syfilisu, ale przecież i syfilityk chce być sobą, syfilitykiem, łatwo się mówi „chcę wyzdrowieć”, a jednak to brzmi obco, to jakby się powiedziało „nie chcę być, kim jestem”.

Wróbel.

Patyk.

Kot.

Ludwik.

A teraz trzeba będzie powiesić Lenę.

Usta Leny.

Usta Katasi.

(Usta księdza i Jadeczki, wymiotujące).

Usta Ludwika.

A teraz trzeba będzie powiesić Lenę.

Dziwna rzecz. Z jednej strony to wszystko było błahe, nikłe, nieprawdziwe nawet, tu, w oddaleniu, za górami, za lasami, w świetle księżyca. A z drugiej strony natężenie wieszania i natężenie ust było... Trudno. Trzeba.

Szedłem z rękami w kieszeniach.

Byłem na wyżynie spadającej ku domowi. Głosy, śpiewy...

Ujrzałem, o jakiś kilometr, na przeciwległym wzgórzu, błyski latarek — to oni. Szli pod przewodem Leona dodając sobie animuszu śpiewkami i żarcikami. Tam była Lena.

Stąd, ze wzgórza, krajobraz leżał przede mną i drżał, jak zachloroformowany. Umiejscowienie nagle Leny tam było akurat takie jak gdybym, wyszedłszy na pole z

dubeltówką, zająca z daleka zobaczył. Aż się roześmiałem. Zaczęłem iść do nich na przelaj. Wróbel wisi, a ja idę. Patyk wisi, a ja idę. Kota powiesiłem i idę. Ludwik wisi i idę.

Dołączyłem się do nich, gdy zaczęli schodzić z ledwie widocznej dróżki w zarośla. Było tu dużo krzaków i ostrych kamyków. Posuwali się ostrożnie, Leon na czele z latarką. Pokrzykiwali, przekomarzali się, „Wodzu, prowadź!” „W dół, zamiast w górę?” „Widoki w dole?” „Siadam! Dalej nie idę”.

— Spokojniusium, cierpliwusium talaj talaj cotam tam tego, niedaleczko, hejże ha! Zara, zaraaa...a, tędy... za mną wiara, prosimy, już się robi! Moje uszanowanie!

Szedłem za nimi, nie zauważyli mnie. Ona szła trochę z boku i nie byłoby trudno zbliżyć się do niej. Zbliżyłbym się, oczywiście, w charakterze duszącego i wieszającego. Nie byłoby trudno odciągnąć ją na bok (bo my już byliśmy w sobie zakochani, ona też mnie kochała, któż mógł wątpić, jeśli ja chciałem ją zabić, to ona musiała mnie kochać), a wtedy będzie można i zadusić i powiesić. Zaczynałem rozumieć, jak to jest, gdy się jest mordercą. Morduje się, gdy morderstwo staje się łatwe, gdy nie ma nic lepszego do zrobienia. Wykańczają się po prostu inne możliwości. Wróbel wisi, patyk wisi, Ludwik wisi, ja ją wieszam jak kota powiesiłem. Mógłbym, naturalnie, nie wieszać, ale... taki zawód sprawiać? Takie pomieszanie szyków? Po tylu zachodach, kombinacjach, wieszanie wyłoniło się w pełni i ja je z ustami złączyłem — miałbym teraz skrewić, nie wieszać?

Wykluczone. Szedłem za nimi. Bawili się latarkami. W kinie czasem oglądamy na komicznym seansie myśliwca posuwającego się ostrożnie z bronią gotową do strzału, gdy krok w krok za nim stąpa potworny zwierz, niedźwiedź olbrzymi, gigantyczny goryl. Był to ksiądz. Szedł tuż za mną, trochę z boku, widocznie włókł się na samym końcu, nie wiedząc po co i na co, może bał się zostać sam z sobą w domu — ja go z początku nie zauważyłem, przyplątał się do mnie — z paluchami swoimi chłopskimi, przebierającymi. Z sutanną. Niebo i piekło. Grzech. Święty Kościół Katolicki, matka nasza. Chłód konfesjonału. Grzech. In saecula saeculorum. Kościół. Chłód konfesjonału. Kościół i papież. Grzech. Potępienie. Sutanna. Niebo i piekło. Ite, missa est. Grzech. Cnota. Grzech. Chłód konfesjonału. Sequentia sancti... Kościół. Piekło. Sutanna. Grzech... Chłód konfesjonału.

Pchnąłem go silnie, aż się zatoczył.

W samym momencie pchnięcia przestraszyłem się — co ja wyrabiam?! Wyskok, wybryk! Narobi krzyku!

Otóż nie. Moja ręka natrafiła na taką nieszczęśliwą bierność, że od razu się uspokoiłem. Zatrzymał się i nie patrzył na mnie. Staliśmy. Widziałem dobrze jego twarz. I usta. Podniosłem rękę, chciałem mu wsadzić palec w usta. Ale zęby miał zaciśnięte. Lewą ręką wziąłem go za podbródek, otworzyłem usta, wsadziłem palec.

Wyciągnąłem palec i wycierałem chusteczką.

Trzeba było teraz iść szybciej, żeby dogonić pochód. Wsadzenie palca w usta temu księdzu dobrze mi zrobiło, co innego jednak (myślałem) wsadzić palec trupowi, a komuś żywemu, i to było tak jakbym majaki moje wprowadził w świat rzeczywisty. Poczuję się różnie. Przypomniałem sobie, że z tym wszystkim, zapomniałem chwilowo o wróblu etc. więc znów uprzytomniłem sobie jak to, tam, o jakie 30 km, wróbel był — i patyk był — i kot. A też Kataria.

— Proszę szanownych spacerowiczów, panusium i panusium, tutaj spoczusium! Spocznijs! Chwilowe odetchniusium.

Stał pod wielkim głazem, który sterczał nad wąwozem, gęsto zarośniętym. Przed głazem niewielka polanka, to miejsce musiało być uczęszczane, zdawało mi się, że dostrzegam jakieś koleiny... Trochę chrustu, trawa. „Lulo, nie chcę tutaj, też miejsce wynalazł!” „Panie pułkowniku, nawet usiąść na czym nie ma” „Panie prezes, na gołej ziemi?”

— Dobrze, dobrze — głos Leona był jęśliwy — tylko że tatuś spinkę zgubił. Spinka mi, psiamac... Spinka. Proszę tu kogo z latareczką.

Wróbel.

Patyk.

Kot.

Ludwik.

Ksiądz.

Leon, pochylony, szukał tej spinki, Luluś mu przyświecał latarką, przypomniałem sobie pokoik Kataria i nasze, z Fuksem, oświetlenie latarką. Jak to dawno. Pokoik tam był. Z Kataria. On szukał spinki, w końcu wziął od Lulusia latarkę, ale po chwili spostrzegłem, że światło, zamiast trzymać się ziemi, omiata ukradkiem głaz i inne kamienie, zupełnie jak my, z Fuksem, omiataliśmy światłem ściany pokoiku. Czy on spinki szukał? Może nie spinki wcale, może to było miejsce, do którego nas prowadził, owo miejsce sprzed lat dwudziestu trzech?... Ale nie był pewny. Nie mógł dobrze rozpoznać. Od tego czasu wyrosły nowe drzewa, grunt się obsunął, głaz mógł się ruszyć, badał tą swoją latarką coraz bardziej gorączkowo, zupełnie jak my, wtedy, widząc go tak, niepewnego, zgubionego, prawie tonącego, z wodą już na wysokości ust, musiałem pomyśleć, jak to my, Fuks i ja, gubiliśmy się w sufitach, ścianach, grządkach. Dawne czasy! Wszyscy czekali. Nikt się nie odzywał, z ciekawości chyba, żeby w końcu dowiedzieć się, co w trawie piszczy. Lenę widziałem. Była delikatna, koronkowa z ustami patyk wróbel kot, Kataria, Ludwik i ksiądz.



Nie mógł sobie dać rady. Zgubił się. Badał teraz sam dół kamienia. Było cicho. Wyprostował się.

— To tutaj.

Lulusia zaszczębiotała „co tutaj, panie Leonie, co tutaj?”

Usłużnie.

Stał skromnie, spokojnie. — Co za zbieg okoliczności... Przypadek, proszę ja was, jedyny w swoim rodzaju! Ja spinki szukam, a widzę, że ten kamień... Ja już tu byłem... Przecie ja tutaj przed dwudziestu trzema laty... Tutaj!

Zamyślił się z nagłą, jak na obstalunek, i to się przedłużało. Latarka zgasła. Przedłużało się i przedłużało. Nikt mu nie przerywał i dopiero po kilku minutach Lulusia odezwała się miękko, troskliwie „co się panu zdarzyło, panie Leonie?” Odpowiedział „nic”.

Zauważyłem, że Kulki nie było. Została w domu? A nuż to ona powiesiła Ludwika? Nonsens. Sam się powiesił. Dlaczego? Jeszcze nikt nie wie. Co będzie, jak się dowiedzą?

Wróbel.

Patyk.

Kot.

Ludwik.

Było bardzo trudne, pracowite, uprzytomnić sobie, że to tutaj, teraz, odbywa się wobec tamtego wtedy tam, o 30 km. I byłem zły na Leona, że grał pierwsze skrzypce, a wszyscy (mnie nie wyłączając) stali się jego... widzami... myśmy byli po to, żeby widzieć...

Mruknął niewyraźnie.

— Tu. Z jedną...

Znów kilka minut niemych, cichych, te długie minuty ociekały świństwem i były wyznaniem, bo jeśli nikt nie mówił, to znaczyło, że my jesteśmy tu po to tylko, żeby on się przy nas załatwił... z tym swoim... wsobnym... swój do swego... Czekaliśmy aż skończy. Czas upływał.

Niespodziewanie oświetlił latarką własną twarz. Binokle, łysina, usta, wszystko. Zamknięte oczy. Lubieżnik. Męczennik. Powiedział:

— Innych widoków nie ma.

Zgasił. Zaskoczyła mnie ciemność, stało się ciemniej niżby można było przypuszczać, to chyba chmury były już nad nami. Pod głazem był prawie niewidoczny. Co robił? Musiał tam wyrabiać jakieś swoje obrzydliwości, podniecał się, rozpamiętywał dawną dziwkę jedyną, wysiłał się, pracował, celebrował świństwo swoje. Ale... a jeśli nie był pewny, że to tutaj? I celebrował na chybił trafił? Zdziwiło mnie, że nikt nie odchodzi, wszak już zmiarkowali po co ich sprowadzał, żeby asystowali, żeby przyglądali się, żeby go podniecali przyglądaniem. Tak łatwo było odejść. Ale nikt nie odchodził. Lena np. mogłaby odejść, a nie odchodziła. Nie ruszała się. Zaczął dyszeć. Dyszał rytmicznie. Nikt nie mógł dojrzeć, co on, jak. Ale nie odchodzili. Zajęczał. Jęk był lubieżny, ale, właściwie, pracowity, był żeby siebie rozlubieżnić. Zajęczał i zaskowytał. Skowyt, zduszony, gardłowy, był żeby się uwszetecznic, jak on pracował, jak się wysiłał, jak się swinił z sobą, jak świecił i celebrował... Pracował. Wysilał się. Dyszał. Skowyczał. Wysila się. Pracuje. Czekaliśmy. W tym powiedział:

— Berg. Odpowiedziałem:

— Berg.

— Bembergowanie bembergiem w berg! — wykrzyknął, a ja wykrzyknąłem: — Berbergowanie bembergiem w berg!

Uciszył się zupełnie i nic nie było słyhać, ja myślałem wróbel Lena patyk Lena kot w usta miód wargą wywichnąć ściana grudka rysa palec Ludwik krzaki wisi wiszą usta Lena sam tam czajnik kot patyk płot droga Ludwik ksiądz mur kot patyk wróbel kot Ludwik wisi patyk wisi wróbel wisi

Ludwik kot powieszę — — — Lunęło. Luźne, gęste krople, podnosimy głowy, lunęło, woda zaczęła walić, wiatr się zerwał, popłoch, każdy pędzi pod najbliższe drzewo, ale chojary przeciekają, ociekają, kapie, woda, woda, woda, włosy mokre, plecy, uda, a tuż przed nami w ciemności ciemnej, przerywanej tylko błyskami zrozpaczonych latarek, ściana prostopadła wody spadającej i wtedy, w świetle tych latarek, widziało się jak leje, spada, i strumienie, kaskady, jeziora, ciurka, sika, chlupie, jeziora, morza, prądy wody gulgoczącej i słomka, patyk, liść, niesione wodą, znikające, łączenie się strumieni, powstawanie rzek, wysepki, przeszkody, zatory i esy floresy, a górą z góry w górze potop, leje, leci, a dołem pędzący liść, znikający kawałek kory, z tego wszystkiego dreszcze, katar, gorączka, a Lena dostała anginy, trzeba było taksówkę sprowadzać z Zakopanego, choroba, doktorzy, w ogóle coś innego, wróciłem do Warszawy, rodzice, znów wojna z ojcem, inne tam rzeczy, problemy, komplikacje, trudności. Dziś na obiad była potrawka z kury.

## Nota wydawcy

Kosmos jest bez wątpienia najbardziej mrocznym i wieloznacznym spośród utworów Gombrowicza. Dzieło schyłku życia artysty, Kosmos niejako podsumowuje wątki dotychczasowej jego twórczości. Znajdziemy tam klasyczny u Gombrowicza motyw buntu przeciw Rodzinie, który tu staje się wręcz niezwykle pojemną metaforą. Bohater, Witold, uciekając z rodzinnego domu na zakopiańskie lotnisko, pozostawia za sobą także tradycyjne kodeksy postępowania oraz cały zespół sądów i przeświadczeń potocznych na temat rzeczywistości. Wskutek tego przez cały czas trwania powieściowej akcji oglądamy najpierw leniwe, a potem coraz bardziej desperackie próby Witolda, aby z natłoku wrażeń i faktów, które go osaczają, zbudować na powrót — teraz już na własny rachunek — sensowny świat, domenę porządku. Witold nie potrafi dokonać tego w pojedynkę, zwrócić więc się musi do postaci ze swego otoczenia i nawiązuje z nimi szereg subtelnych interakcji — gier, próbując na tej drodze dojść do zrozumienia wydarzeń dziejących się wokół i własnej w nich roli.

I tak z Fuksem bohater prowadzić będzie „śledztwo”, podejrzewając poza tkanką faktów działanie czyjejś świadomej intencji; z Leonem oddawać się będzie zmysłowym perwersjom, traktując świat jako teren ekspansji własnej podmiotowości, porządkującej doznania w myśl najściślej prywatnej „zasady rozkoszy”; na koniec z Leną wieść będzie dziwny, skażony u źródeł romans, uzgadniając nieśmiało kody porozumienia i konstruując „kosmos” w interakcji. Niestety, każda z tych postaci może mu udzielić jedynie rąbka własnych obsesji, Witoldowi udaje się zatem jego konstrukcja tylko do pewnego momentu, za którym wyłonione kształty zapadają się ponownie w chaos. Uparte dążenie bohatera, by te rozpięchłe wątki połączyć w konsekwentną całość, jego samego prowadzi do osobliwego „gwałtu na rzeczywistości”, na której wymusić pragnie składowość i przynajmniej strukturalną symetrię, jeśli już nie racjonalny sens. Złożenie uporządkowanego „kosmosu” z chaosu rzeczywistości okazuje się dla samotnej jednostki zadaniem niewykonalnym lub wiodącym wprost w szaleństwo.

Kosmos w największej spośród Gombrowiczowskich utworów mierze nawiązuje do doświadczeń awangardowej powieści z połowy XX wieku. To jednak, co np. we francuskim nouveau roman było problemem powieściowej techniki (zawikłanie lub zgoła pozorność fabuły, paradoksy narracji i powieściowego świata etc), u Gombrowicza służy ekspresji treści metafizycznych. W Kosmosie jednostka, która wyzbyła się wiary w Boga i wszelki „przedustawny porządek”, staje naprzeciw wszechświata i próbuje sprostać mu własną myślą i działaniem, ale usiłowania te kończą się klęską. Podjęcie takiej próby w powieści pozostaje jednak bodaj najambitniejszym spośród artystycznych zamierzeń Gombrowicza, któremu udaje się filozoficzne lęki współczesnego człowieka wcielić precyzyjnie w formę narracji i kształt przedstawionego świata.

Kosmos za życia autora ukazał się w formie książkowej tylko raz nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu w maju 1965 roku.

Trzy lata przed ogłoszeniem pierwszego wydania książkowego Gombrowicz opublikował na łamach miesięcznika „Kultura” (Paryż 1962, nr 7 (177), lipiec — sierpień, s. 43 — 56) pierwotną wersję fragmentu I rozdziału powieści, bardzo znacznie różniącą się od ostatecznej, zamieszczonej w pierwodruku książkowym. Po tytule fragment ów był opatrzony w czasopiśmie następującą informacją: „Początek powieści będącej w opracowaniu”.

Dwa lata po wydaniu powieści, w maju 1967, przyznano pisarzowi za Kosmos międzynarodową nagrodę wydawców Prix Formentor.

Jak i inne utwory Gombrowicza Kosmos był wiele razy tłumaczony i wydawany w obcych językach: francuskim, niemieckim, włoskim, angielskim, norweskim, japońskim, holenderskim, portugalskim, hiszpańskim i serbsko — chorwackim.

Edycja niniejsza za podstawę obiera pierwodruk z 1965 r. jako jedyne wydanie ogłoszone za życia pisarza, pozostawiając bez zmian intonacyjną interpunkcję autora, a także pewne jego przeoczenia w tekście (np.: „No, rocznica niezupełnie, brakuje miesiąca i trzech dni” — s. 114, w. 13; „...sprzed dwudziestu siedmiu laty, bez jednego miesiąca i czterech dni” — s. 116, w. 5 — zdania te stanowią wypowiedź jednej osoby, która mówi o tej samej „rocznicy”), poprawiając natomiast błędy literowe.